



*JEANNE RAY*



*Julia*  
*i*  
*Romeo*

*Czymże jest nazwa? To, co zowią różą,  
Pod inną nazwą równie by pachniało;*

W. Szekspir *Romeo i Julia*  
(przeł. J. Paszkowski)



# Rozdział 1

Pierwszy raz usłyszałam nazwisko Cacciamani, kiedy miałam pięć lat. Wymówił je mój ojciec i natychmiast splunął. Już wcześniej zdarzało mi się widzieć, jak pluje. Przyglądałam się, kiedy wypluwał pastę do zębów do umywalki. Raz widziałam, jak pluł, kosząc trawnik; utrzymywał wtedy, że komary wpadały mu do ust. Ale w przypadku tamtego splunięcia, splunięcia towarzyszącego słowu „cacciamani”, ślina wylądowała na cementowej podłodze na zapleczu naszej rodzinnej kwiaciarni Rosemanów. Ta podłoga, podobnie jak wszystko w świecie mego ojca, była zawsze nieskazitelnie czysta; nawet liść nie miał prawa na nią upaść, więc mimo że byłam małym dzieckiem, pojęłam, iż ten gest ma głębszy sens.

- Świństwo! - orzekł ojciec, nie odnosząc tego do siebie, tylko do nazwiska, które sprowokowało go do takiego zachowania.

Szkoda, że nie potrafię odtworzyć w pełni tamtego zdarzenia, a przede wszystkim okoliczności, w jakich pojawiło się w nim nazwisko Cacciamani, ale miałam wtedy zaledwie pięć lat. Pięćdziesiąt pięć lat później pozostały mi tylko okruchy dziecięcych wspomnień.

Komentatorzy czytający dzienniki czy redaktorzy pisujący artykuły wstępne w magazynie „Globe” twierdzą z uporem, że nienawiść jest uczuciem wpojonym. Dzieci powtarzają odrażający, ksenofobiczny bełkot swych koszmarnych rodziców; według nich każdy pożałowania godny przejaw ciemnogrodu jest przekazywany z pokolenia na pokolenie na podobieństwo rodowych sreber. Mam wątpliwości, czy to nie jest pewne uproszczenie, ponieważ obserwuję u swoich córek pewne zachowania, za które absolutnie nie czuję się odpowiedzialna. Jednak wtedy staje mi przed oczami mój ojciec nad małą, pieniącą się plamą plwociny na podłodze. Z całego serca, z dziecinną szczerością zapalałam nienawiścią do „cacciamanich” nie wiedząc

nawet, co lub kto kryje się pod tym pojęciem. Uznałam, że to musi być jakaś ryba. Mój ojciec, który lubił prawie wszystko, nie przepadał za rybami, więc z góry założyłam, że cała rozmowa musiała przebiegać mniej więcej tak:

MOJA MATKA: Howardzie, kupiłam wspaniałe świeże cacciamani na kolację.

MÓJ OJCIEC: Cacciamani!!! (tu pluje) Świństwo!

Przez parę następnych lat oczyma wyobraźni widziałam oślizgłe, blade ryby, żerujące w mule na dnie Boston Harbor. Najwyraźniej matka zamierzała usmażyć je na maśle i podać w cytrynowym sosie.

Nie pamiętam, kiedy w mojej świadomości gatunek ryb przeistoczył się w nazwisko rodowe, które z kolei stało się symbolem rywalizującej z nami kwiaciarni (i tym razem wiem jedynie, że doszło do tego w odległej przeszłości). Ten fakt nie miał większego wpływu na moje życie. Moje ścieżki nie krzyżowały się ze szlakami Cacciamanich, a kiedy już do tego dochodziło, pokazywano mi ich, jakby byli kępą parzącego bluszczu. Trzymałam się więc od nich z daleka.

Nie uczęszczaliśmy do tej samej szkoły. Ich syn chodził do katolickiej szkoły, gdzie trzeba się modlić i nosić mundurki, ja i mój brat byliśmy w zupełnie zwyczajnej, państwowej szkole. Ich nazwisko rzadko padało w naszym domu, a kiedy już do tego dochodziło, wywoływało niezrozumiałe gniewną reakcję, w której ochoczo uczestniczyłam. Byliśmy tolerancyjną rodziną; ponieważ mieliśmy w pamięci prześladowania naszego ludu, obca nam była skłonność do dyskryminowania innych. O ile pamiętam, żywiliśmy uprzedzenia wyłącznie do Cacciamanich. Nie przenosiliśmy ich na wszystkich katolików czy Włochów, gardziliśmy jedynie Cacciamaniami, tymi przekłętymi, nic niewartymi rybami. Cudownie jest mieć uprzedzenia; przede wszystkim właśnie dlatego tak wielu ludzi je w sobie pielęgnuje. Uprzedzenie jest uproszczeniem; każdy członek danej grupy jest dokładnie taki sam, więc nie ma konieczności traktować ich indywidualnie. Jaka oszczędność czasu!

Naturalnie ja sama nie zaoszczędziłam go zbyt wiele, bo wtedy było tylko troje Cacciamanich do darzenia nienawiścią: ojciec, matka i syn. Pamiętam, że na matkę kilkakrotnie natknęłam się w Haymarkecie w sobotę. Była piękna; wysoka i smukła, o czarnych włosach i karminowych ustach. Ja jednak uznałam, że reprezentuje sobą rodzaj złowieszczego piękna. Potem dorósł ich syn, ożenił się i miał sześcioro dzieci, z których część założyła rodziny i doczekała się potomstwa. Klan Cacciamanich rozrastał się i pączkował, a ja wszystkich jego członków uważałam za nic niewartych; przekonanie to jeszcze się nasiliło, gdy Tony Cacciamani usiłował się ożenić z moją córką, Sandy, gdy oboje byli w średniej szkole.

Oto jak doszło do tego, że znienawidziłam Cacciamanich. Teraz pozwólcie, niech opowiem, jak przeszła mi ta nienawiść. Było to pięć lat temu, kiedy z kolei znienawidziłam mojego męża, Morta. Mort odszedł z Lilą, trzydziestoośmioletnią druhną, skwapliwie wyłapującą bukiety, którą poznał na weselu, gdy doręczał kwiaty.

Lila była czymś w rodzaju „dyżurnej” druhny - wiele przyjaciółek, niewielu adoratorów. Mort zszedł się z Lilą i wtedy dowiedziałam się, jak to jest, kiedy się nienawidzi kogoś naprawdę z osobistych powodów - że to o wiele bardziej bolesne niż nienawiść na czyjś rachunek. Nawet nie wiem, kiedy przestałam wymachiwać wojennym toporem na Cacciamanich. Nie stało się to w żadnym konkretnym momencie. Znienawidziłam Morta i zapomniałam o Cacciamanich. Ot, po prostu przez wiele lat o nich nie myślałam. Tak było aż do pewnego dnia, kiedy to uczestnicząc w seminarium pod tytułem: „Jak sprawić, aby twoja mała firma kwitła”, zorganizowanym w bostońskim Sheratonie, wpadłam na mężczyznę noszącego identyfikator: ROMEO CACCIAMANI. Prawdopodobnie nie rozpoznałabym jego twarzy, ale najpierw zobaczyłam nazwisko. Przygotowując się na atak furii, który musiał mnie niechybnie dopaść, stanęłam wyprostowana i zaczerpnęłam powietrza... Jednak nic nawet we mnie nie drgnęło. Zamiast tego naszła mnie

myśl: biedny Romeo Cacciamani; też pewnie ledwo przedzie, skoro się tu znalazł!

Romeo przechylił głowę na bok i spojrział na mnie, mrużąc oczy. Zdaje się, przydałyby mu się okulary.

- Julia Roseman - odczytał na głos napis na mojej plakietce.

Miałam przed sobą sześćdziesięcioletniego Włocha o przyjemnej powierzchowności. W wyprasowanych lnianych spodniach i białej koszuli poło, z której rozcięcia wystawała kępka włosów porastających tors. I żadnych złotych łańcuchów. Tak zaskoczył mnie mój całkowity brak wrogich uczuć, że aż zebrało mi się na śmiech. Miałam ochotę uścisnąć mu dłoń i na pewno bym to uczyniła, gdybym w jednej ręce nie trzymała styropianowego kubka z gorącą kawą, a w drugiej teczki z wzorami deklaracji podatkowych i zbiorem instrukcji do ich wypełniania.

- Romeo Cacciamani! - powiedziałam ze zdumieniem.

- Nosiłaś inne nazwisko, prawda? Zdaje się, Roth?

Kiwnęłam głową.

- Tak, Roth - potwierdziłam. - Ale już się tak nie nazywam.

W sympatyczny sposób uniósł brwi, jakby uważał, że powinien okazać zdziwienie, chociaż w rzeczywistości nie wydawał się zaskoczony. Zadałam sobie w duchu pytanie: Czy Cacciamani nadal nienawidzą Rosemanów? Wiedziałam, że Mort i Romeo również zaangażowali się w konflikt, ale Mort odszedł, moi rodzice nie żyli, a młodszy brat, który niewiele miał w sobie z Rosemanów, produkował meble z wikliny w Montanie. Pozostawałam ja oraz moje córki: Sandy i Nora.

- Czy twoi rodzice...

- Ojca nie ma już z nami... - Popatrzył na sufit sali konferencyjnej, jakby liczył, że tam znajdzie odpowiedź. - Jakieś jedenaście... może dziesięć lat. Matka mieszka ze mną. Dobiaża dziewięćdziesiątki. Kiedy widzieliśmy się po raz ostatni?

Ledwie zdążył dokończyć pytanie, gdy uzmysłowił sobie, kiedy to było. Zauważyłam, jak poczerwieniały mu krawędzie uszu.

- Piętnaście lat temu - odpowiedziałam, nie rozwijając tematu.

Rzeczywiście wtedy spotkaliśmy się po raz ostatni, ale potem go widywałam. Przez te wszystkie lata wielokrotnie mijaliśmy się na drodze, jadąc samochodami, gdy robiłam zakupy w supermarkecie Demoula, spostrzegłam go w ostatniej chwili między regałami i czym prędzej uciekłam z moim wózkiem w inną stronę. Wiecie, jak to się mówi: „Do zobaczenia przy okazji”, „Jasne, jeśli ją znajdziesz”. Jestem przekonana, że on unikał mnie tak samo starannie jak ja jego. Oboje mieszkamy w Somerville. Co prawda, trudno je nazwać metropolią, ale jest na tyle rozległe, by całe lata się nie spotkać, jeśli się tego nie chce. Prowadzimy jedyne dwie kwiaciarnie w mieście, więc rozumiałe, że gdy jedno z nas dostarcza kwiaty na pogrzeb czy ślub, drugiego na pewno tam nie będzie.

- Co u Sandy? - zapytał.

- W porządku - odpowiedziałam.

Miał lepszy charakter ode mnie. Nie zamierzałam zapytać go o Tony'ego.

- Dobrze jej się wiedzie?

Wzruszyłam ramionami.

- Wiesz, jak to jest z dziećmi. Jej małżeństwo się rozpadło. Mieszka teraz ze mną. Ma dwoje dzieci.

Poczułam się niezręcznie. Chciałabym móc powiedzieć, że żyje się jej rewelacyjnie, że jest niesamowicie szczęśliwa i nawet na chwilę nie wraca myślami do przeszłości. Nie pragnęłam tego ze względu na siebie, ale na Sandy, która w chwilach załamania ciągle jeszcze bolała nad utratą Tony'ego Cacciamaniego.

Romeo podrapał się w czubek głowy, gdzie, jak mi się zdawało, w ogóle nie ubyło mu włosów.



- To była smutna sprawa - powiedział bardziej do siebie niż do mnie. -  
Ogromnie smutna sprawa. Mój syn i Rosemanówna...

- Roth - poprawiłam go. - Sandy nazywała się Roth.

Uśmiechnął się.

- Dla mnie wszyscy jesteście Rosemanami. A twój mąż był najbardziej  
rosemańskim z Rosemanów.

Wreszcie ta kwestia się wyjaśniła. Nie toczyliśmy tej wojny sami.

- Mój mąż jedynie sprawiał wrażenie, że jest Rosemanem. W końcu  
okazało się, że to nieprawda.

- Bardzo mi przykro.

- Tak jest lepiej - oznajmiłam, chociaż już sam mój udział w tym  
seminarium dla niedołęgów świadczył, że to nieprawda, przynajmniej na  
gruncie zawodowym. - Poznał inną. - Nie wiem, co mnie napadło, żeby  
dołączyć tę ostatnią informację, ale skoro padła, nie mogłam jej cofnąć.

Romeo ze smutkiem pokiwał głową. Być może uważał, że od dawna  
wiedział, jakim typem człowieka był Mort, a może zrobiło mu się mnie żal.  
Cokolwiek myślał, uznałam, że czas zakończyć to spotkanie.

- Muszę już iść - powiedziałam, usiłując zerknąć na zegarek. - Chcę  
zająć miejsce w sali, gdzie będą dyskutować o reklamie.

Przepuścił mnie szarmancko, mówiąc, że miło mu było mnie spotkać.  
Czy on zawsze miał taką sympatyczną twarz?

- Romeo?! - zawołałam za nim. Nie sędzę, bym kiedykolwiek przedtem  
zwróciła się do niego po imieniu. Chociaż byliśmy rówieśnikami, zawsze  
mówiłam do niego „panie Cacciamani”. Nie chciałam się z nim spoufalać, a  
poza tym uważałam, że Romeo to idiotyczne imię dla dorosłego mężczyzny.  
Zatrzymał się. - Czytałam w gazecie o twojej żonie. Bardzo mi było przykro. -  
Jej śmierć miała miejsce dość dawno, jakieś trzy, a może cztery lata temu.  
Już po odejściu Morta, tego byłam pewna. Powinnam była przynajmniej  
wysłać kondolencje.



Nieznacznie skinął głową.

- Dziękuję.

- Nie znałam jej. To znaczy wydaje mi się, że spotkałam ją tylko tamten jedyny raz, ale wzbudziła we mnie duży szacunek. Musiała być wspaniałą kobietą.

- Camilla była wspaniałą kobietą - powiedział ze smutkiem, po czym się odwrócił.

Kiedy prowadzący dyskusję oznajmił, że w każdej małej firmie należy koniecznie przeznaczyć dziesięć procent dochodu brutto na reklamę, wyłączyłam się. Świetny pomysł pod warunkiem, że zrezygnuje się z wypłacania pensji i jadania od czasu do czasu obiadów. Powróciłam myślami do stwierdzenia Romea, że Mort był najbardziej rosemański z Rosemanów. Trafił w dziesiątkę; zastanawiałam się, jakim cudem Cacciamani mógł tyle wiedzieć o moim życiu. Od wczesnej młodości pracowałam w kwiaciarni rodziców. Nawet jako mała dziewczynka przesiadywałam na zapleczu, napełniając wodą fiolki, które nakłada się na łodyżki, lub mocując taśmą kwiaciarską spody bukietów do sukien. Kiedy podrosłam, ojciec przeniósł mnie do sklepu i postawił przy kasie, a gdy byłam w college'u, rano, przed zajęciami, przychodziłam tam i robiłam wiązańki zamówione na dany dzień. Uwielbiałam kwiaciarnię, chłód jej zacienionego wnętrza w upalne letnie dni, jaskrawożółte plamy afrykańskich stokrotek w lutym, stosy obciętych liści w koszu na śmieci i wszechobecny, oszałamiający zapach gardenii. A potem poznałam Morta; zaczął kręcić się po kwiaciarni, taki uprzejmy i chętny do pomocy. Po naszej drugiej randce matka zaczęła wypytywać: „Kiedy on się z tobą ożeni?” Jak gdyby od lat starał się o mnie i groziła mi utrata największej życiowej szansy. Miałam dwadzieścia jeden lat, byłam takim świeżym, zaledwie wczoraj ściętym kwiatem. Sześć miesięcy później Mort poprosił ojca o moją rękę, co można byłoby uznać za uroczy, staroświecki gest, tyle tylko, że mnie nikt o nic nie zapytał. Postawiono mnie przed faktem dokonanym.

Julio, Julio! - zawołała matka, kiedy weszłam do kwiaciarni. Oczy ojca lśniły ze wzruszenia, natomiast Mort stał z głupekowatym uśmiechem, uważając zapewne, że powinnam być z niego dumna. Upłynęło dobrych dziesięć minut, zanim się zorientowałam, o co w tym wszystkim chodzi. Wypchnęli mnie za mąż, przynajmniej tak to odczułam. Mój brat, Jake, nie miał zamiaru wiązać swej przyszłości z kwiaciarnią, w Morcie więc widzieli odpowiedzialnego syna, który przejmie interes Rosemanów. Ja byłam jedynie środkiem umożliwiającym transakcję. Nie, to nieprawda. Przemawiają przeze mnie wspomnienia. Opowiadam początek historii, znając jej zakończenie. Jestem pewna, że byłam w tamtym czasie szczęśliwa. Wydaje mi się nawet, że wtedy kochałam Morta.

Sama zrobiłam sobie wiązanekę do ślubu. Rodzice zajęli się całą resztą, ale bukiet był mój - białe tuberozy, białe hortensje, białe piwonie i kilka kwiatów pomarańczy na szczęście. To była najpiękniejsza wiązaneczka, jaką kiedykolwiek ułożyłam, godna samej Grace Kelly. Łodyżki kwiatów owinęłam jedwabną białą wstążką. Pod koniec przyjęcia weszłam na stopnie w przedniej części sali bankietowej. Zespół zaczął grać „Atlasową laleczkę” i wszyscy wykrzykiwali: „Rzuć bukiet! Rzuć bukiet!”. Nie zabrakło żadnej z moich przyjaciółek. Była Gloria, mój świadek, oraz drużyna - urocze półkole dobrze życzących mi koleżanek. Odwróciłam się do nich plecami i z rozmachem rzuciłam mój śliczny bukiet ponad głowę. Wypuściłam kwiaty z rąk. Minęło prawie trzydzieści pięć lat, zanim je z powrotem odzyskałam.

Mort nie chciał, żebym pracowała w kwiaciarni. To była zasada numer jeden, o której usłyszałam, kiedy powróciliśmy z miesiąca miodowego. Rodzice przystali na to. Mogli sobie pozwolić tylko na jednego pracownika, a ponieważ prędzej czy później Mort miał przejąć kwiaciarnię, musiał się nauczyć ją prowadzić. Ja mogłam spożytkować wiedzę z college'u, pracując jako sekretarka w towarzystwie ubezpieczeniowym i naturalnie zrezygnować z posady, kiedy zajdę w ciążę. Nikt mnie do tego nie zmuszał. Nikt nie

przykładał mi pistoletu do głowy. Taka była kolej rzeczy i wtedy nie oponowałam. Małżeństwo, dzieci, rozwlekłe popołudnia spędzane na prasowaniu koszul i oglądanie telewizji w ciągu dnia - innych aspiracji nie miałam. Mort został Rosemanem, a ja byłam jego żoną. Kto by uwierzył, że to moje, a nie jego nazwisko widniało nad sklepową witryną? Kiedy ktoś dzwonił do domu i pytał o pana Rosemana, oddawałam mu słuchawkę. Roseman to piękne nazwisko, bardzo odpowiednie dla kogoś prowadzącego kwiaciarnię, dlaczego nie miałyby go chcieć?

Rodzice odeszli na emeryturę w błogiej świadomości, że Mort nad wszystkim czuwa, i zdążyli umrzeć, zanim się okazało, iż byli w błędzie. Za to jestem mu wdzięczna. Przynajmniej nie sprawił bólu moim rodzicom. Stwierdzenie, że kochali go jak syna, niezbyt dokładnie oddaje uczucie, jakim go darzyli, i myślę, że jego odejście byłoby dla nich większym ciosem niż dla mnie. Mimo całej swej miłości i bezgranicznego zaufania do Morta, rodzice zrobili dziwną rzecz - mnie zapisali kwiaciarnię. Wyłącznie mnie. Wszystko było na moje nazwisko. Mort wściekał się i pomstował przez wiele tygodni. „To policzek!” - mówił. „Zdrada!”. Nie rozumiałam, o co mu chodzi. Przecież nie zostawili sklepu mojemu bratu, któremu przypadły oszczędności i pieniądze ze sprzedaży domu.

- Kwiaciarnia jest nasza - tłumaczyłam. - Moje nazwisko czy twoje, co za różnica?

Mort twierdził, że dla niego to stanowi różnicę, ogromną różnicę, i wkrótce zaczął mnie nagabywać, abym przeniosła na niego tytuł własności. Chociaż popełniłam w życiu wiele głupstw, z przyjemnością donoszę, że tego akurat uniknęłam. On nalegał, ja odwlekałam. Potem odszedł. Najwyraźniej Lila ostrzyła sobie zęby na sklep moich rodziców. Kwiaciarnia Morta i Lili. Już na samą myśl robi mi się niedobrze.

Wiele rzeczy może się zmienić w ciągu trzydziestu pięciu lat. Podczas gdy ja woziłam dzieci na wycieczki i prowadziłam Sandy i Norę na lekcje

stepowania oraz baletu, w kwiaciarstwie dokonywał się postęp. Działalam jako ochotniczka w centrum dla niepiśmiennych, pracowałam nad uderzeniem rakietał znad głowy, doskonaliłam sztukę upychania świeżych ziół pod skórę kurczaka, ale nie nauczyłam się ani jednej rzeczy związanej z prowadzeniem kwiaciarni. Owszem, zaglądałam tam czasem. Zostawiałam coś lub odbierałam. Wpadałam po bukiet róż, gdy na kolację mieli przyjść goście.

Natomiast byłam niezmiernie zaskoczona, kiedy pewnego dnia w miejscu starej kasy znalazłam komputer, choć nikt mnie o tym wcześniej nie poinformował. Sprowadzanie kwiatów, wystawianie rachunków, opłaty za przywóz, podatki - moja ignorancja była bezgraniczna. Nie zauważyłam, że rozszerzyliśmy asortyment o fantazyjne wstążki i wazon, a przy drzwiach pojawił się nawet druczany stojak z okolicznościowymi kartkami. Mort nie zostawił mi żadnych instrukcji, kiedy się spakował i wraz z Lilą wyjechał do Seattle. Nie zostawił mi także zbyt wiele pieniędzy. Po prostu zniknął.

Cóż by to była za budująca historia, gdyby skrzywdzona żona doprowadziła firmę do rozkwitu, trafiając przy okazji na łamy magazynu „Fortune 500”. Zapewne w krótkim czasie zaczęłabym robić dekoracje do głównego holu w Ritzu-Carltonie. Ale nie poszło mi tak dobrze. Przez jakiś czas nie ruszałam się z łóżka, a kiedy z niego wyszłam, znalazłam mnóstwo zwiędłych kwiatów i stos nie zapłaconych rachunków. Nie mogłam sprzedać kwiaciarni. Stanowiła sens życia moich rodziców, a ja, chociaż niewiele wiedziałam o kwiaciarstwie, na wszystkim innym znałam się jeszcze mniej. Zabrałam się więc do pracy.

Pięć lat później wyrzuciłam pieniądze, których nie miałam, na seminarium, gdzie kazano mi przeznaczyć dziesięć procent dochodu na reklamę! Ciągłe wierzyłam, że usłyszę jakąś istotną informację, dzięki której sprawy przybiorą bardziej pomyślny obrót. Gdybym tylko wiedziała, co powinnam robić, wszystko zaczęłoby gładko iść. Pośladki mi drętwiały na

składanym krześle, kawa wystygła. Wokół mnie zdesperowani nieudacznicy, tacy sami jak ja, gorączkowo robili notatki. Na szczęście zajęłam miejsce w tyle audytorium, mogłam więc wymknąć się niepostrzeżenie. Pchnęłam ciężkie, metalowe drzwi antypożarowe i wślizgnęłam się do holu. Nie było tam nikogo oprócz Romea Cacciamaniego siedzącego na pomarańczowej ławeczce.

Kiedy pierwszy raz zobaczyłam Romea w Sheratonie, ze zdziwieniem stwierdziłam, że już nie budzi we mnie nienawiści. Gdy zobaczyłam go po raz drugi, w znacznie większe zdumienie wprowadziło mnie odkrycie, że serce podskoczyło mi w piersi, jakbym miała tam zamocowaną miniaturową trampolinę. Czyżby on na mnie czekał?

- Och! - powiedział, a w jego głosie zabrzmiało rozczarowanie. - Pijesz już kawę. Chciałem cię zapytać, czy nie miałabyś ochoty na filiżankę kawy.

Popatrzyłam na niego, a potem na biały kubek w mojej ręce. Ponieważ nie było w pobliżu kosza na śmieci, wcisnęłam go w bardzo czysty piasek w popielniczce.

- Z chęcią się napiję - powiedziałam.

## Rozdział 2

Romeo Cacciamani przytrzymał mi drzwi, a ja wyszłam z bostońskiego Sheratonu w piękny wiosenny dzień. Tysiąc pytań powinno zrodzić się w mej głowie: Dlaczego mnie zaprasza na kawę? Czy zamierza rozmawiać o tym, co przydarzyło się naszym dzieciom? A może chce porozmawiać o interesach? Czy też planuje mi oznajmić, że zgodnie z rodzinną tradycją zieję do mnie nienawiścią? Jednak, tak naprawdę, przyczepiła się do mnie tylko jedna myśl: Czyż Mort nie padłby trupem? Boże, proszę, spraw, żeby Mort znalazł się w Bostonie w ten weekend! Najlepiej, żeby siedział w kawiarni po przeciwnej stronie ulicy i patrzył, jak się uśmiecham i odrzucam do tyłu połyskujące w słońcu włosy, a Romeo Cacciamani nie spuszcza ze mnie wzroku. Niech Mort zobaczy to wszystko i niech myśli, że jestem do szaleństwa zakochana i że planuję zapisać temu mężczyźnie cały majątek do ostatniego płatka włącznie. Nic skuteczniej nie powaliłoby Morta.

- Odpowiada ci Starbucks? - zapytał Romeo, patrząc przed siebie na ulicę.

Odpowiedziałam, że tak.

Znaleźliśmy stolik w tym lokalu pełnym studentów i bezrobotnych pisarzy, którym się wydaje, że kawiarnie to biblioteki. Romeo zapłacił za moją bezkofeinową kawę z mlekiem, a dla siebie zamówił czarną. Zrobiło mi się żal, że też nie wzięłam czarnej kawy.

- Dwa dolary za filiżankę kawy! - skomentował, sadowiąc się w fotelu. - Dlaczego ja na to nie wpadłem? Mam mnóstwo kawy.

- Maskotki Beanie Babies - powiedziałam. - Należało się nimi zainteresować.



- Mamy je w sklepie. Nie cierpię ich. Ludzie wydzwanają całymi dniami i pytają: „A jest Gobler? Macie Spota?” Musieliśmy założyć drugi telefon, żeby klienci mogli zamawiać kwiaty.

- Więc musi ci dobrze iść?

Spojrzał na stertę naszych materiałów na temat małych firm.

- Sama wiesz, jak jest.

Myśl o interesach najwyraźniej przygnębiła nas oboje i przez jakiś czas popijaliśmy kawę w milczeniu.

- Przez te wszystkie lata zastanawiałem się, czy nie powinienem do ciebie napisać - odezwał się po chwili. - To jedna z takich spraw, o których się myśli, ale w efekcie nigdy się ich nie robi. Dzisiaj, kiedy cię zobaczyłem, pomyślałem sobie... - urwał, nie wyjawiając, co sobie pomyślał, a mnie za bardzo męczyła ciekawość, by grzecznie czekać.

- O czym byś do mnie napisał?

- Ach, o tym wszystkim. - Machnął dłonią nad stolikiem i przez chwilę zdawało mi się, że zamierzał napisać o kawie. - O naszych rodzinach. Konflikcie między nimi. - Zamilkł i pokręcił głową. - I o Sandy. Chciałem napisać o Sandy. A może powinienem był napisać do Sandy? Kiedy cofam się pamięcią, wydaje mi się, że... nie najlepiej to załatwiłem. Tamte wrzaski i Camilla tonąca we łzach, to wszystko razem... Nadal uważam, że byli za młodzi, żeby się pobrać, chociaż my z Camillą nie byliśmy wiele starsi od nich, gdy braliśmy ślub. Na pewno trzeba im było wybić z głowy małżeństwo, ale sądzę, że nie należało rozdzielać ich na zawsze. W tym wszystkim chodziło nie o nich, lecz o nas.

To była okropna noc, potwornie zimna i lał deszcz. Tony Cacciamani przyniósł drabinę pod nasz dom, jakbyśmy wzięli Sandy jak jakąś zakładniczkę. Miała zejść po niej na dół, żeby wziąć z nim ślub, ale drabina się osunęła i Sandy z krzykiem zawisała na gzymsie za oknem swej sypialni na



pierwszym pięttrze. Cała nasza rodzina zgodnie orzekła, że to był podstęp wymyślony przez Cacciamanich i że tak naprawdę Tony chciał zabić Sandy.

- To było dawno temu - zauważyłam. I choć to prawda, wspomnienia nadal napełniały mnie smutkiem.

Pokiwał głową.

- Dawno temu. Mam córkę. Nie jestem pewien, czy wiesz. Ma na imię Plummy. Moje najmłodsze dziecko. Obecnie jest w college'u w Bostonie. Bystra z niej dziewczyna. Nie wiem, skąd się taka wzięła! Nie przypomina nikogo z naszej rodziny. Kiedy wynikła tamta historia z Sandy i Tonym, Plummy była małą dziewczynką. Dopiero zaczynała chodzić. W tamtym czasie niewiele wiedziałem o dziewczętach.

Stała mi przed oczami Sandy. Miała szesnaście lat. Siedziała na łóżku i bez przerwy płakała. Tony wydzwaniał do nas, a Mort odkładał słuchawkę. Mort powiedział Sandy, że Tony ani razu nie zatelefonował. Potem wysłaliśmy ją na wymianę młodzieżową do Szwecji. Złapała mononukleozę, przypadek był taki paskudny, że dwa miesiące później rodzina, u której mieszkała, odesłała ją do domu. Więcej nigdy o tamtej sprawie nie myślałam. To był czarny rozdział w historii mego macierzyństwa.

- Rozumiem - powiedziałam. - Nie musimy o tym rozmawiać. - Każdy, kto mnie zna, wie, że „nie musimy o tym rozmawiać”, znaczy u mnie tyle, co „przestańmy o tym mówić”. Romeo tego nie wiedział.

- Mam na myśli to, że teraz Plummy jest dojrzałą młodą damą, bardzo ładną, jak jej matka.

Pokiwałam głową, chociaż Camilla nie zapadła mi w pamięci jako kobieta odznaczająca się szczególną urodą.

- Wydaje mi się, że teraz lepiej rozumiem, jak to wszystko musiało wyglądać z twojego punktu widzenia. Gdyby Plummy oznajmiła mi, że wychodzi za mąż, w dodatku za Rosemana... No, cóż, to znacznie bardziej skomplikowane, gdy ma się córki. - Romeo pochylił się do mnie i prawie

szeptał, tak aby pisarze nie mogli go podsłuchać. - Kiedy masz chłopców, wydaje ci się, że wszystkie problemy tego świata wywołują dziewczęta. Zaczynasz o nich wszystkich źle myśleć. A potem rodzi ci się córka, no i zmienia się twoje spojrzenie na chłopaków kręcących się w okolicy. Świat zaczyna ci się jawić jako niebezpieczne miejsce.

Rozbawił mnie tym spostrzeżeniem. Usiłowałam odsunąć od siebie myśli o przeszłości.

- Dzieci będą popełniać błędy - stwierdziłam. - Poważne błędy. Możemy jedynie uczyć ich, jak powinni postępować, a potem czuwać nad nimi i służyć pomocą w krytycznych momentach.

- Dokładnie tak się zachowałam. Chroniłam swoją córkę. Właśnie to powiedziałbym ci w moim liście, którego nie napisałem.

- Wiesz, my również nie stanęliśmy wtedy na wysokości zadania. Trudno uznać nasze zachowanie za cywilizowane. Mort mówił okropne rzeczy o Tonym i o tobie. Boże, pamiętam te wszystkie wrzaski! - Usiłowałam sobie przypomnieć, co myślałam o Romeo Cacciamanim wiele lat temu, wtedy, gdy razem z żoną siedział u nas na kanapie. Czy był uprzejmy? Inteligentny? Czy uważałam, że jest przystojny? Nie jestem pewna. Czy to możliwe, by zyskał na wyglądzie w ciągu tych piętnastu lat?

- Mort ział do nas nienawiścią. Nie mam co do tego wątpliwości. Córka Morta Rosemana ucieka z chłopakiem od Cacciamanich! - Romeo pokręcił głową. - Okropna historia.

- Rotha - poprawiłam go. - Córka Morta Rotha.

Romeo wzruszył ramionami.

- Ja też was nienawidziłam - wyznałam i po raz drugi od naszego spotkania poczułam się przerażona swą nagłą skłonnością do szczerych wypowiedzi.

Moje słowa nie wywarły na Romeo większego wrażenia, zupełnie jakbym mówiła o czymś równie błahym jak niechęć do kawy bez kofeiny.

- Cacciamani i Rosemanowie - powiedział. - Wiele złej krwi.

Uznałam, że wreszcie nadarza się okazja, aby uzyskać odpowiedź na dręczące mnie od lat pytanie, którego nigdy nie mogłabym zadać ani ojcu, ani matce, ani mężowi, bo okazałoby się zbyt oczywiste, a ja wyszłabym na idiotkę.

- Dlaczego my się nienawidzimy?

- Szczerze mówiąc, nie bardzo wiem. - Romeo upił długi łyk kawy, jakby mu nie przeszkadzało, że ciągle jeszcze jest gorąca. - Po incydencie z Tonym i Sandy byłbym gotowy uznać, że znienawidziliśmy się z powodu tego, co przeżyli, ale niewątpliwie nienawidziłem was wszystkich na długo przedtem. Moi rodzice nienawidzili twoich rodziców. Ha! - Pokręcił głową. - To dopiero była nienawiść! Pewnej nocy moja matka zakradła się do ogrodu twoich rodziców i podlała solanką wszystkie krzaki róż.

- To ona zniszczyła róże?! Nie żartujesz? Moja mama zawsze mówiła, że Cacciamani rzucili na nie przekleństwo. Wszystkie krzaki padły co do jednego i potem już nigdy nie udało się mamie niczego w tym miejscu wyhodować. W końcu ojciec kupił trochę kamieni i wybrukował ten kawałek, żeby się nie kurzyło.

- To była sól stołowa Cacciamanich. Równie skuteczna jak klątwa. Kiedyś, chyba byłem wtedy w ósmej klasie, poszedłem na przyjęcie urodzinowe, na którym ty też byłaś. Miałem dość rozumu, żeby z tobą nie rozmawiać ani się do ciebie nie zbliżać, ale tamtego wieczoru w domu podczas kolacji powiedziałem ojcu, iż uważam, że jesteś całkiem fajną dziewczyną, i wtedy ojciec zaciągnął mnie za kołnierz do łazienki i umył mi usta mydłem. Czy wymydlono ci kiedyś usta?

Pokręciłam głową.

- Ohyda. Możesz mi wierzyć.

- Uważałeś, że jestem fajna? - Przybrałam możliwie najmniej kokieteryjny ton. Staralam się, aby mój głos zabrzmiał jak głos Dana Rathera.

Zostało mi nieco atrybutów urody, ale wiele czasu minęło, odkąd komukolwiek przyszłoby do głowy powiedzieć o mnie, że jestem „fajna”.

- Byłem wtedy w szczególnym wieku. Chciałem wkurzyć mojego ojca, chociaż nie przypuszczałem, że wkurzę go aż tak mocno. - Znowu upił łyk kawy i spojrzał za okno. - Tak, wtedy uważałem, że jesteś fajna. Szczerze mówiąc, dzisiaj też tak uważam.

Muszę w tym miejscu coś wyjaśnić. Na długo przed odejściem Morta nie było między nami uniesień. Nasz związek rozpadał się powoli. A po Morcie nastąpiła susza. Wcale nie czułam się dumna z tego powodu. Nie chciałam, żeby tak było, ale tak właśnie było i już, a ja nie miałam pojęcia, jak to zmienić. Brakowało mi czasu, żeby cokolwiek przedsięwziąć, skoro pracowałam całe dni, a w dodatku prowadziłam dom i pomagałam Sandy przy dzieciach. Potrzebowałam tak wielu seminariów na temat sztuki umawiania się, że nie wiedziałabym, od czego zacząć edukację. Och tak, czasami próbował ze mną flirtować jakiś pan, który zaszedł kupić kwiaty żonie, czy samotny kierowca ciężarówki, dostarczający mi towar. Nie posunęłabym się do niczego, a i oni prawdopodobnie nie robili tego na serio. Prawdziwy komplement, szczere słowa płynące z ust ujmującego mężczyzny, hm, coś takiego od dawna mi się nie przytrafiło. To było jak ledwo słyszalna piosenka. Słodka, a zarazem odległa.

- Nie pamiętam, żebyśmy byli na tym samym przyjęciu - powiedziałam.  
- A szkoda.

Machnął ręką.

- Trzymałem wtedy fason. - Uśmiechnął się. Jego przednie zęby zachodziły nieco jeden na drugi, ale to były bardzo ładne zęby. -

Przychodziłem i stałem przez chwilę z boku, a potem wychodziłem. Taki miałem styl.

Chociaż byłam bardzo ciekawa, jak rozwinie się sytuacja, nie mogłam przestać myśleć o soli.

- Dlaczego twoja matka uśmierciła nasze róże?

- Tego nie potrafię ci powiedzieć. Sądziłem, że musiałas coś o tym wiedzieć. Sposób, w jaki wymawiano nazwisko „Roseman” w naszym domu, zdawał się wskazywać, że w przeszłości musiało dojść do całej serii morderstw i napadów.

- Nie podejrzewam, aby moi rodzice zabili jakichś Cacciamanich.

- A dziadkowie?

- Litewscy Żydzi. Nie zaglądali zbyt często do Włoch. Podobno usługi kolejowe w tamtych czasach nie były najlepsze. Twoja matka jeszcze żyje, nie możesz jej zapytać?

- Wiem o podlaniu róż solanką. O innych rzeczach nic nie wiem i wolałbym się nie dowiadywać. Moja matka jest twardą kobietą. Na wiele ją stać. Jeżeli dotąd nie powiedziała mi, za co nienawidzi Rosemanów, nigdy mi tego nie wyjawia.

- A twoje dzieci?

Romeo zabębnił palcami w blat stolika. Miał ładne dłonie, smukłe i mocne, jak ktoś, kto gra na pianinie. Nadal nosił obrączkę.

- Obawiam się, że w ich przypadku to moja wina.

- Ach, nie przejmuj się! Oboje z Mortem nie najlepiej wyrażaliśmy się o was przy dziewczętach podczas rodzinnych kolacji.

- Nienawidzą nas?

Nora ziała nienawiścią. Ta Nora z lexusem, telefonem komórkowym, mężem doradcą podatkowym i własną, oszałamiającą karierą w handlu nieruchomościami. Nora nienawidziła Cacciamanich z zawziętością dorównującą najbardziej pamiętliwym członkom rodziny. Była nieodrodną córeczką swego tatusia. Wyszłaby z wesela najbliższej przyjaciółki, gdyby ta miała bukiet zrobiony przez Cacciamanich. Sandy też ich nienawidziła, ponieważ szczerze kochała Tony'ego. Swemu synkowi dała na imię Tony, co

wydawało mi się posunięciem niezbyt fortunnym, ale nigdy tego nie skomentowałam.

- One was nienawidzą.

- Moi chłopcy zachowują się jak typowi mężczyźni. Zapamiętali się w nienawiści i już. Wszyscy są Cacciamaniami z krwi i kości. A Plummy... Co do niej, nie jestem pewien. Studiuje, chodzi na tańce, pracuje w kwiaciarni. Nie sądzę, by miała czas nienawidzić kogokolwiek.

Czasami słyszy się, jak ludzie mówią o kimś, że nagle twarz mu się rozjaśniła. Zawsze uważałam to sformułowanie za idiotyczne, ale kiedy Romeo mówił o swojej córce, rzeczywiście zdawał się emanować światłem.

- Nie wydaje mi się, żebyś mnie nienawidziła, a ja nie czuję nienawiści do ciebie - podsumował. - Jak myślisz, co się stało?

Wyjaśniłam, co się stało, przynajmniej w moim przypadku. Trwałam w nienawiści zgodnie z rodzinną tradycją, a potem wszystko się zmieniło. Opowiedziałam o Morcie. Wyznałam, że gdyby jeszcze dziś rano, przy śniadaniu, zapytano mnie, co myślę o Cacciamanich, z czystego przyzwyczajenia powiedziałabym coś okropnego, ale kiedy zobaczyłam go tu, na tym seminarium dla podobnych do mnie właścicieli podupadających małych firm, opuściły mnie wszelkie uprzedzenia.

Był wdzięcznym słuchaczem. Siedział nieruchomo, gdy mówiłam, i patrzył mi prosto w twarz.

- Rozumiem - powiedział. - Kiedy zmarła Camilla... - urwał i popukał filiżanką w stół, jakby pragnął wyrazić swe myśli za pomocą kodu. - Hm, zmieniły się moje poglądy na wiele spraw. Byłbym szczęśliwy, gdybym miał ją u swego boku i dalej, jak kiedyś, nienawidził Rosemanów, ale stało się inaczej. Straciłem Camillę i zabrakło mi energii na nieistotne sprawy. Po śmierci Camilli odziedziczyłem jej zdrowy rozsądek. Przekazała mi go w spadku.

- To wspaniały dar.



- Wspaniały dar - powtórzył powoli. - Tak naprawdę nie ma wielkiej różnicy. Oboje utraciliśmy bliskie osoby i nienawiść przeminęła.

- To nie to samo. Nie kochałam Morta. Nie tak jak ty Camillę.

- Nikt nie kocha tak samo, ale jednak darzyłaś Morta uczuciem. Musiałaś go kochać. Inaczej nie byłabyś z takim idiotą przez tyle lat.

Roześmiałam się, a Romeo zawtórował mi śmiechem i dłonią o smukłych palcach poklepał mnie po nadgarstku. Nie było w tym geście seksualnego podtekstu, odczytałam go jako zdecydowanie przyjacielski, niemniej to było miłe, lekkie dotknięcie.

Wziął nasze kubki oraz moją zmiętą papierową serwetkę i wyrzucił wszystko do kosza. Kiedy wyszliśmy na zewnątrz, słońce nadal jasno świeciło, a powietrze było świeże i pachniało słodko jak hiacynty. Romeo Cacciamani kilkakrotnie wspiął się na palce, lekko przy tym podrygując.

- Wykład na temat kont emerytalnych dla ludzi prowadzących własne firmy zaczyna się o trzeciej - powiedział.

- I co z tego? Mogłabym wpłacać jeszcze przez pięć lat. Co mi to da? Nie mam pieniędzy na ubezpieczenie emerytalne. Poza tym nigdy nie uda mi się przejść na emeryturę.

- Podobnie jak mnie - odparł. - Za dużo dzieci.

- Ile?

- Sześcioro. Pięciu chłopaków i Plummy.

Zagwizdałam ze zdziwienia.

- A więc żadnych więcej wykładów. Chyba czas wracać do Somerville. - Spojrzał w głąb ulicy, jak gdyby oczekiwał, że pojawi się na niej samochód, który zawiezie go do domu. - Przyjechałaś autem?

- Oszalałaś?! Parking kosztuje majątek. Przyjechałam autobusem.

Pokiwał głową i jeszcze raz prześliznął się wzrokiem po ulicy w poszukiwaniu środka transportu, wyraźnie omijając mnie spojrzeniem.

- Szłaś kiedyś pieszo do Somerville?



- Z centrum Bostonu?

Przytaknął skinieniem głowy.

- Zwróciłem uwagę na twoje obuwie. Nosisz wygodne buty. Mogłabyś w nich iść.

Zrezygnowałam z butów na obcasach, kiedy przyszły na świat dziewczynki. Myśl, że przyjrzał się moim stopom, niesamowicie, wręcz irracjonalnie mi pochlebiła.

- Pracuję w kwiaciarni - przypomniałam. - Cały dzień jestem na nogach.

- Uprzedziłaś rodzinę, że seminarium potrwa co najmniej do piątej, prawda? Masz jeszcze mnóstwo czasu.

- Nie sądzę, bym kiedykolwiek w życiu szła pieszo taki kawał drogi.

- Nie jest tak źle. Tyle samo kilometrów robisz codziennie w swoim sklepie. Ja na pewno tyle wydeptuję. Możemy spróbować, a jeśli nie wyjdzie, weźmiemy taksówkę, a koszty podzielimy na pół.

Nie zanosilo się na deszcz, a ja miałam tyle rozumu, żeby zostawić foldery na stoliku w Starbucks. W kwietniu przeszła nietypowa, jak na tę porę roku, burza śnieżna, ale stopniały już resztki śnieżnej bryi i szarego lodu. Chodniki były czyste i suche, nadawały się do chodzenia. Kiwnęłam głową na zgodę. Dokąd zabrnęłam w tym moim życiu, że spacer z Bostonu do Somerville wydał mi się aktem nieopisanej samowoli?

- Jasne - powiedziałam. - A co tam!

Wynurzyliśmy się z cienia Prudential Center i skierowaliśmy się na Massachusetts Avenue. Potem długo szliśmy mostem. Niebo odbijało się różowo w Charles River, a przy jej prawym brzegu pływało jeszcze parę żaglówek. Kto by przypuszczał, że piesza wędrówka do Somerville może być czymś tak cudownym? Nie byłam w Paryżu, ale nie sądzę, by mogło tam być dużo piękniej niż tu. Droga okazała się dłuższa, niż myśleliśmy, więc kiedy zaczęliśmy odczuwać zmęczenie, Romeo zaproponował, żeby zajść na spaghetti do La Grocerii. Mieli tam dobre, niezbyt drogie chianti. Zabawne,

ale niewiele rozmawialiśmy o naszych rodzinach. Mówiliśmy o filmach i o serialu telewizyjnym, którego akcja toczy się w szpitalu, a który oboje oglądaliśmy. Wspominaliśmy nasze młode lata spędzone w Bostonie, rozmawialiśmy o wycieczkach, na których byliśmy, i o tych, na które zawsze chcieliśmy pojechać. Po kolacji przez długi czas szliśmy w zupełnym milczeniu. Domy o zmierzchu wyglądały tak ładnie; ciepłe, żółte światło rozjaśniało frontowe okna. Wyobrażałam sobie ludzi mieszkających w tych domach, zastanawiałam się, jak potoczyło się ich życie, czy są szczęśliwi, czy zawiedzeni. Nie przeszkadzało mi, że nie odzywam się do Romea. Wcale nie uważałam, że skończyły się nam tematy do rozmowy, widziałam w nas dwoje ludzi, którzy dobrze się znają. Dwoje ludzi, którzy nie mają niczego oprócz czasu.

## *Rozdział 3*

Kiedy zobaczyłam srebrnego lexusa na podjeździe, od razu wiedziałam, że zanoszą się na poważne kłopoty. Spóźniłam się. Wyleciało mi z głowy, że tego dnia Sandy szła na zajęcia do szkoły wieczorowej, a ja miałam przypilnować dzieci. Pewnie czekała do ostatniej chwili, aż w końcu zadzwoniła do siostry, prosząc o pomoc. Przysiadłam na niskim murku okalającym trawnik przed domem, żeby chwilę odetchnąć i odwlec to, co nieuchronnie musiało nastąpić.

Kocham Norę, ale konfrontacje z nią nie należały do łatwych. Nie tolerowała niesłowności, nie znosiła, kiedy narażało się ją na niewygodę. Pragnęłam choć przez chwilę pomyśleć spokojnie o moim cudownym wieczorze, smacznym jedzeniu i długim spacerze. Na szczęście Romeo pięć przecnic wcześniej odbił do swego pełnego rodziny domu, wierząc, że jestem dostatecznie dorosła, by bezpiecznie trafić do siebie. Nie chciałabym, żeby

oglądał mnie w chwili, gdy na własnym podwórku chowam się przed swoją córką. Kto by pomyślał, że można przejść pieszo całą drogę z Bostonu do Somerville? Mieszkałam tu całe życie i nigdy nie przyszło mi to do głowy.

Wyłowiłam klucze z dna torebki i przesunęłam palcami po ustach, aby sprawdzić, czy nie został na nich okruszek chleba, po czym weszłam do środka. Nora pozapalała światła we wszystkich pomieszczeniach. Moje wnuki, ośmioletni Tony i pięcioletnia Sara, jeszcze nie spały. Oboje płakali.

- Boże drogi! - zawołała Nora, pędząc prosto na mnie jak pociąg. - Właśnie powiedziałam dzieciom, że zamierzam zadzwonić na policję. Mamo, gdzieś ty się podziewała?! Myślałam już, że nie żyjesz!

- Nie żyjesz! - wychlipała Sara, wdrapując mi się na rękę. Mój kręgosłup nie jest już taki wytrzymały jak dawniej. Tony z całej siły objął mnie w pasie ramionami.

Usiłowałam utrzymać równowagę pod ich ciężarem.

- Nie umarłam. No już, nie płacz. Taki potok łez! Sara, spójrz na mnie! Czy wyglądam na nieżywą?

Zastanawiała się przez chwilę, po czym potrząsnęła głową, ale rozszlochana na dobre, nie mogła się uspokoić. Chlipała, chwytając w przerwach powietrze. Małymi, okrężnymi ruchami gładziłam ją po plecach.

- Tony? - zapytałam, patrząc z góry na jego czuprynę. - Wszystko w porządku?

Tony, jak zawsze niezbyt rozmowny, pokiwał głową, wprawiając w wibrację zbędne pięć kilogramów wokół mojej talii. Cała ta sytuacja łamała mi serce. Przeżywałam istne tortury przez te dzieciaki. Były szczerze przerażone. Spojrzałam na Norę. Rozłożyła ręce, jakby chciała powiedzieć: Popatrz, do czego doprowadziłaś.

- Po prostu zapomniałam - usprawiedliwiałam się. - Zapomniałam, że Sara ma dzisiaj szkołę. Inaczej wróciłabym prosto do domu.

- Gdzie ty byłaś?!

Czułam się fatalnie. Tak, dręczyło mnie poczucie winy. W dosłownym tego słowa znaczeniu byłam „splamiona” dziecięcymi łzami, niemniej cała ta scena nie ogłupiała mnie na tyle, by nie dostrzegać ironii sytuacji. O ile pamiętam, Sandy zdarzył się tylko jeden wybryk z zamążpójściem w średniej szkole, a poza tym siedziała w swoim pokoju przed telewizorem. Za to Nora dała nam do wiwatu powrotami o czwartej nad ranem. Mówiła, że idzie do sklepu po colę, a sześć godzin później jakiś chłopak podwoził ją pod dom na tylnym siodełku motocykla. Znalazłam marihuanę w pojemniczku po filmie w jej szufladzie ze skarpetkami i pudełko z krążkiem domacicznym, przyklejone taśmą do spodu kosza na bieliznę. Ta wystrojona pośredniczka handlu nieruchomościami w czółenkach z jaszczurki, z brylantowymi kolczykami w uszach, która stoi teraz z rękami skrzyżowanymi na piersi, miała zakaz opuszczania domu więcej razy, niż potrafię zliczyć. To ja ją uziemiałam, ja, jej matka!

- Byłam na seminarium. Wpadłam na znajomego. Zjedliśmy razem kolację i poszliśmy pieszo do domu.

- Pieszko! Z Sheratonu! To ja siedzę tutaj z dziećmi i myślę, że jesteś martwa...

Na słowo „martwa” Sara na nowo uderzyła w płacz.

- ...a ty sobie urządzasz spacer do Somerville!

- Gdybym pamiętała, nie szłabym pieszo. - Co za dużo to niezdrowo!

Postawiłam Sarę na podłodze i uwolniłam się z uścisku Tony'ego. Oboje z nieszczęśliwymi minami podreptali ku kanapie. - Noro, bardzo mi przykro, że musiałaś przyjechać, i dziękuję za opiekę nad dziećmi. - Usiłowałam przywrócić mojemu głosów stanowcze, rodzicielskie brzmienie, ale na niej ten ton nigdy nie robił wrażenia.

Mąż Nory, Alex, pojawił się w holu z kanapką w ręce owiniętą papierową serwetką. Byłam mu wdzięczna za ten odruch schludności.

- No, no! - powiedział. - Patrzcie tylko, znalazła się zguba.

Albo nie uwierzył, że padłam trupem, albo go to nie obeszło.

- Alex, zapomniałam, przepraszam.

- Ona szła pieszo do domu z Sheratonu - oznajmiła Nora.

Pokiwał głową z uznaniem, pokazał mi uniesiony kciuk i wrócił z powrotem przed telewizor.

- Mówią, że to nawet lepsze od biegania, jeśli dystans jest odpowiednio długi - podsumował.

- Dlaczego przywiozłaś Aleksa? - zwróciłam się do Nory.

O wiele zręczniejsze było mi sprawić kłopot mojej córce niż jej mężowi, co prawdopodobnie było skutkiem przeświadczenia, że osoby tej samej płci myślą podobnie.

- Właśnie wychodziliśmy na kolację, kiedy Sandy zatelefonowała.

Powiedziała, że spóźnisz się najwyżej parę minut. Nie wspomniała, że nie dzwoniłaś.

- Przepraszam.

- Mieliliśmy zarezerwowany stolik w Bibie.

Nie wiedziałam, gdzie to jest, ale ponownie ją przeprosiłam w nadziei, że czynię to po raz ostatni.

Alex skończył kanapkę, dzieciom powrócił regularny oddech, siedziały teraz na podłodze, otępiałe z wyczerpania. Nora narzuciła na siebie płaszcz; przypominał fasonem trencz, ale był uszyty z jasnożółtego jedwabiu. Wyglądała w nim oszalamiająco. Nie mogłam się nadziwić przemianie, jaka się w niej dokonała. Robiła karierę, była efektowna i, co tu ukrywać, zamożna. Nie przyszłoby mi to do głowy nawet w moich najśmielszych marzeniach, przynajmniej nie w okresie, kiedy była takim rarogiem. Nigdy nie przekreślaj dziecka, które sprawia ci kłopoty - taki, jak sądzę, powinien być morał tej historii.

- Ładnie wyglądasz - zauważyłam.

- Hm, wybieraliśmy się do miasta - mruknęła, wzruszając ramionami, po czym odgarnęła ciemne włosy na kołnierz płaszcza. Następnie uśmiechnęła się do mnie, prawdopodobnie, by dać mi do zrozumienia, że już nie ma pretensji. - W porządku. Ja też łatwo zapominam.

Zabrzmiało to nieco protekcjonalnie, ale przełknęłam tę uwagę.

- A więc kogo spotkałaś?

Roześmiałam się w duchu, uradowana myślą o absurdalności całej sytuacji.

- Nigdy byś nie zgadła. Choćbyś zgadywała tysiąc lat i tak byś nie wpadła, z kim byłam na kolacji.

Nora odwzajemniła mi się równie wesołym spojrzeniem, sięgając po torebkę.

- No to z kim byłaś?

- Z Romeo Cacciamanim. Wyobrażasz sobie?

Należało się lepiej zastanowić i wymyślić jakieś kłamstwo. To, że wpadłam na wroga wszystkich Rosemanów i że nie czułam niczego poza błogim spokojem, nie oznaczało, że ten stan udzieli się całemu klanowi.

Nora upuściła torebkę na podłogę. Nie wiadomo, czy miał to być dramatyczny gest, czy też chciała uwolnić ręce, żeby mnie udusić.

- Co takiego?!

Tony i Sara, pomimo otepienia, unieśli głowy, poderwani nagłą zmianą jej tonu. Zjawił się Alex z wyraźnie przestraszoną miną.

- Co się stało? - zapytał, a dzieci, jak echo powtórzyły za nim pytanie.

- Noro - zaczęłam cicho - wracaj do domu. Porozmawiamy o tym innym razem.

- Nie! - powiedziała, a właściwie wywrzeszczała.

Nora była do tego zdolna.

Już nie miałam odwrotu.

- Na konferencji - nadal mówiłam spokojnie - natknęłam się na Romea Cacciamaniego. Zaczęliśmy rozmawiać i poszliśmy na kolację.

- Z Cacciamanim?! Jadłaś kolację z Cacciamanim?

Zdumiewające! Wypowiedziała to nazwisko dokładnie tak samo jak jej dziadek. Czekałam tylko, kiedy splunie.

Usiłowałam sobie wyobrazić, co bym powiedziała, gdyby to Nora, a nie ja, wpadła na Cacciamaniego. Czy nadal byłabym skłonna wymachiwać toporem?

Zadałam sobie pytanie, o co chodzi w tej całej waśni. Nawet nie znam jej podłoża.

- Nie znasz? Dlaczego nie zapytasz Sandy? Sandy je zna!

Na dźwięk imienia swojej mamy dzieciaki znowu uderzyły w płacz.

- Mam na myśli wcześniejszy okres. Na miłość boską, Noro! Daj już spokój. On jest bardzo przyzwoitym człowiekiem.

- Nie chcę tego słuchać - powiedziała. Nagle uderzyła ją przerażająca myśl. - Czy to z nim szłaś do domu?!

- Nie - odparłam. - Oczywiście, że nie. Obiad był obfity i miałam ochotę się przejść.

- Pozwolił, byś sama szła ze śródmieścia Bostonu aż tutaj?!

- Skończ już! Przestań! Jedźcie do domu. Chcę położyć dzieci spać.

- Mamo, przysięgnij mi. Przysięgnij, że nigdy więcej nie zobaczysz się z tym człowiekiem.

- On mieszka w Somerville. Spotkam go w sklepie spożywczym.

- Wiesz, co mam na myśli.

- Dobranoc, Noro.

- Przysięgnij! Nie ruszę się stąd, dopóki nie przysięgniesz.

Przez moment wyobrażałam sobie, jak wyglądałoby nasze życie, gdyby spełniła swoją groźbę. Sandy, Tony i Sara już się do mnie wprowadzili. Teraz



doszłaby jeszcze Nora z Alekssem. Rano pod łazienką ustawiałyby się kolejka. A ja, w szlafroku, nalewałabym owsiankę do sześciu misek.

- Jasne. Przysięgam. A teraz już jedź.

Alex czekał gotowy do wyjścia; to nie był jego spór. Wychylił się i otworzył drzwi, żebym nie musiała się fatygować. Jak na doradcę podatkowego, był bardzo zrównoważonym facetem. W końcu musiał taki być, inaczej by z Norą nie wytrzymał.

- Dobranoc! - powiedział.

- Dobranoc! - odpowiedziałam. - Dzięki!

Nora wyleciała z domu jak z procy. Ani słowa do mnie czy do dzieci. A więc przysięgam; no i co z tego? I tak nie spotkam się z Romeem. Nie widziałam go piętnaście lat, minie zapewne kolejne piętnaście, zanim go znowu zobaczę. Jakie to ma znaczenie?

Położyłam dzieci spać, resztki dobrego nastroju po wrażeniach dnia przysły jak bańka mydlana. Mam sześćdziesiąt lat i powróciłam do zapinania flanelowych piżamek. W gruncie rzeczy nie narzekam. To kochane dzieciaki i mimo że wolałabym, aby małżeństwo Sandy się nie rozpadło i żeby moje wnuki mieszkały w swoim domu, gdzie zaznałyby innego rodzaju szczęścia i poczucia stabilności, przeważnie nie przeszkadzało mi, że są u mnie.

- Nigdzie nie wyjdiesz, prawda? - upewniał się Tony drżącym głosem. Był bardzo dziecinny jak na swoje osiem lat.

- Jedynie na korytarz, a stamtąd prosto do sypialni. - Nachyliłam się nad nim i bardzo mocno pocałowałam w czoło, aż zaczął się wyrywać z chichotem.

Sara spała przez cały czas, kiedy ją przebierałam w koszulkę i przenosiłam do łóżka. Zmógł ją płacz.

Dotrzymałam słowa danego Tony'emu i poszłam spać. Warto wspomnieć, co mi się przyśniło: Romeo Cacciamani rzucał kamykami w moje okno. Widziałam takie sceny w filmach, ale nigdy nie słyszałam, żeby ktoś

naprawdę robił coś takiego. Wstałam z łóżka, nie zapalając światła, podciągnęłam żaluzję i otworzyłam okno, żeby wyjrzeć na dwór. W moim śnie okno otwierało się lekko i nie miało ramy z metalową siatką, z którą trzeba się mocować. We śnie miałam na sobie bardzo ładną nocną koszulę. Była bawełniana i świeżo wyprasowana.

- Czego chcesz, Romeo Cacciamani? - zapytałam.

Stał na środku ulicy w płóciennych spodniach i w prochowcu i patrzył prosto w moje okno. Widziałam go wyraźnie, bo księżyc jasno świecił. Wyglądał tak przystojnie w jego poświacie. Dlaczego dotąd tego nie zauważyłam? Korciło mnie, żeby położyć mu dłoń na policzku.

- Czego chcesz? - zapytałam jeszcze raz, ponieważ w ogóle się nie odzywał.

Po prostu stał i patrzył.

- Musiałem cię zobaczyć - przemówił w końcu. - Nie mogłem zasnąć. Zrozumiałem, że nigdy nie dane mi będzie zasnąć, jeśli się z tobą nie zobaczę. - Wpatrywał się we mnie jeszcze przez chwilę i wreszcie, wyraźnie zadowolony, uśmiechnął się i pomachał ręką.

- Dobranoc, Julio!

- Dobranoc, Romeo!

W tym momencie się obudziłam. I tu następuje kłopotliwa część historii. Stałam przy oknie! Nigdy nie byłam lunaticzką, więc zastanowiło mnie, czy to niebezpieczne, czy mogłam wypaść. A potem przypomniałam sobie, że wszystkie okna się zacinają i że nigdy nie udało mi się ich otworzyć bez pomocy młotka. Doszłam do wniosku, że zanim znalazłabym młotek, musiałabym się przebudzić. Wyjrzałam na ciemną ulicę. Była pusta. Nie było nikogo, a ja wyszłam na idiotkę. Sen wprowadził mnie w zażenowanie, a poza tym zasmuciła mnie nieco myśl, że w mojej podświadomości zrodziło się takie pragnienie. Wróciłam do łóżka, ale już nie zasnęłam.

Rano Sandy wpadła do mojej sypialni, nawet nie zadając sobie trudu, żeby zapukać.

- Byłaś na randce z Romeo Cacciamanim?!

- Ależ nie - zaprzeczyłam. Leżałam w łóżku i patrząc w sufit, zastanawiałam się, czy zamówić goździki. - Spotkaliśmy się przypadkiem na konferencji i zjedliśmy razem kolację. Ot i wszystko.

Sandy zamknęła za sobą drzwi. Była szósta rano, dzieci jeszcze spały. Sandy miała na sobie spodnie od dresu i koszulkę Celtów z Larry Birdem na piersi. Nie przyczesła nawet wzburzonych loków i była w okularach.

- Dlaczego mi to zrobiłaś? - Dolna warga zaczęła jej lekko drżeć.

Zaniepokojona usiadłam na łóżku.

- Kochanie, niczego nie zrobiłam. To nie miało nic wspólnego z tobą.

- Więc po co poszłaś z nim na kolację?

- Sandy, nie wiem. To taka nieistotna sprawa. Wpadliśmy na siebie, zaczęliśmy rozmawiać, zgłodnieliśmy i poszliśmy coś zjeść. To wszystko. Naprawdę!

- Przecież nienawidzisz Cacciamanich. - Wytarła łzy wierzchem dłoni. Biedna Sandy! Była taka wrażliwa. Niełatwo wracała do równowagi po przeżyciach.

- Masz rację, rzeczywiście ich nienawidziłam. Kiedy wczoraj zobaczyłam Romea, uświadomiłam sobie, że wcale nie czuję do niego nienawiści. Wiele czasu upłynęło, nie sądzisz?

- To on teraz jest dla ciebie Romeo?

- Tak ma na imię.

Sandy podeszła do łóżka i przysiadła na jego brzegu.

- O niektórych sprawach nigdy się nie zapomina - stwierdziła.

Była za chuda. Od czasu rozvodu łopatki sterczały jej jak skrzydła.

- Naprawdę, nie zniosłabym, gdyby miał się tu kręcić i musiałabym co chwila słyszeć jego imię.

- Nie kręci się. Nie ma go tu.
- Więcej się z nim nie spotkasz?
- Czy wiesz, za co go tak bardzo nienawidzisz? Jestem zwyczajnie

ciekawa. Dlaczego my tych ludzi darzymy taką nienawiścią?

Spojrzała na mnie z pretensją, jakbym ją uderzyła.

- Już nawet nie pamiętasz?
- Oczywiście, że pamiętam. Chodzi mi o wcześniejszy okres, zanim to się

stało.

- Jeszcze ci mało? Usiłuję się pozbiierać. Myślałam, że będę się tu czuć jak u siebie.

- Jesteś u siebie.
- Zamierzasz widywać się z Romeem Cacciamanim?
- Nie widuję się z panem Cacciamanim. Spotkałam go przypadkiem.

Pierwszy raz od piętnastu lat.

Rozchmurzyła się nieco. Potarła oczy pod okularami.

- I nie zamierzasz się z nim więcej widywać? - upewniła się.
- Nie.
- Więc się z nim nie spotkasz?

Och, te dziewczyny! Nie ustąpią ani na krok. Co tam! Nic nie kosztuje mnie ta obietnica. I tak go nie zobaczę.

- Nie, nie spotkam się.

Sandy przeszła po łóżku na czworaka. Miała trzydzieści dwa lata, ale czasami przypominała mi Sarę, która z kolei była bardzo dojrzała jak na swoje cztery latka. Położyła się obok mnie i objęła za szyję.

- Kocham cię, mamusiu!

Powiedziałam jej prawdę, nie wdając się w wyjaśnienia, jak bardzo skomplikowana wydawała mi się ta prawda. Zapewniłam ją, że też ją kocham.

## Rozdział 4

Kiedy dziewczynki były małe, uwierzyłam, że są najważniejsze pod słońcem, że cały świat wokół nich się kręci. Na nieszczęście one wiedziały, że w to wierzę, i też zaczęły tak uważać. Dla nich byłam po prostu ich matką! Myślałam, że to się zmieni, kiedy dorosną, ale nawet wtedy, gdy Sandy miała własne dzieci, a Nora robiła karierę, nie dostrzegały we mnie takiej samej istoty z krwi i kości jak one. Obie przekroczyły trzydziestkę, obie były dojrzałymi kobietami, ale kiedy razem siedziałyśmy w kuchni, one czytały gazety, a ja kroiliłam pomidory na sałatkę. Malowały paznokcie, tymczasem ja nakrywałam do stołu. Wiedziałam, że to moja wina, że musiałam zrobić coś, co przyczyniło się do tego, iż tak zostały ukształtowane. Nie miałam złudzeń; co się stało, to się nie odstanie. Nie "ma co płakać nad rozlanym mlekiem.

Wymusiły na mnie obietnice i przysięgi, były gotowe wydrapać mi oczy, byle bym tylko nie spotkała się ponownie z Romeem Cacciamanim. Nie wyobrażały sobie, że mogłabym odmówić im czegoś, czego ode mnie żądają, bo taka była natura relacji między nami. Może miały rację. W końcu chodziło o Cacciamanich. W życiu w takim samym stopniu definiuje nas to, co kochamy, jak i to, czego nienawidzimy. Kto wie, czy bez Cacciamanich, których można było nienawidzić, Rosemanowie byliby w stanie normalnie funkcjonować. Może nasz układ kostny został zbudowany z nienawiści, dzięki niej mogliśmy chodzić wyprostowani i nie zmieniliśmy się w sterty skóry i mięśni, leżące bezwładnie na podłodze. Byłam pewna, że potrafiłabym na nowo znienawidzić Romea, mimo że przez cały ranek myślałam o nim w sposób zdecydowanie pozbawiony niechęci. Sześćdziesiąt lat nienawiści przeciwko talerzowi dobrze przyrządzonego spaghetti i długiemu spacerowi?! Zero szans na wygraną.

Sandy rzuciła college na początku pierwszego roku. Znudziła ją nauka, a do tego zakochała się z wzajemnością w chłopaku, który też miał na imię Sandy. Pobrali się i odtąd nazywali się Sandy i Sandy Andersonowie. Uwierzyli, że nowa sytuacja wynikająca z dzielenia nazwiska wystarczy, aby utrzymać związek. Pomylili się. Obecnie Sandy-mąż mieszka na Maui, uczy surfingu, upija się i zapomina przysyłać alimenty. Sandy-żona trzy razy w tygodniu chodzi do szkoły wieczorowej w nadziei, że zostanie dyplomowaną pielęgniarzką. W ciągu dnia pomaga mi w kwiaciarni, a ja wypłacałam jej pensję, na którą nie było mnie stać, wierząc, że w ten sposób daję jej poczucie niezależności. Byłam wielce elastycznym pracodawcą, a kiedy ona zjawiała się w kwiaciarni, stawała się dobrym pracownikiem. Sandy jest czarująca dla klientów i ma rękę do układania kwiatów. Wiąże ładne, radosne bukiety, takie jak kiedyś moja matka. (W przeciwieństwie do Morta, którego ambicją było robić wiązanki jak najbardziej zbliżone do kompozycji na promocyjnych pokazach kwiaciarskiej firmy wysyłkowej FTD. Sprawiały wrażenie dwuwymiarowych, nawet jeśli patrzyło się na nie z bliska). Sandy również dobrze sobie radzi z dostarczaniem zamówionych kwiatów. Nie przeszkadza jej upał i ma doskonałą orientację w terenie, czego na pewno nie odziedziczyła po mnie.

Następnego dnia po mojej kolacji z Romeem wraz z Sandy wcześniej udałyśmy się do kwiaciarni, aby przygotować poranne zamówienia i zapakować je do mojego samochodu, bo rzadziej zawodził.

Córka rzuciła okiem na listę klientów.

- Przynajmniej wszyscy mieszkają blisko stąd. Powinam szybko wrócić.

Poprosiłam ją, żeby na siebie uważała. Zawsze się o nią bałam, gdy chodziła po domach. Potem wyszłam na chodnik i pomachałam jej na pożegnanie. Za życia moich rodziców i jeszcze później, za czasów Morta, mieliśmy furgonetkę fordą z nazwiskiem ROSEMAN wypisanym na boku i

namalowanym obok wielkim bukietem róż. Uwielbiałam tę furgonetkę. Dawła mi poczucie sukcesu. Kiedy nastały ciężkie czasy, pierwszą rzeczą, której się pozbyłam, był tamten samochód. Samo ubezpieczenie kosztowało majątek.

Lubiłam być sama w kwaciarni. Bez pośpiechu zamiotłam podłogę i przetarłam szklane drzwi. Wystawiłam na chodnik wiadro pełne lilii. Dzień był chłodny i należało się ich jak najszybciej pozbyć, zanim pogubią wszystkie płatki. Wzięłam tabliczkę i wypisałam na niej cenę: 10 dolarów za wiązanekę. Po chwili namysłu obniżyłam ją do ośmiu dolarów.

Zadzwoił telefon. Jakiś klient chciał posłać bukiet na przeprosiny.

- Zachowałem się fatalnie - wyznał.

- Rozumiem - powiedziałam.

Przeznaczył na kwiaty siedemdziesiąt pięć dolarów, nie licząc podatku i kosztu dostawy, pomyślałam więc sobie, że rzeczywiście musiał zachować się fatalnie.

- Co napisać na bileciku?

Na jakiś czas na drugim końcu linii zaległa głucha cisza.

- Nie wiem. A co pani chciałaby przeczytać?

- Trudno powiedzieć - odparłam. - Pan mi nic nie zrobił.

- Co inni faceci piszą w takich sytuacjach? Nie jestem dobry w te klocki.

- Zazwyczaj coś typowego. „Kocham cię. Przepraszam”.

- Może być. Proszę tak napisać.

- A jak jej na imię?

- Catherine.

- Przez C czy przez K?

Znowu cisza.

- Nie mam pojęcia.

Westchnęłam i napisałam przez K.

- Jeżeli okaże się, że to błąd, wezmę winę na siebie.



- Cudownie - odparł mężczyzna. - Szkoda tylko, że reszty też nie mogę zrzucić na panią. Podał mi numer swojej karty kredytowej, zapisałam go w notesie.

Przypięłam zamówienie do korkowej tablicy, weszłam do chłodni i zaczęłam zmieniać wodę i przycinać lodyżki, aby zwiększyć kwiatom szansę na przeżycie. Przez te wszystkie lata, odkąd pracuję w kwiaciarni, nigdy nie nużyło mnie pielęgnowanie kwiatów. Męczyło mnie zajmowanie się rachunkami, kartami kredytowymi i czekami bez pokrycia. Miałam dość ludzi, którzy odnosili wiązanki po pięciu dniach i żądali zwrotu pieniędzy, bo kwiaty powędły. Natomiast same kwiaty nadal wprawiały mnie w zdumienie. Zawsze wzruszy mnie widok setek doniczek hortensji, ustawionych na podłodze jedna przy drugiej w Dniu Matki, czy stosy bukietów z orchidei o drżących płatkach, które dziewczęta przypinają do sukien na bale maturalne. Działalam w branży szczęścia. Naturalnie zdarzały się też pogrzeby i pobyty w szpitalach, ale nawet w tych sytuacjach kwiaty miały za zadanie wnieść odrobinę radości. Najczęściej jednak kojarzą się z miłością. Stają się środkiem wyrazu dla ludzi, którzy nie wiedzą, co powiedzieć. Wręcz komuś, kogo kochasz, bukiet z płomiennych maków o lodyżkach wijących się we wszystkie strony i pofałdowanych płatkach jak flagi falujące na wietrze. Wyglądają tak obiecująco, jak samo życie. Przekazą ukrytą wiadomość.

Kwaciarnia była jeszcze zamknięta, ale ja zdążyłam już otworzyć drzwi, wystawiając lilie na chodnik. Siedziałam na zapleczu i skracałam lodygi w pęku róż, kiedy usłyszałam gong nad wejściem. Otarłam wilgotne dłonie o dzinsy i weszłam do sklepu. Dawniej odesłałabym tego kogoś z kwitkiem, powiedziałabym, że kwaciarnia jest jeszcze zamknięta, ale czasy się zmieniły.

Między wystawką z doniczkowych chryzantem a wiadrzem niesamowicie drogich frezji stał Romeo Cacciamani.

- Masz bardzo ładny sklep - pochwalił, ogarniając spojrzeniem kwiaty. - Wiesz, nigdy dotąd tu nie byłem. Moi rodzice wmawiali mi, że Rosemanowie

handlują akcesoriami do voodoo, suszonymi nietoperzami i oczami jaszczurek. Dostanę jaszczurcze oko?

Pierwsza myśl, jaka mi przyszła do głowy, to: Dlaczego akurat mam na sobie tę okropną koszulę Morta?! Druga: Jak dawno Sandy wyjechała?

- Nie ma jaszczurek - powiedziałam.

Kiwnął głową.

- Nigdy nie byłaś „U Romea”, prawda?

Tak nazywała się jego kwiaciarnia. Rodzice tak ją nazwali na cześć syna jedynaka. Naturalnie „U Romea” to bardzo romantyczna nazwa, kojarząca się z dawaniem kwiatów. Moich rodziców doprowadzała do białej gorączki, bo w książce telefonicznej kwiaciarnia Cacciamanich znajdowała się przed naszą. W pewnym okresie ojciec naprawdę się zastanawiał, czy nie zmienić nazwy naszego sklepu na „A. Roseman”.

- Nigdy mój cień nie padł na twoje drzwi.

Byłam taka zadowolona, jakbym trafiła pulę na loterii. Jak mogłam być taka zadowolona?!

Romeo przykląkł przy pachnącym groszku, który właśnie sprowadziłam, i delikatnie roztrzepał bukiet. Byłam wdzięczna losowi, że skupił uwagę na groszku, który był rzadkością, miał dobrą cenę i oszałamiał świeżością. Zabiłabym się, gdyby lepiej przyjrzał się liliom.

- Uważam, że nadałaś charakter temu miejscu. - Wcale na mnie nie patrzył, należało więc założyć, że mówi o kwiatkach.

- Może któregoś dnia zajrzę do twojego sklepu.

Co on tu właściwie robi? Na cmentarzu Mount Alburn mój ojciec przewracał się w grobie. Cacciamani dotyka naszych kwiatów! Poza tym, jeśli zjawi się Sandy, dojdzie do eksplozji groźniejszej niż ta w Czarnobylu.

- Julia Roseman - powiedział do kwiatów. Wymówił te słowa dokładnie tak samo jak w moim śnie. To sprawiło, że moje serce zatrzymało się na

jedno uderzenie i z powrotem podchwyciło rytm. - Bardzo przyjemnie spędziłem wczorajszy wieczór.

- Ja też - wyznałam. - Do chwili gdy znalazłam się w domu.

Podniósł na mnie wzrok.

- Chyba im nie powiedziałaś, co?

- Uznałam, że to zabawne. Nie wiem, co sobie uroiłam. Popełniłam duży błąd.

Romeo pokręcił głową.

- Ja moim powiedziałem, że poszedłem sam do kina. Czasem to robię.

- Kino. Szkoda, że na to nie wpadłam. Kto z tobą mieszka?

- Mama, Plummy, bo ledwo opłacam czesne w Boston College, pokój i wyżywienie są poza moim zasięgiem. Jest jeszcze Alan, mój najmłodszy syn. W zeszłym roku został zredukowany. Miał bardzo dobrą pracę przy komputerach, teraz nie może nic znaleźć, mieszka więc u nas z żoną Theresą i trójką dzieci: Tommym, Patsy i Babe. Mają też psa, Juniora. Czy psa też się liczy?

- Tak.

- Dobra. Zatem jest nas dziewięcioro. Mam dom z dwoma niezależnymi wejściami, ale wszystko się pomieszało i już nie wiadomo, gdzie kto mieszka.

- Sprawiasz, że moje życie bardziej zaczyna mi się podobać.

- Jedna córka i dwoje dzieci. - Pokiwał głową. - Udaje ci się zachować prywatność. Nie chcę słyszeć żadnych narzekania.

- Mądrze zrobiłeś, nic im nie mówiąc. Aby chronić prywatność, należy mieć tyle zdrowego rozsądku, żeby zatrzymywać pewne rzeczy dla siebie. Mój Boże, kolacja! A można by pomyśleć, że popełniliśmy przestępstwo!

- Pamiętasz, co czułaś, kiedy się dowiedziałaś, że Sandy poszła z Tonym na kolację?

- Taak, ale oni byli dziećmi, a to istotna różnica. - Spojrzałam na zegarek. Nie chciałam być niegrzeczna, ale jeszcze bardziej nie chciałam

zostać przyłapana. - Słuchaj, nie wyganiaj cię, ale Sandy może wrócić lada chwila, a ja nie czuję się na siłach przechodzić przez ten cały cyrk jeszcze raz. Wiem, to okropne. Wszyscy powinniśmy już uwolnić się od tej zmory, ale, niestety, tak nie jest, więc... - Uniosłam ramiona.

Romeo nadal kuczał przy groszku, a ja nie wiedziałam, co by jeszcze powiedzieć.

- Po co ja tu przyszedłem?
- No właśnie, może należałoby przejść do tego punktu.
- Naprawdę przyjemnie spędziłem wczorajszy wieczór.
- Było bardzo przyjemnie - przytaknęłam.

Przysięgam na Boga, spościłam się ze strachu, bo Sandy właśnie szukała miejsca do zaparkowania!

- Od dawna nic podobnego mi się nie przydarzyło. Miałem dziewiętnaście lat, gdy ożeniłem się z Camillą. Wiedziałaś o tym?

Powiedziałam, że nie.

- Człowiek wychodzi z wprawy. Naturalnie, wreszcie mnie oświeciło.

Wcale się nie kryguję, kiedy mówię, że z powodu braku wprawy z opóźnieniem zrozumiałam, do czego tak ślamazarnie zmierza. Może w innej sytuacji i w innych okolicznościach sprawiłoby mi to przyjemność. Bawiłoby mnie przeciąganie tej sceny, ale teraz mi się spieszyło.

- Chciałbyś pójść ze mną na kolację? - podpowiedziałam.

Uśmiechnął się z wdzięcznością, z wyrazem takiej ulgi na twarzy, że aż żałowałam, iż nie zadałam tego pytania, jak tylko wszedł w drzwi. Skinął głową.

- No dobrze. A kiedy?

- Jutro.

Przeklęty los i niańczenie dzieci!

- Nic z tego. Sandy ma jutro szkołę, a ja zostaję z dziećmi. No właśnie, Sandy! Naprawdę musisz już stąd iść!

- Dziś wieczorem?

Będę miała dużo szczęścia, jeśli zdążę umyć głowę przed wyjściem, no i nie ma mowy o kupnie sukienki, bo mnie na to nie stać. Ach, co tam! Widział mnie w dzinsach i starej koszuli Morta, więc nie może mieć wygórowanych oczekiwań.

- Dziś wieczorem. Czy nie masz nic przeciwko temu, żeby wyjść przez zaplecze?

- W porządku - powiedział.

Podnosząc się, wyciągnął do mnie rękę. Za długo kuczał przy tych kwiatach. Pomogłam mu się podnieść. Na jedną sekundę zamknęłam jego dłoń w mojej. Na drugą sekundę nakrył moją rękę drugą dłonią. Poczułam, jak po ramieniu, aż do piersi przebiegł mi dreszcz.

- Przyjadę po ciebie.

- Nie, nie - zaprotestował z pewną dozą paniki w głosie. - Lepiej nie. A gdyby tak spotkać się w bibliotece?

- Mój wnuk lubi tam zaglądać. Wygadałby. Romeo zacisnął powieki.

- Dlaczego nie mogę nic wymyślić?

- W CVS na Porter Square - zaproponowałam. - O siódmej.

I wtedy, przez okno wystawowe, zobaczyłam Sandy.

- Wyjdź! - nakazałam, wskazując na zaplecze. - Tędy! Szybko!

Jak na sześćdziesięciolatka potrafił poruszać się niezwykle zwinnie, kiedy zachodziła taka potrzeba. Romeo Cacciamani w sekundę opuścił sklep tylnym wyjściem, a ja po raz pierwszy od trzydziestu dziewięciu lat byłam umówiona na randkę.

Cały dzień pilnowałam, by moje palce znajdowały się w bezpiecznej odległości od ostrzy nożyczek. Wiedziałam, że niechybnie któryś sobie obetnę. Myślałam zamówienia, do wiązanki za dwadzieścia pięć dolarów dałam róże i zupełnie zapomniałam, że do ciętych kwiatów należy dołożyć paczuszkę z preparatem przedłużającym trwałość.

- Co się dzieje? - wypytywała mnie Sandy. - Jesteś na mnie zła za rano? Martwisz się o Tony'ego i Sarę?

Zapewniałam ją, że moje zachowanie nie ma z nią nic wspólnego, ale oczywiście mi nie uwierzyła.

- Po prostu jestem zmęczona - wykręcałam się. - Niezbyt dobrze spałam.

W końcu dała mi spokój. Nadszedł czas odebrać Sarę z przedszkola. Klientów było niewiele, więc powiedziałam Sandy, że może sobie zrobić wolne do końca dnia. Chciałam, aby to zabrzmiało wielkodusznie, ale ona najprawdopodobniej i tak nie planowała wrócić. Kiedy wyszła, zadzwoniłam do mojej przyjaciółki, Glorii, która wiele wycierpiała w trakcie swego pierwszego małżeństwa, ale została wynagrodzona w drugim związku. Przyjaźniłyśmy się od siódmej klasy. Była moją druhną na ślubie i wiozła mnie na rozprawę rozwodową. Wiele nas łączyło.

- Cacciamani! - zawołała. Dostała takiego ataku śmiechu, że w końcu odłożyła słuchawkę, żeby przynieść sobie szklankę wody.

- Jestem szalona.

- Byłaś szalona, nienawidząc go przez te wszystkie lata. Wcale nie zwariowałaś, umawiając się z nim na randkę. Uważam, że jest miły. No i przystojny.

- Znasz go?

- Nie znam, ale kupowałam u niego kwiaty. Zamieniłam z nim parę słów. Wiesz, „ładną mamy dziś pogodę” i takie tam rzeczy.

To przechodziło ludzkie pojęcie.

- Kupowałaś kwiaty „U Romea”?! Myślałam, że chodzisz po kwiaty do Rosemana!

- Obecnie zawsze kupuję u Rosemana i kiedyś też tak robiłam, ale muszę ci, kochana, wyznać, że Mort doprowadzał mnie do obłądu. Strasznie dużo gadał. Jeśli mi się spieszyło, to wołałam pójść do „Romea”.

- Co do tego masz rację. Nie sądzisz, że okropnie się zachowuję?

Dziewczęta mnie znienawidzą!

- Nie dowiedzą się, jeśli stać cię na dyskrecję. Poza tym jesteś dorosła. Należy ci się odrobina rozrywki. Szczerze mówiąc, nigdy nie potrafiłam się połapać, o co chodzi w tym konflikcie między waszymi rodzinami. Za co wy wszyscy tak ich nienawidzicie? Pamiętam, że kiedy byliśmy małe, twój tata całymi godzinami potrafił psioczyć na Cacciamanich, aż myślałam, że dostanie od tego zawału.

- I to jest w tym wszystkim najdziwniejsze. Ja też nie wiem, dlaczego ich nienawidziliśmy. A Romeo nie ma pojęcia, dlaczego oni nienawidzą nas. To chyba taka tradycja.

- Zatem koniec tradycji? W co się ubierzesz? - Gloria miała większe doświadczenie ode mnie. Krótko mówiąc, ona wiedziała co nieco, a ja nic. - Dokąd się wybieracie?

- Mamy się spotkać w CVS na Porter Square.

- Według mnie nie powinnaś ubierać się zbyt szalowo. Czy wiesz, co on lubi robić?

- Lubi spacerować.

- Załóż buty na płaskim obcasie. Co do reszty - sprawa pozostaje otwarta.

Usiadłam na stołku i oparłam głowę o korkową tablicę.

- Może powinnam zadzwonić, że to nieaktualne?

- Wetrzyj trochę perfum w zgięcia pod kolanami. Mężczyźni to uwielbiają.

- Nie sądzę, by miał okazję wejść w kontakt ze zgięciem pod moim kolanem.

- A co z antykoncepcją?

Roześmiałam się.



- No nie! Nie dość, że gryzę się tą kolacją, to każesz mi się jeszcze martwić rzeczami, które i tak nie będą miały miejsca.

- Szczerze radzę, lepiej dla ciebie, jeśli będziesz przygotowana. Trzeba wziąć pod uwagę wszystkie możliwe scenariusze.

Niestety, nie potrafiłam wyobrazić sobie żadnego z nich. Nawet nie wiedziałam, jak niepostrzeżenie dostanę się na miejsce. Nagle sparaliżował mnie ten rodzaj strachu, z którym nie miałam do czynienia od chwili, kiedy Mort powiedział mi o Lili.

- Posłuchaj, Glorio, bądź przyjaciółką, co? Przyjedź po mnie. Ogłoś wszem i wobec, że wybieramy się na kolację. Dziewczęta nabiorą podejrzeń, jeśli wieczorem znów wyjdę sama.

- Chcesz, żebym cię podwiozła?

- Gdybyś była taka dobra - poprosiłam. Było mi wstyd, że mój głos zabrzmiał tak cienko i żałośnie.

- Jasne, Julio - odparła. - Zapewnię ci alibi, kiedy tylko zechcesz.

Zamknęłam sklep pół godziny wcześniej i wróciłam do domu, by poleżeć w wannie. O dziwo, w domu było pusto, a panująca wokół cisza dała mi fałszywe poczucie wewnętrznego spokoju. Może wszystko się ułoży. Może spędzimy miło wieczór i nikt się o tym nie dowie.

Gloria ma rację. To żadna zbrodnia. Jediną kwestią, co do której się z nią nie zgadzałam, była sprawa perfum. Kwiaciarze trzymają się od nich z daleka. My dobrze wiemy, że na świecie jest tyle wspaniałych zapachów, z którymi żadne perfumy nie mogą konkurować.

## Rozdział 5

O szóstej Sandy, Tony i Sara wrócili z McDonald'sa, najwyraźniej zawartość pudełek z hamburgerami ciągle jeszcze stanowiła źródło radości. A piętnaście po szóstej do domu wmaszerowała Nora. Gotowa byłabym się założyć, że się pojawi.

- Oprowadzałam klientów po domu parę kroków stąd - oznajmiła. - Pomyślałam, że wpadnę na chwilę.

Nora była ubrana w kostium w odcieniu szmaragdowej zieleni, a na szyi miała luźno zawiązany szalik od „Hermesa”. Moja mała Harlejówka! Zrobiłaby prawdziwą karierę w CIA.

- Znakomicie wyglądasz - powiedziałam.

Sandy, która w dzinsach i bluzie dresowej grała rolę kopciuszka, wyglądała dokładnie jak ktoś, kto spędza dzień na pracy przy roślinach i zajmowaniu się dziećmi. Ze zrezygnowaną miną zniknęła w kuchni, by dopilnować, żeby pociechy zjadły lody, nie ruszając się od stołu.

- Ty też nieźle wyglądasz - zrewanżowała się Nora. - Wychodzisz gdzieś?

- Tak, rzeczywiście. Jedziemy z Glorią na kolację.

- W środku tygodnia?

- W środku tygodnia też się jada.

- Tak tylko zapytałam - odparła.

- No to nie pytaj.

- Wiesz, posiedzę jeszcze chwilę. Nie widziałam Glorii całe weki. Jest szczęśliwa z Buzzem, prawda?

- Dobrze im się ułożyło.

Nora przez chwilę przechadzała się po pokoju, obciągnęła spódnicę, wyprostowała klosz na lampie. Wcale nie chciała zostać. Chciała wracać do domu, do Aleksa, ale musiała mnie skontrolować. Nie mogłam się na nią za

to nadmiernie złościć, bo spełniły się jej najgorsze podejrzenia co do mego charakteru. Zamierzałam złamać daną jej obietnicę, jak tylko uda mi się dotrzeć do CVS.

- Jaki jest ten dom? - zapytałam.

Pragnęłam mieć trochę czasu dla siebie, sprawdzić szminkę, zetrzeć ją i nałożyć ponownie kilka razy, co, jak zapamiętałam, stanowiło klasyczny rytuał przed randką. Potrzebowałam czasu, żeby się podenerwować, a zamiast tego siedziałam w salonie i rozmawiałam z Norą o niczym.

- Jaki dom?

- No ten, który pokazywałaś. To gdzieś blisko stąd? Nora lekko przechyliła głowę na wschód.

- W tamtym końcu.

- To świetnie - odparłam.

Nora z westchnieniem opadła na fotel, zupełnie zapominając o starannym wygładzeniu spódnicy.

- Co słyhać w kwiaciarni? Jak idzie?

- Nie za dobrze, jak wiesz.

- Nie rozumiem, dlaczego nie zrezygnujesz. Sprzedaj sklep i kup sobie mieszkanie w jakimś kondominium, na przykład na Florydzie. Wiesz, że oboje z Alekssem chętnie ci pomożemy.

- Chcę rozkręcić firmę.

- Mamo, nic z tego nie będzie. Z roku na rok jest gorzej. Wycofaj się, dopóki firma jest jeszcze coś warta, bo w końcu zbankrutujesz. Cała praca taty pójdzie na marne.

- To nigdy nie była praca twojego ojca. Tylko mojego. - Przyrzekłam sobie solennie, że nie będę się źle wyrażać o Morcie, ale kiedy chodziło o interesy, nie potrafiłam się powstrzymać. Mort zrobił kawał dobrej roboty. Doprowadził sklep do rozkwitu, ale kwiaty nigdy go nie obchodziły, w końcu

okazało się, że ja też go nie obchodzę. W tej chwili nie byłam w nastroju, żeby wysłuchiwać, jak to marnuję owoce jego ciężkiej pracy.

- Nazywaj to sobie, jak chcesz - powiedziała Nora. - Po prostu martwię się o ciebie. Boję się, że wyjdiesz z tego bez grosza. A wszystko przez Cacciamanich, zdajesz sobie z tego sprawę, prawda? To przez nich firma się wali. Oczerniają nas, gdzie tylko się da. Przechwytyują wszystko; duże wesela i imprezy charytatywne.

- My też dostarczamy kwiaty na sporo wesel. Nawet zastanawiam się, czy nie założyć dodatkowo firmy organizującej przyjęcia weselne. Zazwyczaj pomagam dziewczętom znaleźć firmę cateringową i wybieram suknie dla drухen. Myślę, że ten pomysł mógłby wypalić.

- Uważam, że oni są antysemitami. - Nora nigdy nie słuchała tego, co mówię.

- Bzdura! Dlaczego tak sądzisz?

- Och! - rzuciła, patrząc nieobecny wzrokiem na paterę na stoliku do kawy. - Cały czas kręcę się wśród ludzi. Słyszę różne rzeczy.

- Słyszysz różne rzeczy od swojego ojca, a to, co on mówi, niekoniecznie musi być prawdą.

- Bronisz ich.

- Nie bronię, ale nie możesz nazywać kogoś antysemitą wyłącznie za to, że cię nie lubi. Czy jesteś przeciwko katolikom?

- Naturalnie, że nie.

- Więc sama widzisz.

Nora wstała i jakimś cudem udało jej się spojrzeć na mnie nieco z góry, chociaż to ja byłam wyższa.

- Nic nie rozumiesz.

- Jezu! - westchnęłam i wtedy rozległ się dzwonek u drzwi, a mnie zalała fala wdzięczności. - Wybieram się na kolację. Jak chcesz, możesz tu na mnie poczekać. - Weszłam do kuchni i ucałowałam Tony'ego i Sarę na dobranoc.

Sandy wpatrywała się we mnie z pretensją, więc nachyliłam się i ją też pocałowałam.

Nora wpuściła Glorię, stały teraz w salonie i chichotały jak stare przyjaciółki.

- Czas się zbierać - powiedziałam.

- Może pojedę z wami - zaproponowała Nora. - Alex wieczorem idzie na zebranie, a ja nie mam żadnych planów. Może być fajnie. Same kobitki.

Gloria wzięła głęboki oddech i położyła dłoń na ramieniu Nory.

- Złotko - zaczęła - wybaczone, ale dzisiaj chcę mieć twoją mamę wyłącznie dla siebie.

- Wszystko gra?

Gloria uniosła ramiona, a w wyrazie jej twarzy bezradność mieszała się z determinacją.

- Muszę omówić pewne sprawy z twoją mamą. Wiesz, ona jest dla mnie aniołem. Masz szczęście, że trafiła ci się taka cudowna matka.

- Cześć, Gloria! - zawołała Sandy z kuchni.

- Cześć, kochanie! Ucałuj ode mnie dzieciaki! No, będziemy uciekać! -

Gloria otoczyła mnie ramieniem i wyprowadziła z domu, zanim dyskusja zdążyła się rozwinąć.

Wieczór był rześki i bezchmurny, jednak w Somerville nigdy nie widać wyraźnie gwiazd. Przyćmiewa je duża liczba palących się świateł. Wsiadłam do plymoutha Glorii, a ona wcisnęła gaz i wyjechałyśmy z mojej ulicy.

- Myślałam, że chcesz, abym po ciebie przyjechała, bo brak ci zdecydowania, ale to bardziej przypomina ucieczkę z więzienia.

- Pilnują mnie.

- Na to wygląda. Myślę, że powinnyśmy pokręcić się trochę po okolicy, by się upewnić, czy Nora za nami nie jedzie. Nie wiesz czasem, gdzie ona kupiła te szpanerskie buty?

- Nie mam pojęcia. Nawet nie starczyło mi czasu, żeby się podenerwować.

- Dobrze wyglądasz.

To Gloria dobrze wyglądała. W zeszłym roku dała sobie usunąć zmarszczki wokół oczu i chociaż zaklinałam się, że operacje plastyczne mnie nie interesują, muszę przyznać, że byłam pod wrażeniem.

- Pamiętam, jak w dziesiątej klasie mówiłam matce, że zostaję u ciebie na noc, a tymczasem wypuszczałam się z Jerrym Shapiro. Wspaniale mnie kryłaś. Moja matka uważała, że masz na mnie zbawienny wpływ.

- Kiedyś miałam zbawienny wpływ - zauważyłam.

- Cieszę się, że mogę ci się zrewanżować. Julio, potrzebujesz trochę rozrywki. Dałaś się stłamsić, jeśli chcesz znać moje zdanie. - Gloria zatrzymała się przed CVS, w strefie, gdzie obowiązywał zakaz parkowania. Była za dziesięć siódma. - Mam po ciebie przyjechać?

Potrząsnęłam głową.

- Jakoś wrócę.

- Albo i nie. - Przechyliła się w moją stronę i cmoknęła mnie w policzek.

- Myśl pozytywnie.

Zastanawiałam się, gdzie ja miałam głowę, żeby wybrać na spotkanie z mężczyzną lokal z ostrym, jarzeniowym oświetleniem. Powoli, z obojętną miną przechadzałam się między regałami, starając się nie wzbudzić podejrzeń, by nie zatrzymano mnie jako ewentualnej złodziejki, zanim jeszcze on się pojawi.

W dziale kosmetyków napisy na słoiczkach z podkładem zapewniały, że cera po ich użyciu będzie młodsza i dobrze nawilżona. Była tam też gama lakierów do paznokci o nazwie „Fetysz”. Wzięłam do ręki szminkę „Francuski Pocałunek” i po chwili włożyłam ją z powrotem w otwór w plastikowym stojaku. Kremy obiecywały cudowne przywrócenie młodości, lifting po jednej nocy i kompleksowe przeciwdziałanie starzeniu się skóry. W kąciку z prasą

wcale nie było lepiej. „Czego nigdy nie dowiedziałaś się od matki o wielokrotnym orgazmie”. „Jak sprawić, by błagał o więcej”. „Udany seks po dwudziestce, trzydziestce i czterdziestce”. Zatrzymałam się i sięgnęłam po to ostatnie czasopismo. A co się stało z satysfakcją seksualną po pięćdziesiątce? Co z seksem po sześćdziesiątce? Dlaczego nie ma „Udanego seksu po sześćdziesiątce”?! Czy jesteśmy skończeni? Nie mamy do tego prawa? Tak bardzo nas podnieca wożenie wnuków na lekcje pływania, że nawet nie pomyślimy o seksie? Aż tak pławimy się w rozkoszach złotego wieku, że nie potrzeba nam odrobiny aktywności? Położyłam magazyn na półce tylną okładką do góry; na zdjęciu dziewczyna i chłopak, mokrzy i oblepieni piaskiem, biegli przez fale, trzymając deski surfingowe i papierosy. Wcale mi to nie poprawiło nastroju.

Gdy zabłądziłam do części aptecznej, miałam dość jak na jeden wieczór. Specjalne kremy tuż obok bielizny dla dorosłych. Całe półki prezerwatyw w niewyobrażalnych kolorach i o najróżniejszej fakturze, a wszystkie obiecywały ochronę przed chorobami przenoszonymi drogą płciową. Zupełnie o nich zapomniałam. Prezerwatywy o nazwie „Lambskin” i „Magnum”. Kondomy w okrągłych opakowaniach z cynfolii, przywodzące na myśl czekoladki-monety z mojego dzieciństwa. Tytuł z tamtego czasopisma nie kłamał. Te sprawy były poza mną, wypadłam z gry. Kiedy tak stojąc zapatrzona na te pudełeczka, czytałam okrutnie przygnębiające slogany reklamowe („Jak dotyk miłości”) i myślałam, że seks jest sportem dla młodych, poczułam, jak ktoś lekko popukał mnie w ramię.

- Robisz zakupy? - zapytał Romeo.

Nie miałam okularów, więc mój nos znajdował się jakieś dziesięć centymetrów od pudełka z kondomami.

- To chyba najgorsza chwila w moim życiu - odpowiedziałam.

- No i dobrze. Teraz może już być tylko lepiej.

Uśmiechnął się, a ja pomyślałam, że musi mieć rację.



Wziął mnie za rękę i wyprowadził spomiędzy półek ze środkami antykoncepcyjnymi, co było bardzo mądrym posunięciem z jego strony, bo inaczej nie pozostałoby mi nic innego, jak tylko zapaść się pod ziemię.

- Pomyślałem, że moglibyśmy pojechać na Harvard Square na sushi.

Lubisz sushi?

- Surową rybę?!

- Wiem, mnie też to się nie mieściło w głowie. Plummy mnie namówiła. To ulubiona potrawa dzieciaków z college'u. Jest naprawdę smaczna, tylko trzeba się przełamać, ale jak nie chcesz, możemy wybrać jakieś inne miejsce.

- Nie - zaprotestowałam. - Wziąwszy pod uwagę okoliczności, surowa ryba jest dokładnie tym, co powinniśmy zjeść. To gastronomiczny wybryk, nie sądzisz?

- Pewnie.

Kiedy szliśmy do samochodu, Romeo trzymał mnie za rękę. Cudownie jest mieć kogoś, kto weźmie cię za rękę. Mort prowadził mnie za rękę, gdy po ślubie szliśmy przez synagogę, potem już nigdy tego nie robił. Kiedy moje córki były małe i trzeba było przejść przez jezdnię albo przez parking, brałam je za rękę, aż pewnego dnia poczuły się na to za dorosłe i zaczęły się wyrывać. Brakuje mi tego miłego, odrobinę wilgotno-lepkiego kontaktu między nami. Cieszyłam się, kiedy znowu mogłam trzymać za rączki Tony'ego i Sarę. Ale jeszcze bardziej ucieszyło mnie, że Romeo pochwycił moją dłoń, zwłaszcza że wiedziałam, iż zrobił to dla przyjemności, a nie ze strachu, że mogę wpaść pod samochód.

A oto rada dla wszystkich, którzy wyszli z wprawy w randkowaniu: jeżeli się denerwujesz, szczególnie jeśli jesteś umówiona ze swym śmiertelnym wrogiem, postaraj się zapanować nad nerwami, robiąc coś, co wprawi cię w jeszcze większe zdenerwowanie, czyli na przykład: skok ze spadochronem, napad z bronią w rękę albo konsumowanie sushi. Restauracja sprawiała miłe wrażenie. Panował w niej spokój, ściany były

wytapetowane, a oświetlenie dyskretne. Słyszeć było muzykę, chyba flet, któremu towarzyszyło coś w rodzaju szmeru strumyka, a na stoliku hostessy stała ikebana, która nas oboje wprowadziła w zachwyt. Pozwoliłam Romeo dokonać wyboru dań, bo nawet najbardziej oświecona feministka nie wie, jak zamawia się sushi, jeśli nigdy tego przedtem nie jadła. Kelnerka przyniosła nam schłodzoną sake, a kiedy podniosłam butelkę, Romeo wyjął mi ją z ręki.

- Nigdy sama sobie nie nalewaj - powiedział, napełniając mój kieliszek. - To przynosi pecha. Wiem od Plummy. - Potem podał mi butelkę, a ja nalałam sake do jego kieliszka. - Za najpiękniejszą kwiatarkę w Somerville - wznosił toast.

- Nie kładź! - Lekko trąciłam się z nim kieliszkiem.

- Szczerze - powiedział. - Naprawdę tak uważam.

Zakręciło mi się w głowie po dwóch łyżkach sake, co niewiele miało wspólnego z ilością wypitego alkoholu. Po chwili na stół wjechała czarna taca z laki, a na niej kawałeczki surowej ryby na brykiecikach z białego ryżu. Niektóre z tych kawałków były obwiązane wodorostami, jak gdyby ryby były jeszcze żywe i mogły uciec. Nagle konieczność zjedzenia tego dania wydała mi się tak przerażająca, że zapomniałam o zdenerwowaniu z powodu randki. Aby to uczcić, włożyłam kawałek łososia do ust. Był całkiem dobry. Węgorza dyskretnie wyplułam w serwetkę, to samo zrobiłam ze słuchotką, bo wyglądem przypominała ludzkie ucho.

- Kiedyś robiłem tak samo - zauważył Romeo. - Przyzwyczaisz się.

- Do tego też? - wskazałam pałeczką na jeden z okazów. - Do tego też się przyzwyczaję?

- Też - zapewnił mnie. Wyciągnął ręce ponad stolikiem, dotknął moich dłoni i zaraz je cofnął. - Ciągle nie mogę uwierzyć, że jem z tobą kolację.

- To niewiarygodne - odparłam i zapragnęłam, by znowu dotknął moich rąk.

- Muszę ci wyznać, że na seminarium nie wpadłem na ciebie przypadkiem.

- Co? - Niby bezwiednie położyłam rękę na stoliku, na wypadek, gdyby chciał mnie za nią potrzymać.

- Przechadzałem się pośród ludzi i nagle ujrzałem kobietę, piękną kobietę. Widziałem ją tylko przez chwilę, ale jakimś cudem wydała mi się znajoma.

Nie byłam zachwycona tą historią.

- Zacząłem krążyć w pobliżu, żeby odczytać nazwisko na plakietce, ale mnie nie widziałaś.

- Ciebie?

- A potem zawróciłem po raz trzeci i dosłownie wpadłem na ciebie.

- Nie zauważyłam cię wcześniej.

- Rozmawialiśmy przez minutę i ty odeszłaś. Wpadłem w panikę.

Pomyślałem: już po wszystkim. Chociaż miałem zamiar wyjść z seminarium, coś mi kazało usiąść na ławce i zaczekać. Czy zdarzyło ci się mieć takie uczucie, że musisz coś zrobić bez względu na konsekwencje?

- Nie, aż do niedawna - odpowiedziałam. Wzięłam butelkę i nalałam sake do kieliszka Romea.

- Chciałbym, żebyśmy się lepiej poznali. Jak dwoje ludzi, a nie Roseman i Cacciamani.

- Uważam, że to dobry pomysł - odparłam. - Opowiedz mi o swoich dzieciach. - Dzieci zawsze stanowią wdzięczny temat, pomyślałam.

Romeo uśmiechnął się i odchylił na oparcie fotela. Lubił swoje dzieci. To było widać.

- Wcześniej zaczęliśmy z Camillą. Joe, mój pierworodny, ma czterdzieści lat. Prowadzi firmę przewozową i dobrze mu się wiedzie. Jest żonaty, ma troje dzieci. Drugi w kolejności to Raymond, nadal w wolnym stanie. Pracuje ze mną w kwaciarni. To właśnie on kiedyś przejmie po mnie interes, bo ma

dar do zajmowania się kwiatami. Nicky jest w siłach lotniczych, stacjonuje w Niemczech. Jakies pięć lat temu ożenił się z Niemką i urodziło im się dwoje dzieci. Następny w kolejności jest Tony. - Romeo westchnął. - Pamiętasz Tony'ego? Ma teraz trzydzieści trzy lata. Ile lat ma Sandy?

- Trzydzieści dwa.

- Tony pracuje dla Światowej Organizacji Zdrowia. Obecnie przeprowadza szczepienia w Ekwadorze.

- Ożenił się?

Romeo pokręcił głową.

- Nie. Muszę ci wyznać, że chyba namieszałem mu w życiu.

- To znaczy?

- Myślę, że Tony był naprawdę zakochany w Sandy, że to nie było szczenięce zadurzenie. Chyba nigdy się nie pozbierał.

Pomyślałam o biednej Sandy, siedzącej w domu z dziećmi, o pudełkach od McDonalda, podręcznikach do pielęgniarstwa, zadaniach domowych. Ona też się nie otrząsnęła po tamtej historii.

- O Alanie już ci opowiadałem. Mieszka u mnie z Theresą i trojgiem dzieci. No i jest jeszcze moja Plummy. Skończyła dwadzieścia lat. Jej narodziny były dla mnie i dla Camilli wspaniałą sprawą. Prawdziwym darem.

- Można by pomyśleć, że to była niespodzianka.

- Pięciu chłopców, sądziliśmy, że na tym koniec, że nie będziemy mieli więcej dzieci. Aż tu nagle pojawiła się

Plummy. Zapewniam cię, że nie usłyszysz ode mnie słowa skargi na jej temat.

- Daliście jej na imię Plummy?

- Nie, nazwaliśmy ją Patience\*, bo Camilla powiedziała, że dużo cierpliwości wymagało doczekanie się córki. To chłopcy wołali na nią Plummy\*\*. Nawet nie wiem, kto pierwszy tak ją nazwał. Uważali, że jest słodka. Chyba wzięli to z piosenki Beatlesów. Oni mieli bzika na jej punkcie.

\* Patience [ang.] - cierpliwość (przyp. tłum.)

\*\* Plummy [ang.] - śliweczka (przyp. tłum.)

Pomyślałam, że to musi być miłe mieć taką liczną rodzinę i dom tętniący życiem przez cały dzień, pełen kolegów i koleżanek dzieci, ich dziewczyn i chłopaków, a później także ich latorośli. Ile kwiatów poszło na ich ślubne wiązanki!

- To wszystko razem brzmi bardzo sympatycznie.

- Camilla stworzyła ciepły dom. Była cudowną matką. Kiedy teraz o tym myślę, zdaję sobie sprawę, ile miała na głowie. Nie zastanawiałem się nad tym do czasu jej choroby, kiedy musiałem przejąć obowiązki. Wiesz, ona chroniła mnie przed wieloma problemami. Czuwała nad nami wszystkimi.

Jedliśmy lody i piliśmy herbatę z miniaturowych filiżanek.

Rozmawialiśmy o prowadzeniu kwaciarni, o tym, u kogo zamawiamy kwiaty i na czym można zarobić. Oboje zdradzaliśmy nasze największe tajemnice zawodowe; podczas tej kolacji dowiedziałam się więcej niż na seminarium. Wyjawiłam mu, że planuję założyć firmę organizującą wesela. To była rzecz, którą naprawdę potrafiłabym robić. Podobało mi się organizowanie dużych przyjęć. Romeo powiedział, że mnie podziwia. Wyznał, że jest kiepskim organizatorem. Zatrudniał zbyt wielu członków rodziny i chociaż oferował dobry towar, zdarzało mu się popełniać błędy wynikające ze skłonności do bałaganu. Pewnego razu przeoczył całe ślubne zamówienie - bukiety dla druhen, dekorację ołtarza, kompozycje z kwiatów do sali recepcyjnej. Źle zaznaczył datę, zapisał zamówienie na następny tydzień.

Ja z kolei, po pięciu latach samodzielnej działalności, ciągle miałam wrażenie, że nie panuję nad sytuacją i że każdego miesiąca dochód gdzieś się rozplywa. Jedno nie ulegało wątpliwości: oboje zmierzaliśmy ku bankructwu.

Choć rozmowa, w którą się wdaliśmy, wcale nie była beztraska, opuszczając restaurację, czułam się wspaniale. Romeo zaproponował, że odwiezie mnie do domu albo wysadzi mnie na końcu mojej ulicy i stamtąd dojdę do domu sama. Kiedy dotarliśmy na miejsce, podjechał do krawężnika i wyłączył silnik.

- Nikt mi nigdy nie powiedział, że z Rosemanów są tacy dobrzy kompani.

- Tylko wtedy, gdy nie sprzedajemy suszonych dziobków słowików.

- Kiedy Camilla umarła, pomyślałem, że to koniec. Zналиśmy się od ósmej klasy. Byliśmy bardzo zżyci. Sądziłem, że nigdy nie będę miał tyle czasu, żeby poznać kogoś odpowiedniego.

- Jasne - powiedziałam.

Widziałam z tego miejsca mój dom. Wszystkie światła były pogaszone. Rodzina poszła spać.

- Przecież znam ciebie. Ta myśl mnie wczoraj uderzyła. To samo czuję dzisiaj. Od urodzenia wysłuchiwałem historii o Rosemanach. Może to nie były najlepsze opowieści... - Urwał i zabębnił palcami w kierownicę.

- Wiem, co chcesz powiedzieć. Rosemanowie i Cacciamani w gruncie rzeczy są tacy sami.

- Tacy sami - powtórzył.

Zdarzało mu się powtarzać po mnie niektóre słowa. To mi się podobało. Miałam wrażenie, że naprawdę mnie słucha. A potem Romeo Cacciamani zrobił coś cudownego. Nachylił się i mnie pocałował. Najpierw w dolną, a potem w górną wargę. Pocałunki były delikatne, po każdym z nich odrywał się ode mnie, jakby zamierzał na tym poprzestać i zaraz zmieniał zdanie. Później ujął moją twarz w dłonie, przesunął kciukami pod oczyma i musnął

ustami powieki, najpierw prawą, potem lewą, pocałował mnie w czoło i w przedziałek. Splotłam ręce na jego karku i pocałowałam go w usta i w szyję. To był dla mnie zupełnie nowy aspekt historii z Cacciamaniami, nikt o nim nie wspomniał, omawiając zagrożenia płynące z ich strony. Nikt nigdy mnie nie ostrzegł, że potrafią tak dobrze całować. Oszołomiona, pławiłam się w ciepłej, ciemnej rzece delikatnych pocałunków, którymi obsypywaliśmy nawzajem nasze dłonie i podbródki. Czulałam woń mydła na jego skórze i płynu do płukania tkanin na podkoszulku. Poznałam zapach jego włosów i smak ust - nadal smakowały jak sake i ryż. Och, Romeo, ta chwila była za-  
dośćuczynieniem za wszystkie przepracowane do późna dni, za samotne powroty do domu, za łzy nad księgami rachunkowymi i różami, u których na płatkach pojawiały się brunatne plamy, za zamartwianie się Sandy, Norą i dziećmi, za gniew na Morta i za tęsknotę za rodzicami. Wszystko to zniknęło gdzieś, zmyte czuлыми pocałunkami. Może nie zniknęło na zawsze, ale w tej chwili nie istniało, a przecież, czyż nie o to właśnie chodziło? Stałam się nieważka. Odkrywałam najlepszą stronę mojego ja - zdolną do miłości, czułą i delikatną. Jak dobrze było znowu widzieć tamtą kobietę, jak dobrze było obejmować i samej znaleźć się w objęciach! Gdyby ogromny asteroid spadł na nas, w tym samochodzie zaparkowanym na końcu mojej ulicy, w momencie gdy język Romea Cacciamaniego dotykał moich zębów, uznałabym swe życie za szczęśliwe i udane. Znowu go pocałowałam. Straciłam poczucie czasu, do-piero po dłuższej chwili oboje zorientowaliśmy się, że robi się późno.

- Mogę cię odprowadzić? - zapytał.
- Lepiej nie. - Przechyliłam się i jeszcze raz go pocałowałam.
- Poradzimy sobie jakoś, prawda? Znajdziemy sposób.
- Za wszelką cenę - odpowiedziałam.

Położyłam dłoń na jego ręce, a potem wysiadłam z samochodu.

Zaliczyłam już pieszą wędrowkę z Bostonu do Somerville. Teraz mogłabym



minąć mój dom i pozwolić nieść się nogom na zachód. Szłabym tak do Rochester, do Cleveland, do Fortu Wayne w Indianie. Przeszłabym całą drogę do Iowy, a potem przez Nebraskę i Góry Skaliste dotarłabym aż do Oregonu i nawet tam bym się nie zatrzymała, gdybym nie miała ochoty. Mogłabym wejść do oceanu, mogłabym płynąć. Dziś wieczorem byłam taka pewna siebie. Mogłabym iść bez końca.

## *Rozdział 6*

Po ciemku weszłam po schodach do mojego pokoju. Znałam drogę na pamięć. Miałam opuchnięte wargi. Co chwilę dotykałam ich palcami i językiem. Nie zawiodły mnie. Mogłam z nich jeszcze zrobić użytek, kiedy ich potrzebowałam. Jakie to podniecające, odkryć po tak długim okresie zaniedbania, że nadal są jędrne, że jeszcze się nadają. Namacałam nocną lampkę i zapaliłam ją. Usiadłam na brzegu łóżka i pohuśtałam się na materacu. Gdybym miała dwadzieścia lat, kochałabym się z Romeem. Nie potrafiłabym wysiąść z samochodu po takich pocałunkach. Po mniej więcej dwudziestu minutach zająłabym się jego guzikami, ciągnęłoby mnie do nich, jak leminga do morza. Byłam jednak starsza, rozsądniejsza. Teoretycznie powinnam wierzyć w tworzenie się więzi, poznawanie partnera, magię czasu. Powinnam być wdzięczna za to, co mam.

Dlaczego więc siedzę na przykrytym kapą łóżku i mam wrażenie, że lada chwila wyskoczę ze skóry? Czemu dręczy mnie chęć, by wybiec na ulicę i dogonić jego samochód? Och, cudowne były te pocałunki, każdy z nich to prawdziwy majstersztyk. Samotna w swojej sypialni, jestem gotowa walić głową o ścianę, tak zżera mnie pożądanie. Seks...

Od pięciu lat się nie kochałam. Nie, bądźmy uczciwi, to już ponad pięć lat, plus cztery czy pięć miesięcy przed odejściem Morta, kiedy się wcale nie

kochaliśmy, a mnie to nie bardzo przeszkadzało, bo jeszcze nie wiedziałam, że mnie zostawi. A wcześniej? Moje lata pięćdziesiąte to seksualna pustynia. Takie dobre lata, a przeszły mi koło nosa! Mogłabym się kochać noc w noc, aż cały dom drżałby w posadach, gdyby znalazł się ktoś, kto by mnie pragnął, kogo ja bym chciała. Być może dzisiaj miałam okazję, ale postanowiłam... co właściwie postanowiłam? Zaczekać? Dlaczego? Bo pięć lat i kilka miesięcy to za mało, żeby posmakować życia w celibacie? Bo nie byłam pewna, bo wołałam go lepiej poznać? A kogo lepiej znam niż Cacciamanich? Może nie chciałam, by pomyślał, że jestem taka? Kiedy ja właśnie taka jestem! Dajcie mi tylko szansę. Chciałam być taka i byłabym, ale zamiast tego wysiadłam z auta z powodu mojej mentalności zaprogramowanej w dekadzie, znanej pod nazwą lata pięćdziesiąte.

Padłam twarzą na łóżko i gryzłam poduszkę, by nie zacząć wyć na cały głos. Wyobraziłam sobie, jak Sandy, Tony i Sara biegną korytarzem do mej sypialni. „Mamo! Babciu!” - wołaliby. - „Co ci się stało?! Co się dzieje?!” I co bym im powiedziała? „Dzieci, dzisiaj wasza babcia miała okazję kochać się z kimś, kto jej się bardzo podoba. Tak bardzo, że aż nie sądziła, iż to jeszcze możliwe, ale z tego zrezygnowała”. Matki są takie dumne z córek, kiedy one mówią „nie”, ale mają żal do siebie, gdy same tak postąpią.

I co mam teraz robić? Nie ma mowy, żebym zasnęła, a ponieważ tylko jedno mi w głowie, ani czytanie, ani oglądanie telewizji nie wchodzi w grę. Pomyślałam, żeby zadzwonić do Glorii, ale nigdy by mi nie wybaczyła, że budzę ją w środku nocy po to, aby jej oznajmić, iż przepuściłam okazję na seks, tak samo jak by mi nie darowała, gdybym do niej nie zadzwoniła po seksie.

Usłyszałam jakiś dziwny hałas na zewnątrz. Jakby padał grad, co było absolutnie niemożliwe, biorąc pod uwagę fakt, że przed chwilą byłam na dworze i widziałam bezchmurne niebo. Hałas przypominał grzechot małych kamyków o ścianę domu. Po chwili zdałam sobie sprawę, że to rzeczywiście są uderzenia kamyków o mur. Spojrzałam przez szybę, ale nic nie było widać,

więc cofnęłam się w głąb pokoju i zgasiałam światło. Na chodniku przed domem stał Romeo Cacciamani.

Szarpnęłam oburącz za klamkę na okiennej ramie. Niech diabli porwą Morta! To on zdecydował, żeby nie wołać malarzy. Niech go szlag! Powiedział, że sam potrafi pomalować okna! Zapewne przewidział, że to się stanie. Wiedział, że pewnego dnia Romeo przyjdzie nocą pod moje okno, a ja nie dam rady otworzyć tego cholerstwa. Wmalował mnie na dobre! Żył nabrzmiały mi na przedramionach, chrupnęło mi coś w karku. Miałam nadzieję, że Romeo nie widzi grymasu na mojej twarzy, kiedy szarpie się z klamką, a potem biję otwartymi dłońmi we framugę, aż zaczynają mnie piec. Bezradna, złapana w pułapkę, spojrzałam w dół. Romeo dawał mi jakieś znaki, poruszał ustami.

„Zejdź na dół”. - Odgadłam z gestykulacji.

Sfrunęłam ze schodów, przeskakując po trzy stopnie, zupełnie jak Tony. Znalazłam się na zewnątrz, w ciemnościach i w jego ramionach, zanim dotarło do mej świadomości, że w ogóle opuściłam sypialnię. Zapamiętaliśmy się w pocałunkach, tyle że teraz całowaliśmy się, stojąc, ciasno spleceni ramionami, jakbyśmy byli na lotnisku i jedno z nas udawało się w jakąś szczególnie niebezpieczną misję. Ile się nie widzieliśmy? Dziesięć minut? Piętnaście? Nie pamiętam, czy kiedykolwiek zdarzyło mi się doznać uczucia równie intensywnego jak poczucie straty po rozstaniu z Romeem.

- Wejdz do środka! - poprosiłam. Pocałowałam go raz i drugi i jeszcze raz. - Nie mogę uwierzyć, że wróciłeś!

- Julio Roseman - zaczął. - Nie wiedziałem, dokąd jechać. - Przerwa na pocałunek. - Krążyłem po ulicach.

- Wchodź! - Znowu pocałunek. Pragnęłam pocałować go w szyję, Boże, jak bardzo wielką miałam ochotę całować go po szyi, ale to by oznaczało konieczność oderwania się od jego ust, a nie wiedziałam, jak to zrobić!

- Wiesz, że nie mogę wejść.

Drzwi frontowe były szeroko otwarte, w domu panowały ciemności. Na chwilę pożądanie zaćmiło mi rozum, ale przecież nie byłam głupia. Miał rację. Tylko nie w domu!

- Pojedziemy do ciebie?

- Nie, nie, nie!

- A więc hotel. Mam karty kredytowe.

Zwolnił na chwilę uścisk. Kręciło się nam w głowach.

- Naprawdę? - zapytał. - Pojechałabyś do hotelu?

- Czyż nie dlatego wróciłeś?

- Musiałem cię znowu zobaczyć. Nie śmiałem robić sobie zbyt wielkich nadziei. - Tym razem pocałował mnie mocno, dając aż nadto wyraźnie do zrozumienia, o czym myśli. Co za radość! - Już wiem! - powiedział. - Kwiaciarnia! Jest takie miejsce w mojej kwiaciarni!

Podeszłam do drzwi i cicho je zamknęłam, co było śmiesznym gestem po wcześniejszym szamotaniu się z oknem. Wsiadliśmy do auta i odjechaliśmy. Całowaliśmy się na każdym czerwonym świetle, przy każdym znaku „stop”. Dlaczego producenci aut uznali fotelowe siedzenia za dobry pomysł? Ile bym dała za porządną staromodną ławeczkę z dawnych samochodów. Myślę, że to część spisku, który ma na celu spowolnić rewolucję seksualną. Kiedy w młodości mieliśmy zahamowania, te ławeczki montowano we wszystkich markach samochodów, ale gdy wykombinowaliśmy, jak je wykorzystać, wstawiono fotele, rozdzielając je dźwignią skrzyni biegów. Wsunęłam rękę pod koszulę Romea i dotknęłam włosów na piersi. Powinnam być podenerwowana, powinnam wykazać więcej godności, ale pięć lat i cztery miesiące postu sprawiają, że kobieta się zapomina. Ja zupełnie się zapomniałam.

Wielokrotnie przejeżdżałam obok kwiaciarni Romea, lecz, co oczywiste, nigdy nie byłam w środku. Sklep znajdował się w innej części Somerville, w dzielnicy, którą z chęcią nazwałabym nieszczególną, choć w rzeczywistości

była całkiem przyzwoita. O jedenastej w nocy nie mieliśmy problemu ze znalezieniem miejsca do parkowania. Całowaliśmy się jak szaleni przed witryną sklepową, kiedy on usiłował dopasować klucz. Tam, na ulicy, gładził mnie po piersiach i talii, zanim ponownie spróbował otworzyć drzwi. CZEMUŻ TY JESTEŚ ROMEO?\*- pytał cytując na szyldzie, a na drzwiach wisiała tabliczka z napisem: ZAMKNIĘTE.

\* „Romeo i Julia” - przet. J. Paszkowski

W sklepie było ciemno. W świetle latarni ulicznych, sączącym się przez szybę wystawy, zobaczyłam, że wewnątrz jest raczej pustawe. Kwiaty zapewne stały w chłodni. Nie potrafiłam powiedzieć, czy tu jest ładnie, czy nie, z góry założyłam, że musi być pięknie, sto razy lepiej niż w Ritzu-Carltonie.

- Na zapleczu jest mały kantorek - wyjaśnił Romeo. - Czasami tu śpiam, gdy mam do załatwienia jakieś duże zlecenie. Lubię pracować nocą. - Zamknął drzwi na klucz i zaczął zapalać światła, ale go powstrzymałam, bo mógł nas zobaczyć ktoś z ulicy.

- Masz rację - powiedział.

Ujął moją dłoń i uściśnął ją; nagle ogarnęło nas onieśmienie. Najpierw wydawało mi się, że gotowi byliśmy kochać się oparci o drzwi sklepu, gdyby nie udało nam się wejść do środka, a teraz, zaskoczeni intymnością, nie bardzo wiedzieliśmy, co dalej.

- Oprowadź mnie - poprosiłam szeptem.

Nie chciałam robić hałasu.

- Po ciemku? - zapytał również szeptem.

- Dlaczego nie? Wiesz, gdzie co jest.

Prowadził mnie za rękę. Właśnie tego chciałam. Zależało mi, żeby opóźnić nieco bieg wypadków; nie o kilka miesięcy, tygodni czy nawet dni,

ale o kilka minut, tak aby móc się delektować tą chwilą, kiedy bardzo się kogoś pragnie, i wiadomo już, że to pragnienie się spełni.

- Tam stoją kwiaty doniczkowe; chryzantemy, azalie, trochę wieloletnich roślin, afrykańskie fiołki... W tym roku sprowadziłem śliczne miniaturowe hiacynty.

- Dobrze ci schodzą azalie?

- Idą jak woda.

- Zawsze sądziłam, że ludzie jeżdżą po nie do cieplarni.

Przystanął i całował mnie tak długo, aż ugięły się pode mną nogi i musiałam się o niego oprzeć. Gdybym wiedziała, że istnieją takie pocałunki, nigdy nie wyszłabym za Morta.

- A oto moja duma. Poczekaj, niech przyniosę latarkę. Stój tutaj, nie ruszaj się!

Zniknął i po chwili wrócił z zapaloną latarką. Omiótł snopem światła stojak zastawiony miękkimi maskotkami w jaskrawych kolorach, ale z miejsca odgadłam, że to nie Beannie Babies stanowią jego radość i dumę. Oświetlił stół zastawiony orchideami.

- Popatrz no - powiedział - czyż one nie są nieziemskie?

Rzeczywiście. Wyglądały jak kwiaty z jakiejś innej planety o bardziej wyrafinowanej i bujnej roślinności. Były tam białe storczyki o kwiatach ogromnych i ciężkich jak czarki z bitą śmietaną, małe orchidee w kolorze ametystu i żółte pajęczki wielkości paznokcia kciuka.

- Nigdy nie odważyłam się sprowadzić storczyków - wyszeptałam.

- Nie są takie trudne. Trzeba tylko wiedzieć, czego potrzebują. Według mnie to najpiękniejsze kwiaty.

- Pokaż mi chłodnię.

- Naprawdę chcesz?



Podniosłam do ust jego dłoń i całowałam palce. Romeo Cacciamani, którego imienia nie wolno mi było wymówić przy rodzinnym stole, całuję cię po rękach!

Szarpnięciem otworzył duże, stalowe drzwi i weszliśmy do środka. Automatycznie zapaliła się słaba żarówka. Chłodnia nie różniła się niczym od mojej. Musiała ją wyprodukować ta sama firma, w tym samym roku. Był wtorek, więc przyszła świeża dostawa. Dwie osoby z trudem mieściły się tu na stojąco. Praktycznie wszędzie, na półkach i na podłodze, stały kwiaty. Róże, w ciasnych pękach owiniętych celofanem, po dwadzieścia cztery sztuki w każdym, gerbery, pięć gatunków lilii, różowe i żółte lewkonie, nasturcja, japońskie irysy oraz całe wiadra paproci i podbiału. Kwiaty nas otaczały, napierały na nas. Zachwycił mnie zapach, wypadkowa wszystkich mieszających się, niemożliwych do rozdzielenia woni. Ludzie kręcą nosem na goździki. Uważają, że są tandetne, a przecież one pachną niebiańsko i są takie trwałe. Jeśli o mnie chodzi, mogłabym dostawać goździki każdego dnia.

Nagle na górnej półce dostrzegłam wiązanekę. Przepiękną wiązanekę!

- A to co?

Romeo podniósł wzrok.

- Na jutro na urodziny. Pierwsze zamówienie z samego rana.

- Kto ją zrobił?

- Ja. Jak myślisz, kto tu wiąże bukiety?

- Ty ją zrobiłeś? - zapytałam niemal bezgłośnie. - Zupełnie sam?

- Jasne.

- O mój Boże! - westchnęłam. - Jesteś naprawdę lepszym kwiaciarzem ode mnie. Jest cudowna. Szczerze mówiąc, to najciekawsza wiązanekę, jaką dotąd widziałam.

Kompozycja była śmiała, a przy tym idealnie harmonijna. Nigdy bym nie wpadła, żeby pomieszać drobne konwalie i naparstnicę z wielkimi białymi piwoniami. A właściwie prawie białymi, bo płatki miały różowe obwódki i



czerwone żyłki. Romeo dołożył też białe angielskie róże o kwiatach wielkości piwonii. Gdzie on dostał takie róże?! Jak odważył się wydać na nie pieniądze?! Powplatał też sporo białych tulipanów; a wszystko razem tworzyło idealnie zharmonizowaną całość, jak obraz, jak doskonale skomponowana martwa natura albo rzeźba z biało-różowego marmuru. A jednocześnie ten bukiet nie wyglądał jak wytwór wyobraźni artysty, on sprawiał takie wrażenie, jakby wyrósł naturalnie i lada chwila miał zacząć się rozrastać, by w końcu zająć całe pomieszczenie. Od urodzenia mam do czynienia z kwiatami, ale nigdy przedtem nie widziałam czegoś tak perfekcyjnego.

- Chyba jesteś geniuszem! - dodałam z podziwem.

- Jak miło to słyszeć.

Kiedy znów mnie pocałował, oboje wiedzieliśmy, że jesteśmy gotowi. Wcale nie czułam zdenerwowania. Byłam szczęśliwa, tak szczęśliwa, że ledwo potrafiłam zapanować nad śmiechem. Gdzie indziej jak nie w chłodni wypełnionej po sufit kwiatami mogło się zejść dwoje kwiaciarzy? Temperatura była niska, dokładnie pięć stopni Celsjusza, ale nawykłam do chłodu. Romeo ściągnął mi sweter przez głowę, a ja rozpięłam mu koszulę i przytuliłam twarz do jego piersi. Jutro wejdę do mojej chłodni, będę rozpakowywać południowoamerykańskie róże, ale już nigdy nie będzie tak samo.

Całe pomieszczenie oświetlała jedna żarówka, chyba czterdziestowatowa. Gdybym miała więcej czasu albo gdyby światło było ostrzejsze, może zaczęłabym myśleć o mojej wadze czy bieliźnie, a może wcale bym o tym wszystkim nie myślała. W tej chwili byłam taka szczęśliwa z powodu Romea, z powodu siebie samej. Zdjęliśmy ubrania i staliśmy nadzy, tuląc się do siebie, w poszukiwaniu miłości i ciepła.

- Julio, zamarzniemy. Tam, w kantorku mam kozetkę.

Kiwnęłam głową i wyszliśmy z chłodni. Do wszystkich czasopism rozwodzących się wyłącznie nad seksem przed czterdziestką zwróciłabym się z takim oto pytaniem: Czy ktokolwiek z was szedł o północy nago z kochankiem przez kwaciarnię? Nie? W takim razie nie róbcie mi wykładów na temat seksu!

Było ciemno, Romeo trzymał mnie za rękę, co chwilę przystawał, całował i pieścił. Te same ręce, które ułożyły tamte kwiaty, zajmowały się teraz mną. Byliśmy Adamem i Ewą w ciemnym, pełnym kwiatów raj.

- To tutaj - powiedział Romeo.
- Kto tam?!
- Romeo? - szepnęłam. - To ty?
- Raymond?! - zdziwił się Romeo.
- To ty, tato?

Być może odważniejsza kobieta trwałaby przy swym mężczyźnie, ale u mnie wziął górę odruch. Niczym strzała pomknęłam przez sklep. Światła rozbłysły w chwili, gdy dopadłam do drzwi chłodni. Nigdy się nie dowiem, czy Raymond Cacciamani zdążył zobaczyć moje gołe pośladki. Z całej siły przyciągnęłam drzwi, przeklinając blokadę, która uniemożliwiała zatrzaśnięcie ich od środka. Nasze ubrania były porozrzucane po całej chłodni. Wisiały na daliach, przyginały gipsówkę. Wyłowiłam swoje rzeczy i powciągałam je na siebie w rekordowym tempie. Zniknęło gdzieś pożądanie, rozplynęło się uniesienie. Jedyne, czego pragnęłam, to opuścić kwaciarnię.

Usłyszałam pukanie do drzwi. Romeo zawołał mnie po imieniu, chciał wiedzieć, czy wszystko w porządku.

- Jasne - odparłam. - W jak najlepszym.

Zdążyłam się mniej więcej ogarnąć, kiedy wszedł owinięty w podniszczony kraciasty szlafrok.

- To mój syn, Raymond. Pracował do późna i zasnął.
- Ale za to teraz się obudził.

Romeo odnalazł spodenki i naciągnął je, nie zdejmując szlafroka. Ubierał się najszybciej, jak potrafił, ale daleko mu było do mego tempa.

- A teraz musimy stąd wyjść.

- Nie ma mowy - zaoponowałam. - Przywykłam do siedzenia w chłodni.

Nic mi nie będzie.

- Muszę cię odwieźć do domu.

- Nie wiem jak - zachnęłam się, choć wiedziałam, że ma rację.

Musieliśmy wyjść. Romeo otworzył drzwi, wziął mnie za rękę i razem wyszliśmy z chłodni.

Przed drzwiami stał Raymond w bokserkach i podkoszulku z rękami splecionymi na piersi. Był wyższy od Romea, pełniejszy na twarzy i miał mniej włosów, ale w sumie wyglądał nieźle. Uśmiechał się szeroko, jakby wydarzyło się coś zabawnego, dopóki mnie nie rozpoznał.

- Raymondzie - odezwał się Romeo. - To jest Julia Roseman.

- Wiem, kto to jest - odpowiedział. - Niech ona spieprza z tego sklepu.

- Raymondzie! - Romeo przybrał rodzicielski ton. Ja też takiego używałam. I chociaż jego syn dobiegał czterdziestki, ten ton wywarł na nim pewne wrażenie.

- Jak mogłeś sprowadzić... sprowadzić... - szukał odpowiednio obraźliwego określenia, ale szczęśliwie go nie znalazł - ...ją tutaj.

- Pani Roseman i ja jesteśmy przyjaciółmi - oznajmił Romeo.

Nie miałam do niego pretensji. Żadne wyjaśnienie nie zabrzmiałoby stosownie.

- Jak mogłeś sprowadzić ją do sklepu mamy?! Jakim prawem przyprowadziłeś ją tutaj?! Co babcia powie na to, że przyszedłeś tu się z nią pieprzyć?!

- Raymondzie, zamilcz! Dość tego!

- Nie zamilknę! - postawił się, podnosząc głos. - Byle nie Roseman!

Tylko nie Roseman w tym sklepie! Tylko nie Roseman z moim ojcem!

Muszę wyznać, że jego wybuch zrobił na mnie niewielkie wrażenie, poza tym, że jeszcze bardziej mnie zaniepokoiło, co dokładnie wydarzyło się między naszymi rodzinami. Ten Raymond wcale się nie różnił od moich dziewczyn. Gdybyśmy ustawili nasze dzieci pod przeciwległymi ścianami w tym samym pokoju, darłyby się na nas tak, że popękałyby nam bębny w uszach.

- Julio, odwiozę cię do domu - zwrócił się do mnie Romeo.

- Może pójść pieszo - warknął Raymond.

Romeo doskoczył do niego. Chyba zamierzał go uderzyć, ale Raymond przytrzymał go za nadgarstki i usunął się na bok.

- Wybij to sobie z głowy - wycedził i odwrócił się, żeby wyjść.

Jednak zanim opuścił sklep, zrobił coś niesłychanego: wymówił moje imię i splunął.

## Rozdział 7

- Jesteśmy załatwieni - zauważyłam, kiedy Romeo wiozł mnie do domu. Przez jakiś czas milczeliśmy oszołomieni, jakbyśmy dostali obuchem w głowę.

- Raymond... - Romeo pokręcił głową z niedowierzaniem. - Gdyby to był Joe, przeżylibyśmy prawdziwe piekło. Rozumiem, Nicky, Alan, czy nawet Tony, ale Raymond jest taki spokojny. Założyłbym się, że ze wszystkich moich chłopców jego najmniej to powinno obejść.

- Ależ mamy pecha! - mruknęłam przygnębiona. - Myślisz, że rozpowie? Romeo westchnął.

- Chyba będzie lepiej, jeśli tam wrócę i spróbuję mu to wyperswadować. Z samym Raymondem jakoś sobie poradzę, lecz jeżeli wszyscy zaczną się wtrącać, sytuacja stanie się nie do zniesienia.

Romeo podjechał pod mój dom. Zbyt wiele się wydarzyło, by to bagatelizować.

- Nie chcę zachować się jak nastolatka, ale myślisz, że jeszcze cię kiedyś zobaczę? - zapytałam.

- Zobacysz. Zobacysz mnie w każdym miejscu, dokąd tylko się ruszysz. Szaleję za tobą, Julio Roseman!

Pocałowałam go znowu. Seks był ostatnią rzeczą, o której w tej chwili myśleliśmy, ale i tak wiedziałam, że ja też za nim szaleję. Pożegnałam się i po raz drugi tej nocy otworzyłam drzwi i powędrowałam na górę do mojej sypialni.

Zapewne powinnam spędzić tę noc, wpatrując się w ścianę i wykręcając palce, ale chyba w życiu nie byłam tak znużona. Rozebrałam się, rzuciłam rzeczy na podłogę i padłam na łóżko.

Kiedy Sandy mnie obudziła, na dworze było jasno; nie jasnawo jak wczesnym rankiem, ale jasno jak w dzień.

- Już odwiozłam dzieci. Dobrze się czujesz? Popłynęłyście wczoraj z Glorią?

Musiałam się mocno skupić, żeby zrozumieć, o czym mówi. Z trudem uniosłam powieki. Droga Sandy! Podała mi kawę i podsunęła alibi!

- Nie wiem, gdzie miałam rozum. Gloria ma na mnie zły wpływ.

- Białe wino? - dochodziła Sandy.

- Manhattany - wychrypiałam szeptem. - A potem pinot noir do kolacji.

- Winogrona i zboże - współczująco podsumowała Sandy. - Nie należy mieszać. Czerwone wino zawsze mi szkodzi.

- Opowiedz mi o tym.

Poklepała mnie przez kołdrę po kolanie.

- Ruszam do sklepu i wezmę się do roboty. Dołącz, jak się pozbierasz. Myślisz, że przyjedziesz?

- No pewnie. Potrzebuję paru minut na dojdzie do siebie. Niedługo do ciebie dobieję.

Sandy uśmiechnęła się do mnie, przepełniona współczuciem z powodu kaca. Cicho zamknęła za sobą drzwi. Wychyliłam się z łóżka i zadzwoniłam do Glorii.

- Nago? - spytała. - Byłaś goła, kiedy poznałaś jego syna?! - Tym razem także ogarnął ją śmiech graniczący z histerią. Miałam ochotę ją rugnąć, ale była moim jedynym sprzymierzeńcem.

- Zamknij się! - warknęłam. - Mówię poważnie. Brakuje mi dziś poczucia humoru.

Jeszcze chwilę prychała i chichotała.

- No dobra - odchrząknęła. - Już panuję nad sobą. Słucham cię.

- Nie byłam nago, kiedy go poznałam. Uciekłam do chłodni i się ubrałam.

- Czekaj, niech zrozumiem. Kochałaś się z nim, zanim poznałaś jego syna, czy potem?

- Ani jedno, ani drugie. Nic z tego nie wyszło.

- Przeszłaś przez to wszystko na marne?

- Możesz mi wierzyć, po spotkaniu z jego synem seks spadł z agendy.

Nie wiem, czy kiedykolwiek znowu się tam znajdzie. Po ostatniej nocy jestem gotowa wytrwać w celibacie kolejnych pięć lat.

- Wiesz, on to rozpowie. Bądź na to przygotowana.

- Kto? Romeo?!

- Nie, syn, ten Raymond. Powie wszystkim smarkatym Cacciamanim.

Obawiam się, że czekają was poważne kłopoty.

- Biedny Romeo! - westchnęłam.

- Nie mówię o Romeo. Chodzi mi o ciebie. Ci ludzie zieją nienawiścią do Rosemanów. Lepiej miej się na baczności.

Gloria czytała kryminały. Lubiała używać takich zwrotów jak „miej się na bacności”. Obiecałam jej, że będę na siebie uważać.

Wzięłam szybki prysznic, włożyłam dzinsy i podkoszulek, narzuciłam płaszcz i ruszyłam do sklepu. Na czerwonym świetle poświęciłam chwilę urodzie, ściągnęłam włosy w koński ogon. Powinnam spędzić ten dzień w łóżku, z plasterkami ogórka na powiekach, ale doszłam do wniosku, że jedynie praca pozwoli oderwać mi myśli od problemu. Postanowiłam zadzwonić do dostawcy i zamówić trochę azalii. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, co się dalej stanie i jak uda mi się znowu spotkać z Romeem, lecz kiedy ogarniała mnie rozpacz, wracałam myślami do tamtych pocałunków w aucie, przed moim domem, przy orchideach i w chłodni. Pocałunki były moim wybawieniem. Stały się tratwą ratunkową na wzburzonym morzu, która pozwalała mi utrzymać się na powierzchni.

Zaparkowałam samochód i skierowałam się do sklepu. Przez okno spostrzegłam, że Sandy rozmawia z klientem. Spojrzałam jeszcze raz. Znam mimikę Sandy, nawet z tej odległości poznałam, że jest wystraszona. Usłyszałam podniesiony głos. Przyspieszyłam kroku.

W pierwszej chwili przyszło mi na myśl, że to rabunek. Ten mężczyzna przyszedł bez broni w biały dzień i chce krzykiem zmusić Sandy do oddania utargu. Byłam gotowa rzucić się na niego. Z chęcią bym komuś dołożyła, a gdyby to mi się dostało, no cóż, dziś patrzyłam na świat jak fatalista.

- Hej! - wrzasnęłam, z rozmachem zamykając za sobą drzwi. - Co tu się dzieje?!

Sandy z ulgą oparła się o ladę, łzy ciurkiem płynęły jej z oczu.

- Jak mogłaś? - wyłkała.

- Jak mogłam co?

Mężczyzna wykonał półobrót. Kto wie, który to z Cacciamanich? Było ich tylu, że z powodzeniem zaludniliby małe miasto. Być może to zmilitaryzowany syn przyleciał z Niemiec specjalnym samolotem



wojskowym, żeby mnie zabić. Ten Cacciamani był mocniej zbudowany od Raymonda. Wydawał się ogromny. Aż dziw, że podkoszulek opięty na zwałach mięśni nie pękł w szwach. Wyglądał jak facet, który grywa morderców w filmach grozy, takich co to nie wypowiadają ani jednej kwestii, ale za to gołymi rękami zwijają w precelki metalowe pręty. Jednak w jego ry-  
sach dostrzegłam pewne podobieństwo do Romea. Budził we mnie strach, a zarazem uczucie dziwacznej sympatii.

- A więc ty jesteś pani Roseman?

Nie było sensu rozwodzić się nad sposobem, w jaki powinien się do mnie zwracać. Powiedziałam, że tak.

- Właśnie opowiadałem tej tu pani córce, jaką ma porządną mamusię. To chyba genetyczne. Ona nie złapała mojego brata Tony'ego, a pani się nie uda zawrócić w głowie mojemu ojcu i położyć łap na naszej firmie.

Sandy opadła na wiklinowe krzeselko, które stało za kontuarem, i oparłszy głowę o ladę przy kasie, popadła w rozpacz.

- Proszę posłuchać, panie Cacciamani - zaczęłam. - Na niczym mi bardziej nie zależy niż na zakończeniu nieporozumień między naszymi rodzinami, jednak takim sposobem do niczego nie dojdziemy. Jestem zmuszona poprosić pana o opuszczenie mojego sklepu.

Kiedy spojrział na mnie, wydał mi się zbity z tropu, ale może zbyt wiele sobie przypisuję, sądząc, że byłam w stanie go speszyć.

- Nie. Niech pani posłucha! Nie życzę sobie, by ktokolwiek z was, rozumie pani, ktokolwiek z was kręcił się w pobliżu mojej rodziny! Bo może pani tego gorzko pożałować, pani Roseman. Nasi dziadkowie i rodzice posuwali się co najwyżej do wyzwisk, wzajemnej pogardy czy pyskówki od czasu do czasu. Im to wystarczało, ale teraz ma pani do czynienia z zupełnie innym pokoleniem Cacciamanich, *capisco*?!

Otworzyłam drzwi.

- Wynocha!

Oparł się o ladę i z trudem splótł ramiona na potężnym torsie.

- Nie wyjdę, dopóki nie nabiorę pewności, że pani rozumie, co mówię.

Wiadomo, że Rosemanowie nie grzeszą bystrością.

Być może powinnam się była go przestraszyć, ale zamiast tego zaczęłam intensywnie myśleć. Niemożliwe, by syn Romea mnie uderzył, kalkulowałam. Ta cała wojna między rodzinami jest śmieszna, nikt nie rozumie, o co w tym wszystkim chodzi. Nie zamierzam dać się w nią wciągnąć.

- Którym pan jest synem?

Podniósł do góry palec, ilustrując swe miejsce w hierarchii.

- Jestem Joe.

- Joe, skończ z tymi pogrozkami pod moim adresem i mojej rodziny i zabieraj się stąd, bo jak mi Bóg miły, wezwę policję.

- I co im powiesz? Że jesteście zdzirą?

- A cóż to za język? - zapytałam.

Jakim cudem ktoś, kto od pięciu lat nie uprawiał seksu, mógł być zdzirą?! Nie było sensu mu tego tłumaczyć.

- Wynocha!

- W porządku - powiedział i wyprostował się, prezentując w całej okazałości swą potężną sylwetkę. - Może jednak pani rozumie, co mówię.

Na ladzie stało pięć doniczek z miniaturowymi żonkilami. Pochylił się, ukreślił im główki i ścisnął je w dłoni. Ogałacając z kwiatów moje rośliny, przechylił się do Sandy.

- Tony wcale nie zamierzał się z tobą ożenić - wycedził. - Mówił mi, że jesteś nic niewarta.

Przypuszczałam, że jego słowa do niej nie dotarły. Nadal siedziała ze zwieszoną głową.

- Proszę to sobie wszystko przemyśleć, pani Roseman - powiedział Joe i ruszył w kierunku wyjścia, znacząc przed sobą drogę główkami żonkili, jak dziewczynka sypiąca kwiatki na ślubie.

Kiedy w końcu znalazł się za drzwiami, zamknęłam je na klucz.

- Jezu, co za troglodyta! - Poczułam, jak wszystko powraca.

Uczciwie przyznaję. W moim sercu na nowo zapłonęła nienawiść do Cacciamanich. Ze wszystkich sił starałam się ją stłumić. Joe Cacciamani niczego nie rozumiał, podobnie jak ja do niedawna. Zapewne wcale nie był takim złym facetem. Ot, po prostu miał swoisty sposób rozmawiania z ludźmi. Prowadził przedsiębiorstwo przewozowe. Obracał się w innym środowisku.

Weszłam za ladę i kolistymi ruchami gładziłam Sandy po plecach. Biedna dziewczyna! Przeżyła to wszystko bardziej ode mnie.

- Sandy, kochanie, nic ci nie jest?

- Nie dotykaj mnie!

Moja ręka zawisała w połowie koła.

- Czy coś się tu wydarzyło, zanim przyszłam?

Nie podniosła głowy. Burza czarnych loków zakrywała jej twarz i ramiona, przez co głowa przypominała pudła śpiącego na ladzie.

- Powiedział, że zeszłej nocy ganiałaś po sklepie za panem Cacciamanim i wtedy przyszedł jego brat, Raymond, i ci w tym przeszkodził. Podobno byłaś goła.

- O Jezu!

Sandy gwałtownie poderwała głowę. Nie miała okularów, szkła kontaktowe dawno musiały wypłynąć z potokiem łez.

- Piłyśmy manhattany! - cytowała mnie piskliwym głosem. - Na spólkę z Glorią wysuszyłyśmy butelkę pinot noir! Wcześniej to wszystko wykombinowałaś, mamó? Z góry obmyśliłaś, jaką markę wina mi podasz?

- Nie.

- Jedyne, o co cię prosiłam, to żebyś nie spotykała się z panem Cacciamanim! Jako pierwsza do ciebie z tym przyszłam. Powiedziałam:

mamo, będzie mi ciężko znieść, jeśli się z nim umówisz. Myślałam, że potrafisz to zrozumieć. Wszystko - czknęła i na nowo zaniosła się płaczem - wszystko, co dotyczy Tony'ego i wiąże się z tamtym okresem, jest dla mnie bolesne i dlatego prosiłam, nie umawiaj się z nim! Aż tak dużo od ciebie nie wymagałam! Przecież zawsze nienawidziłaś tego faceta, nazywałaś go wypomadowaną łasiczką Cacciamani. Czy to naprawdę aż tak wiele, prosić cię, byś się nie spotykała z wypomadowaną łasiczką Cacciamani?! Jak gdybyś nie mogła znaleźć sobie kogoś innego pośród tysięcy samotnych facetów na tej planecie! Nie mogłaś okazać mi choć odrobiny szacunku? Kłamałaś mi w żywe oczy! „Biedna, głupia Sandy, powiem jej, co chce usłyszeć, a potem i tak zrobię, co zechcę!” Czy tak się postępuje, mamo?!

Wbiłam wzrok w obłupione z kwiatów żonkile, w doniczki owinięte błyszczącą różową i niebieską folią, w soczysto zielone łodyżki przężące się donikąd. Patrzyłam na tę całą sprawę z dwóch punktów widzenia: jej i mojego. Matki niechętnie ranią swe dzieci nawet wtedy, gdy całą ich winą jest to, że próbują ułożyć sobie życie.

- Sandy, tak mi przykro, zraniłam cię i masz rację, nie powinnam była cię okłamywać. Gdybyś jednak spróbowała spojrzeć na to moimi oczyma...

- Nie chcę.

- Mimo wszystko postaraj się. Kiedy byłaś w średniej szkole i zakochałaś się w Tonym, twój ojciec, dziadkowie i ja potraktowaliśmy całą sprawę bardzo osobiście. Myśleliśmy, że próbujesz nam zrobić na złość. Sądziliśmy, iż mówisz, że go kochasz, tylko po to, żeby nas zdenerwować. Teraz wiem, że tak nie było. Dla ciebie nie miało znaczenia, że on jest Cacciamanim. Był po prostu Tonym, chłopakiem, w którym się zakochałaś. Tak wyszło. Możesz to nazwać zbiegiem okoliczności czy pechem, jak ci wygodniej. Nie mieliśmy racji, zakazując ci widywać się z Tonym. Żałuję, że nie uszanowałam twojego wyboru. Musisz zrozumieć, że ja, teraz, jestem w dokładnie takiej samej sytuacji, w jakiej ty znalazłaś się piętnaście lat temu. Wcale mi nie zależy, żeby

spotykać się akurat z Cacciamanim. Niczego bardziej bym nie pragnęła jak tego, by jutro, po przebudzeniu, odkryć, że on nosi zupełnie inne nazwisko. Ale to niemożliwe. Szczerze polubiłam Romea. Ty, łatwiej od innych, powinnaś to zrozumieć. To mili ludzie, przynajmniej niektórzy z nich. Nie pojmuję, o co chodzi w tej całej nienawiści, ale powiem ci jedno, uważam, że czas zamknąć ten rozdział.

Sandy wydmuchała nos w kawałek zielonej bibułki i wciągnęła głęboko powietrze.

- Mniej więcej to samo ci mówiłam, kiedy byłam w średniej szkole. A pamiętasz, mamó, co mi wtedy odpowiedziałaś? „Otrząśnij się!” - Sandy wyprostowała ramiona. - Więc się otrząśnij! - powiedziała, wbijając we mnie bezwzględne spojrzenie.

## *Rozdział 8*

Sandy wzięła wolne na resztę dnia, a dokładniej mówiąc, chwyciła za torebkę i wymaszerowała ze sklepu ze łzami w oczach i z rozwianymi włosami. Jakim cudem spadło na mnie to wszystko w tak krótkim czasie?! Przebiegłam w myślach wydarzenia z ostatnich dni. Konferencja, niezobowiązująca kawa... „Masz ochotę się przejść? Czemu nie, świetny pomysł!” Nie potrafiłam zrozumieć, w którym miejscu popełniłam zbrodnię. Sprawy źle się miały i należało założyć, że będzie jeszcze gorzej. Przyszedł mi na myśl Romeo. Ciekawe, czy już wie, że Joe był u mnie? Bałam się do niego zadzwonić, bo nie wiedziałam, kto podniesie słuchawkę (czy potrafiliby mnie już rozpoznać po głosie?), a nie miałam wątpliwości, że on z takiego samego powodu obawia się zatelefonować do mnie. Najprostszym rozwiązaniem byłoby się wycofać. Przecież nie znałam człowieka aż tak dobrze. Ile by mnie kosztowało, gdybym z niego zrezygnowała? Lecz ja nie chciałam zrezygnować

i wcale nie dlatego, że jestem uparta - chociaż, w sumie, jestem. Należało postawić na swoim dla samej zasady, ale co tu dużo mówić, wcale nie chodziło mi o zasadę. Tylko o Romea. Jak ja mogę mówić coś takiego?! Czy ja go w ogóle znam? Jasne, że znam! Miał rację; tak długo byliśmy wrogami, że czujemy się ze sobą związani. Silna nienawiść przemieniła się w miłość. To tylko konfiguracja wiązań jonowych, które od zawsze nas łączyły, uległa zmianie. Jest ich tyle samo, są tak samo silne, ale sprawiają, że w mojej duszy rozbrzmiewa słodka samba zamiast wagnerowskiej opery.

Przez cały dzień pracowałam jak automat. Sprzedawałam kwiaty, jakby były ołówkami czy drewnianymi łyżkami. Robiłam bukiety i rozwiązywałam je, mając w pamięci perfekcyjną kompozycję w chłodni Romea. Posprzątałam po sobie cały bałagan, nie ruszyłam jednak doniczek z огоłoconymi z kwiatów żonkilami, mimo że klienci czynili komentarze, dotykając palcami podeschłych łodyżek.

- Niedługo pożyły - mówili ze smutkiem.

- Rzeczywiście - odpowiadałam, jakbym ich wcześniej nie zauważyła. - Niedługo.

Cały czas czekałam, kiedy pojawią się następni Cacciamani, żeby mnie nękać. Wyobrażałam sobie, że będzie jak w bajce. Każdy, który przyjdzie, okaże się większy od poprzednika, a ich groźby będą coraz to straszniejsze, aż na koniec zjawi się jakiś pokryty sierścią, zionący ogniem, dwudziestometrowy Cacciamani i wdrze się do sklepu, wyłamując drzwi razem z futryną. - „Uwolnij naszego ojca!” - wrzaśnie, a jego wściekły oddech osmali mi brwi. Nawet w obliczu śmiertelnego zagrożenia nie ustąpię ani na krok. - „Bardzo mi przykro - odpowiem zionącemu ogniem - ale nie mogę”. I wtedy, gdy przeciwstawię się najgroźniejszemu z nich, czar zostanie zdjęty. Wszyscy młodzi Cacciamani wrócą do normalnych rozmiarów, zmienią się w dobrych synów i będą tańczyć lambadę na naszym weselu. Cała rzecz zostanie mi wyjaśniona - wszyscy byliśmy ofiarami starodawnej klątwy; dwa tysiące lat



temu, w Bimini, pewna urażona czarownica rzuciła na nas czar za coś, za co my nie ponosimy odpowiedzialności. Moje córki pokochają Romea, a ja pokocham jego synów. Nagle zadzwonił telefon, nadzieja wstąpiła we mnie.

- Czekam na ciebie w domu! - rzuciła w słuchawkę Nora i rozłączyła się.

A więc na drodze do zdjęcia klątwy jest więcej przeszkód, niż to sobie wyobrażałam. Wywiesiłam tabliczkę z napisem ZAMKNIĘTE i pojechałam na spotkanie z przeznaczeniem.

Kocham Norę, wiem, wspomniałam już o tym wcześniej, ale widok Joego Cacciamani ukręcającego główki żonkilom nigdy nie wzbudziłby we mnie takiego strachu jak obecność lexusa na moim podjeździe. Przyszedł mi na myśl stary przebój: „Zawsze się rani tego, kogo się kocha” i pomyślałam sobie, że jego odwrotność: „Ten, kogo kochasz, zawsze cię zrani” jest równie prawdziwa.

- Omówiliśmy wszystko z Alekssem i powiedziałam Sandy, że może zamieszkać z dziećmi u nas - oświadczyła Nora, zanim zdążyłam przestąpić próg.

Żadnego „Dzień dobry, mamó”, czy „Słyszałam, że miałaś ciężki dzień”.

- Noro, na miłość boską, daj mi spokój!

- Nie, mamó. Nie dam ci spokoju!

Skąd wziął się u moich dziewczyn irytujący nawyk powtarzania tego, co do nich mówię?! Nie wiem. Ani ja, ani Mort nie mieliśmy takiego zwyczaju.

- Kiedy patrzysz mi prosto w oczy i coś przyrzekasz, mam prawo oczekiwać, że dotrzymasz słowa - powiedziała Nora tonem, w którym pretensja mieszała się z umoralniającym potępieniem. - Jak można na tobie polegać? Możesz mi powiedzieć? O czym jeszcze nam nakłamałaś?

- Dobra, wygrałaś! Zostałyście adoptowane.

Ta rozmowa miała miejsce w korytarzu. Stałam w płaszczu, w jednej ręce trzymałam torebkę, w drugiej klucze od domu.

- Gdzie dzieci?



- Sandy uznała, że lepiej, aby, póki co, cię nie widziały.

- Dlaczego? Bo mam na nie taki zły wpływ? Byłam na randce, Noro, pamiętasz, co to randka? Bo ja nie bardzo, ponieważ przez trzydzieści dziewięć lat z nikim się nie umawiałam. Sześćdziesięcioletnia kobieta idzie na randkę i trzeba dzieci ewakuować z domu?!

- Ta „randka”, jak ją nazywasz, nie ma tu nic do rzeczy, choć z tego, co słyszałam, masz cholernie ciekawą definicję randki. Chodzi tu...

- Kochanie, przerwij na moment, twojej matce bardzo się przyda kieliszek wina. - Wrzuciłam klucze do torebki, upuściłam ją na podłogę i skierowałam się prosto do kuchni. Nora deptała mi po piętach w swoim eleganckim, popielatym spodniemie. Ona uprawia jogę i biega, jest nieprawdopodobnie wysportowana, sprężysta i smukła niczym chart. Miałam ochotę jej powiedzieć, że nie mogę z nią dyskutować, mając na sobie przykurzone džinsy, kiedy ona wygląda jak z żurnala. To stawia mnie w niewygodnej sytuacji.

- Chodzi tu o zaufanie - ciągnęła. - O uczciwość. O rodzinę. Cacciamani nie są odpowiednim towarzystwem dla Rosemanów. Zawsze to podkreślałaś, kiedy dorastałyśmy.

Wyjęłam wino z lodówki i wyciągnęłam rękę z butelką w jej stronę. Pokręciła przecząco głową, więc nalałam kieliszek dla siebie.

- To Był Błąd - powiedziałam. - Nie potrafię tego jaśniej wytłumaczyć. Bardzo mi przykro. Nikt nie wie, co myśmy im zrobili albo oni nam. To, co przydarzyło się twojej siostrze w średniej szkole, mogło się przytrafić każdej dziewczynie z każdym chłopakiem. Teraz Sandy ma trzydzieści dwa lata. Czas zamknąć za sobą przeszłość.

- Nie wierzę własnym uszom!

- Uwierz.

- Chcesz powiedzieć, że masz zamiar ponownie się z nim spotkać?

Upiłam łyk wina. Przez chwilę szczerze pragnęłam z nią porozmawiać, otworzyć się, opowiedzieć jej, w jakiej trudnej sytuacji się znalazłam. W końcu była moją córką. Dlaczego zawsze się najeżamy, zanim się do siebie odezwiemy?

- Nie wiem. Chciałabym. Tylko nie jestem pewna, czy uda się pokonać przeszkody. Mam przeciwko sobie ciebie i Sandy. Mam przeciwko sobie jego dzieci.

- Sandy mi wyznała, że się dziś wystraszyła. Uważa, że on naprawdę mógł wam coś zrobić. Zamierzam wezwać policję i złożyć oficjalną skargę. Tyle ci powiem.

- Nie możesz tego zrobić. Nawet cię tam nie było. - Pociągnęłam spory łyk wina. Przechyliłam kieliszek jeszcze raz. - Kto wie, może wszystko przycichnie i będę mogła spotykać się z Romeem. Noro, on jest bardzo miły. Wiem, że w to nie uwierzysz, ale to najsympatyczniejszy mężczyzna, jakiego znam. - Usiłowałam przemówić Norze do serca, liczyłam na jej współczucie, ale w przypadku Nory nigdy nie należy liczyć na współczucie.

- Więc taka jest twoja odpowiedź! - rzuciła. - Zabieram dzieciaki.

- Z jakiego powodu?

- Jeśli sama nie rozumiesz, ja ci nie będę tego tłumaczyć.

- A czy one wrócą wieczorem? - Tyle razy pragnęłam, aby Sandy ułożyła sobie życie i zamieszkała osobno, a teraz myśl, że ona i dzieci mogłyby się wyprowadzić, wydała mi się nie do zniesienia. Nie będzie odrabiania lekcji z małym Tonym? Układania loczków Sarze? Byłam dobrą babcią. Może nie sprawdziłam się jako matka, ale byłam cholernie dobrą babką.

- Jasne - odparła Nora, spoglądając na zegarek - wrócą za parę minut.

- A potem pojedą do ciebie? Sandy ma dziś szkołę. Zamierzasz je zabrać?

- Nie dzisiaj - odrzekła. - Muszę przygotować sprawozdanie, a Alex jest na zebraniu. Szczerze mówiąc, na mnie już czas.

- Czy ja dobrze rozumiem? Zabierasz do siebie Sandy i dzieci, bo mam na nie zły wpływ, ale zamierzasz to zrobić w bardziej dogodnym dla siebie czasie?

Nora już otwierała usta, żeby mi odpowiedzieć, ale zmieniła zamiar. Uniosła brwi i kiwnęła głową.

- Mniej więcej.

- Nie pozwolę sobą pomiatać.

- Pomyśl o tym, co ci powiedziałam, mamó. - Nora odpłynęła ku drzwiom w swoim płaszczu z żółtego jedwabiu.

- Och, myślę o wszystkim, co powiedziałaś. Nie mogę przestać o tym myśleć.

Kiedy wyszła, spędziłam mniej więcej dziesięć minut, dopijając wino i wodząc roztargnionym wzrokiem po ścianie w kuchni i właśnie wtedy wpadł mi do głowy pomysł, żeby wszystko pomalować na jasnożółty kolor. Potem zjawiała się Sandy z dziećmi. Cokolwiek moje córki uknuły, najwyraźniej starczyło im przyzwoitości, żeby nie wciągać w to dzieci. Tony i Sara rzucili się do mnie, jakby wrócili z misji z Korpusem Pokoju.

- Nie widzieliśmy cię wczoraj wieczorem ani dzisiaj rano! - powiedział zaspany Tony. - Sto lat się nie widzieliśmy!

- Sto lat - powtórzyłam, całując go żarliwie w czubek główki, a potem równie żarliwie całując w główkę jego siostrę.

- Mamusia rano mówiła, że chcesz się wyspać, a jak ja też chciałem pospać jak babcia, to powiedziała: nie, masz iść do szkoły!

- I miała rację. - Spojrzałam na Sandy kręcącą się przy drzwiach. Po minie poznałam, że dręczy ją poczucie winy za nasłanie na mnie Nory. Obojętnie, jak bardzo była na mnie zła, myślę, że zdawała sobie sprawę, iż spotkała mnie kara nieproporcjonalna do przestępstwa.

- Narysowałam dla ciebie obrazek - pochwaliła się Sara. - Tak długo cię nie było!

Uklękała na podłodze i wyciągnęła rysunek z małego, różowego plecaka. Patykowata postać ze sterczącymi włosami trzymała w dłoni gigantyczny bukiet. Kwiaty zaczynały się przy podłodze, a kończyły ponad jej głową.

- Śliczny - pochwaliłam Sarę.

- To jesteś ty - wyjaśnił Tony.

Kiedy Sandy pojechała do szkoły, przestawiłam się na tryb zabawowy.

Zrobiłam popcorn z syropem Karo i z entuzjazmem grałam w Piotrusia (nieistotne, że gra się akurat w Piotrusia, ważne, ile serca się wkłada w grę).

Obejrzeliśmy na wideo „Zakochanego kundla” i muszę przyznać, że w zaistniałych okolicznościach film wzruszył mnie niemal do łez.

Identyfikowałam się zarówno z Lady, jak i z Trampem. Ponieważ był piątek, pozwoliłam dzieciom iść spać o całą godzinę później niż zwykle. Krótko mówiąc, oddaliśmy się przyjemnościom. Być może chciałam w ten sposób

zapewnić sobie miejsce w ich serduszkach, ale sądzę, że już je tam miałam.

Nie chciałam ryzykować zerwania z rodziną, ale też nie zamierzałam pozwolić sobie rządzić ani dać się zwariować. Sztuka polegała na znalezieniu granicy

między tymi, dwiema skrajnościami. Otuliłam dzieci w kołderki, przeczytałam wszystkie bajki, jakie sobie zażyczyły, wykonałam całą serię

wyczerpujących, dobranockowych rytuałów. Sama zasnęłam chyba jakieś siedem minut po nich.

Było jeszcze ciemno, kiedy poczułam, że ktoś szarpie mnie za ramię. Zazwyczaj budzę się sama.

- Babciu?!

Przekręciłam się na bok.

- Tony, dziecko, o co chodzi?

- Ktoś kradnie nasze róże.

Spojrzałam na zegarek. Była piąta czterdzieści pięć.

- Przyśniło ci się coś złego?

Pokręcił głową i wpakował mi się pod kołdrę.

- Nie przyśniło. Przed domem jest jedna pani. Bardzo stara i kradnie róże.

Okna sypialni Tony'ego wychodziły na trawnik przed domem i na krzaki róż.

- Jak wygląda? - zapytałam ostrożnie.

- Jak czarownica.

W mgnieniu oka wyskoczyłam z łóżka i narzuciłam na siebie zwiewne, różowe cudo, które Mort kupił mi na urodziny pewnego roku, gdy zamarzył mi się romantyczny prezent.

- Nie idź tam! - krzyknął Tony. - Ona ci coś zrobi!

- Dziecko, nic mi nie grozi. Wiem, kim jest ta pani. To stara znajoma babci. Chce pożyczyć kilka róż. Zejdę na dół i przywitam się z nią.

- Jest za wcześnie.

- Masz całkowitą rację. Myślałam, że przyjdzie później. Zostań tu, a ja zaraz wrócę i będziemy spać razem.

Pokonałam schody pędem i wybiegłam przez frontowe drzwi do ogródka. Zapomniałam o papciach, trawa pod stopami była chłodna, czułam rosę między palcami.

Stary nietoperz przymocował wąż do kranu (ja nosiłam się z takim zamiarem od początku sezonu) i podlewał róże. Było jeszcze za wcześnie na kwitnienie, ale krzaczki miały już liście i nieco małych pączków. Na ziemi leżała łopata i dwa puste, duże opakowania po koszernej soli. Naturalnie, sól musiała być koszerna!

- Hej! - krzyknęłam. - Wyłącz ten cholerny wąż!

Nadal wysoka i chuda, z siwymi, wełnistymi włosami zebranymi w kitkę, wyglądała na pięćdziesiąt lat z okładem. Była nieco przygarbiona, ale przecież dopiero co kopała ziemię. Spojrzała na mnie z potępieniem, jakbym to ja wtargnęła na jej podwórko, a nie odwrotnie.

- Co tu robisz tak wcześnie? - spytała. - Przecież wszyscy wiedzą, że Rosemanowie to banda leni!

Wyrwałam jej wąż z ręki i włączony odrzuciłam na bukszpan. Nie obchodzi mnie, że jest stara, muszę ją stąd wyrzucić!

- Trzymaj się z daleka od moich kwiatów, odczep się od mojej rodziny! - Ponieważ teren przed moim domem, podobnie jak wszystkie ogródki w Somerville, jest mniej więcej wielkości połowy łazienki, stałyśmy praktycznie nos w nos.

- Nie! To ty się odczep od mojej rodziny, ty wywłoko! - Kościstym palcem dziabnęła mnie prosto we wgłębienie nad obojczykiem, tak że naprawdę zaboląło. Należy przypuszczać, że w ciągu życia musiała szturchnąć dokładnie w to miejsce wielu ludzi, bo dobrze wiedziała, gdzie celować. Przed domem stał zaparkowany niebieski dodge i kiedy stary nietoperz mnie szturchnął, wyleciał z niego kolejny Cacciamani, drobniejszej budowy od tamtych dwóch, których miałam okazję oglądać, co obaliło moją teorię o coraz większych Cacciamanich.

- Ej, ty! - krzyknął dostatecznie donośnie, by pobudzić wszystkich sąsiadów, którzy odważyli się spać przy otwartych oknach w tę wczesnowiosenną noc. - Trzymaj łapy z daleka od mojej babci!

Stara Cacciamani z pełnym satysfakcji uśmiechem splotła ramiona na piersi, kiedy doskoczył do mnie jej wnuk rottwailer.

- Nie masz oczu? - spytałam. - Nie widzisz, kto tu kim poszturkuje?

- Kogo - poprawiła mnie starucha. - Kto tu kogo poszturkuje. -

Zwróciła się do swego pieska. - To ohydne. Oni nawet nie potrafią mówić.

- Proszę - wycodziłam. - Czujcie się jak u siebie. Rozgoście się na moim trawniku. Tym razem zamierzam wezwać policję.

- Wszyscy w mieście wiedzą, że kiepska z ciebie kwiaciarka - odezwała się starucha. - Zapewne ci się wydawało, że można soli użyć jako nawozu.

- Czy ty już dawno nie powinnaś być martwa?

- Ej, ty! - zawołał młody Cacciamani, ponownie do mnie doskakując.

Wtedy ona uniosła kościstą dłoń, obciążoną pergaminową skórą tak cienką, że prześwitywały przez nią pierwsze promienie porannego słońca.

- Alan, zaczekaj na mnie w samochodzie - poleciła.

- Nie zostawię cię z nią samej. To zbyt ryzykowne.

- Alan! Do samochodu!

Na jak krótkiej smyczy byli trzymani ci mężczyźni! Alan posłusznie zrobił w tył zwrot i pokornie podreptał do dodge'a. Nie wszedł do środka, stanął oparty o karoserię, a z tłumika wydobywał się warkot, bo silnik cały czas pracował na luzie.

- Mam was dość, Rosemanowie! - syczała Baba Jaga. - Jestem starą kobietą, całe życie broniłam mojej rodziny przed waszą bandą, przed twoimi rodzicami, przed twoimi małymi kurewkami. Nie zejdem z tego świata, dopóki nie będę miała pewności, że mojej rodzinie nic nie zagraża z waszej strony!

- Kobieto, już za samą uwagę na temat moich córek należałoby ci skrócić kark! Niech ci się nie wydaje, że nie jestem do tego zdolna. Nie jestem w najlepszym nastroju, pani Cacciamani. Moja cierpliwość jest na wyczerpaniu.

- Jeszcze raz znajdziesz się w pobliżu Romea, a sama się dowiesz, co to skrócony kark!

Ze wszystkich sił starałam się zapanować nad sobą. Mimo wszystko trafiła mi się niepowtarzalna okazja, aby poznać prawdę.

- Ponieważ wyrwała mnie pani ze snu, przestraszyła mi wnuczka i zniszczyła moje róże, czy przynajmniej uczyni mi pani ten honor i wyjaśni, w czym, do cholery, tkwi problem?

- Nie jesteś godna przebywać w jednym pomieszczeniu z moim synem!

- Fascynujące. Mam na myśli wcześniejszy okres.

- Twoja córka usiłowała złapać Tony'ego, by zmienić mu życie w piekło.

- W tej akurat historii Tony też miał swój udział.



- Jeżeli planował się z nią ożenić, to tylko dlatego, że go oszukała.

Prawdopodobnie wmówiła mu, że jest w ciąży. Zapewne go oszukała.

- Proszę - zaczęłam, głęboko zaczerpując powietrza - zanim, jako matka, będę zmuszona wyrwać ci serce, chcę, żebyś cofnęła się myślami do czasów sprzed sprawy Tony'ego i Sandy. Rusz resztkami szarych komórek i postaraj się pomyśleć. Co zaszło pomiędzy wami a moimi rodzicami? Wiem, że wcześniejsze pokolenia nie mogły być zwaśnione, bo nasze rodziny nie miały okazji natknąć się na siebie w Europie.

Trzęsły mi się ręce. Każda cząstka mojej istoty pragnęła złapać ją, trzepnąć o ziemię i skakać po jej piersi. Przecież to staruszka! Gdzie ja mam sumienie? W życiu nie czułam większej nienawiści.

- Dlaczego mam ci powiedzieć?

- Bo to szaleństwo! Kompletne wariactwo! - Ze względu na sąsiadów starałam się panować nad głosem.

Wpatrywała się we mnie przez chwilę. Niechętnie wytrzymałam jej spojrzenie; zdawała się z niego wyzierać śmierć.

- Nie mam obowiązku - oświadczyła i już szykowała się, aby mnie ponownie szturchnąć palcem, ale zorientowałam się w porę i uskokczyłam w bok, a ona w tej samej chwili poleciała twarzą na mój trawnik.

Cofnęłam się do drzwi wejściowych z uniesionymi rękami na znak, że jej nie dotknęłam i nie dotknę. Przybiegł Alan Cacciamani i zebrał tę kupkę chrustu w ramiona. Odwróciłam się plecami do rodzinnego dramatu, nie zainteresowana tym, czy ona żyje, czy nie. Weszłam do domu i zamknęłam za sobą drzwi.

## Rozdział 9

Otworzyłam drzwi do sypialni Sandy. Spała w aureoli loków.

- Wstawaj natychmiast! - obudziłam ją niezbyt delikatnie. - Musisz mi pomóc!

Od razu usiadła. Była matką. Przyzwyczała się do nagłego budzenia.

- Co się dzieje?

- Róże! - rzuciłam. - Musimy szybko działać!

Nora przekreśliłaby się na bok i momentalnie z powrotem zasnęła, ale Sandy odgadła z tonu mego głosu, że nie żartuję. To była wyższa konieczność, wszelkie spory należało odłożyć na bok. Wyjęłam z bielizniarki stos prześcieradeł i ręczników. Z kuchni przyniosłam pudło z dziesięciolitrowymi workami na liście i trawę. Poszłam do garażu po dwie łopaty. Spieszyłam się. Nie miałyśmy dużo czasu. Nie byłam pewna, czy już nie jest za późno.

- O co chodzi? - spytała Sandy, biegnąc za mną. Spała w dresach, więc była z grubsza ubrana. Ja ciągle miałam na sobie szlafrok. Do diabła, nieważne!

- Ta stara jędra, Cacciamani, podsypała soli pod moje róże!

Kiedy z impetem otworzyłam frontowe drzwi, spodziewałam się, że ujrzę przed domem sanitariuszy, wykonujących masaż serca szczątkom pozostawionym na trawniku. Wyobrażałam sobie, że znajdę podwórko oznaczone żółtą taśmą jak scena zbrodni, ale ku memu miłemu zaskoczeniu okazało się, że wszyscy Cacciamani zniknęli razem ze swym niebieskim dodge'em. Jedynym śladem ich bytności były dwa puste opakowania po soli. Łopatę Baba Jaga zabrała, więc chyba nie była umierająca.

- Nasypała soli pod róże? - zapytała Sandy, stając jak wryta i wlepiając we mnie przerażony wzrok. - Dokładnie tak postąpił generał Sherman, kiedy

puścił z dymem Południe. To najpodlejsza rzecz, jaką można zrobić drugiemu człowiekowi.

- Sherman sypał sól pod krzaki róż?! - Wbiłam łopatę, aż zazgrzytała. Sandy złapała za drugą i obie kopałyśmy.

- Gdzie tam, pod róże! Wszędzie sypał sól, żeby zrujnować uprawną ziemię, tak aby ludzie, kiedy wrócą na zgliszcza, nie mogli się wyżywić.

Sandy była bardzo dobra z historii. Miała doskonałą pamięć do wydarzeń.

- Tak, myślę, że ona działała pod wpływem podobnych emocji. - Rozłożyłam prześcieradło. - Syp tutaj ziemię. Trzeba całą wybrać. Może nam się uda, ale szanse są niewielkie. Zdążyła podlać krzaki.

- Polać sól wodą?! - Teraz Sandy naprawdę się nie oszczędzała. Zapomniała o urazie. Nie przestraszyła się. Wpadła w szał. Moja krew! - Jedynie stuprocentowy socjopata może zadać sobie trud, żeby polać sól wodą!

- To nie wszystko - oznajmiłam. - Okazało się, że posoliła również róże mojej matki. Dawno temu. Oczywiście nic nie wiedzieliśmy. Pewnego dnia róże padły, a później nic nie chciało wyrosnąć w tym miejscu.

Jedyną jasną stroną całego incydentu było to, że staruszka nie miała dość siły, by przekopać ziemię zbyt głęboko. Znajdowałyśmy skupiska grubej, koszernej soli, małych, twardych grudek, połyskujących w czarnej glebie jak diamenty.

W pewnym sensie należało podziwiać tę kobietę za to, że to zrobiła, że Alanowi kazała zostać w samochodzie, a sama wmaszerowała do mego ogródka jak generał Sherman, by powtórzyć zbrodnię, którą pierwszy raz popełniła, Bóg jeden wie, ile lat temu.

- Jak twoja matka odkryła, kto to zrobił?

- Nigdy się nie dowiedziała. Romeo mi powiedział. - Wyciągałam krzaczki i ostrożnie wytrzepywałam ziemię spomiędzy korzeni, po czym

każdą roślinę osobno owijałam ręcznikiem. Moja „Królowa Elżbieta”, moja „London Best”, moja „Różowa Dama”!

- Zastanów się nad tym, mamó. Pomyśl, jaki rodzaj ludzi może posunąć się do czegoś takiego!

Osiem dorodnych krzaków róż owiniętych w ręczniki leżało na trawniku. Myślałam o tym, kiedy kopałam głębokie dołki w miejscach, skąd usunęłam krzaki, aby wybrać sól, która ewentualnie mogła przeniknąć głębiej. Ziemia była ciężka i wilgotna. Miałam takie uczucie, jakbym kopała grób. Sprawiało mi to perwersyjną satysfakcję, bo wyobrażałam sobie, że to grób tej starej kobiety.

- Myślę o tym, Sandy. Prawie o niczym innym nie myślę.

Kiedy uznałyśmy, że grządka została przekopana dostatecznie szeroko i głęboko, przydźwigałyśmy z garażu dwudziestopięciokilogramowe worki z ziemią wymieszaną z nawozem. Jako kwiaciarka kupuję je po niewiarygodnie okazjonalnej cenie, a czasami nawet dostaję w prezencie od dystrybutorów, jako zachętę do współpracy. Nasypałyśmy na grządkę najlepszej ziemi, jaką można dostać za pieniądze. Potem, na ulicy, porządnie opłukałam korzenie krzewów i razem z Sandy na powrót je posadziłyśmy. Kiedy skończyłyśmy, byłyśmy uwalane błotem, wyczerpane i dumne z siebie. Dzieci, znużone po wczorajszej zabawie, jeszcze spały. Sandy podeszła do mnie, otoczyła ramionami i przez dłuższy czas trzymała w objęciach.

- Nie wygrała - powiedziałam.

- W sklepie spożywczym jest mnóstwo soli - zauważyła Sandy.

- Więc będę je wykopywać tyle razy, ile to okaże się konieczne.

- Mamó, jak zamierzasz postąpić? - Przysiadłyśmy na werandzie, zbyt zmęczone, żeby iść do domu. - Szczerze, co masz zamiar zrobić?

- Jeszcze nie wiem.

- Myślałam nad tym, co mi powiedziałaś. Chcę spróbować spojrzeć na to wszystko z twojej strony.

- Doceniam to.

Sandy przebiegła wzrokiem ulicę w prawo i w lewo; może chciała sprawdzić, czy rzeczywiście jesteśmy same, czy nikt nie ukrywa się za żywopłotem.

- Czy pan Cacciamani mówił coś o Tony'm? - spytała niepewnym głosem.

Może jej to sprawi przykrość, a może i nie. Już sama nie wiedziałam. Jednego tylko byłam pewna, a mianowicie, że pod żadnym pozorem nie powinnam okłamywać Sandy.

- Nigdy się nie ożenił. Jest w Ekwadorze, szczepi tubylców. - Sięgnęłam po jej brudną rękę i zamknęłam ją w swojej. - Romeo powiedział, że żałuje, iż przyczynił się do waszego zerwania. Według jego słów Tony naprawdę cię kochał i nigdy cię nie zapomniał.

Przez chwilę siedziała z opuszczoną głową i nie byłam pewna, czy znowu nie zacznie płakać.

- Wiem, że to zabrzmiało okropnie - odezwała się w końcu - ale nic miłszego nikt mi nigdy nie powiedział.

W soboty zawsze mamy urwanie głowy. Przez pierwszą połowę dnia w sklepie kręci się mnóstwo ludzi, a po czternastej w ogóle nie ma ruchu. Zazwyczaj zabieramy Tony'ego i Sarę ze sobą. Jeśli któreś z nich idzie na jakieś przyjęcie albo jest umówione z innymi dziećmi (nie do wiary, jak bardzo wypełniony jest kalendarz tych dzieciaków! Sandy musi zapisywać wszystkie zobowiązania, żeby uniknąć dublowania się imprez), to wtedy jedna z nas podwozi dzieci i pędem wraca do sklepu. Lubię, kiedy one są w kwiaciarni. To przypomina zabieranie dzieciaków do restauracji czy do samolotu lub w jakiegokolwiek inne miejsce, gdzie dorośli nie znoszą obecności dzieci. Jeżeli od samego początku są do tego przyzwyczajane i uważają to za zupełnie normalne, przeważnie bardzo grzecznie się zachowują. Ja, bez wątplenia, wychowałam się w tej kwiaciarni i pamiętam, że nic nie sprawiało

mi większej frajdy niż siedzenie w kącie i owijanie drutu kwaciarską taśmą całymi godzinami. Tony lubił pracować na zapleczu. Im więcej miał obowiązków, tym był szczęśliwszy. Chętnie zamiatał podłogę i rozpakowywał kartony z wstążkami, ale nic nie dawało mu takiego poczucia własnej ważności, jak napełnianie wodą fiolek, w które wsuwa się łydźki. Tę sztukę doprowadził naprawdę do perfekcji. Bardzo chciał obcinać kolce różom, ale ja miałam dwanaście lat, kiedy mój ojciec pozwolił mi wziąć do ręki nóż. Natomiast Sara wolała przebywać za ladą. Prawdziwą radość sprawiało jej rozmawianie z klientami. Podejrzewam, że „czym mogę służyć?” było pierwszym pełnym zdaniem, jakie wypowiedziała. Ludzie byli oczarowani. Ta smarkula potrafiłaby nawet sprzedać wodę rybie. Kiedy nie było klientów, przeglądała rośliny w poszukiwaniu suchych liści. Obrywała je delikatnie, z wyczuciem i upychała po kieszeniach.

Cała nasza czwórka żwawo się uwijała. Mnie i Sandy energii dodało poranne zwycięstwo nad solą i kruche porozumienie, jakie się między nami na nowo nawiązało. Ludzie uwielbiają nas wypytywać, gdy pracujemy całą gromadką: „To pani matka?”, „Czy to jest pani córka?”, „Trzy pokolenia?”, „Fantastyczne!” Tamtego ranka z ochotą udzielaliśmy odpowiedzi: „Tak!”, „Och, jest naprawdę niesamowita!”, „Naturalnie, że jestem z niej bardzo dumna”.

W środku tego radosnego nastroju moją uwagę przyciągnął mężczyzna w starym, czarnym fordzie, zaparkowanym po przeciwnej stronie ulicy. Siedział w nim jakiś czas, potem odjechał na mniej więcej godzinę. Już mi się zdawało, że zniknął na dobre, ale kiedy spojrzałam przez szybę wystawy, znowu go zobaczyłam. Czytał coś, siedząc w samochodzie. Co jakiś czas wysiadał i spacerował w górę i w dół ulicy, jednak zawsze pozostawał w polu widzenia. Stawał na palcach, gimnastykował ramiona, wrzucał parę monet do parkometru, wracał do auta i znowu czytał. Potem jeszcze raz odjechał, ale



wrócił. Mężczyzna był otyły, miał gęste, siwe, krótko ostrzyżone włosy, a ubrany był w czarny płaszcz przeciwdeszczowy. Wyglądał mi na Włocha.

Sandy go nie zauważyła. Wiem na pewno, bo gdyby było inaczej, zadzwoniłaby na policję. Ja, z kolei, tyle dni się odgrażałam, że wezwę policję, iż uznałam, że nie ma sensu robić tego akurat teraz. Podejrzewałam, że ten człowiek czeka na mnie i nie potrafiłam się przemóc, by złapać za telefon i złożyć skargę, że ktoś bez końca parkuje w pobliżu sklepu. Kupujący wchodzili i wychodzili, ruch na ulicy nasilał się coraz bardziej, samochód podjeżdżał za samochodem i wszyscy kierowcy dawali mężczyźnie w czerni znaki światłami, że go chcą przepuścić, aby wyjechał z parkingu. Ale on wystawiał rękę za okno i pokazywał im, żeby jechali dalej.

O drugiej, jakby za naciśnięciem jakiegoś niewidzialnego guzika, klienci przestali przychodzić. Nie potrafię tego wytłumaczyć, ale dzieje się tak dokładnie co tydzień. Sandy zawołała dzieci, żeby je zabrać do domu. Ja miałam zostać do piątej i dokończyć sprzątanie po Tonym oraz powpisywać rachunki do księgi. Ludzie lubią mieć świadomość, że w soboty jesteśmy otwarci do piątej, nawet jeśli nigdy do nas wtedy nie zagląдают.

- No dobra! - zawołała Sandy. - Znikamy!

Cmoknęła mnie w policzek, aby przypieczętować dzień spędzony wspólnie w miłej atmosferze. Całowanie było u nas już wtedy rzadkim zjawiskiem. Przytuliłam ją do siebie na sekundę. Nie wiedziałam, co się wydarzy, ale podejrzewałam, że może stać się coś złego. Na moment wpa-  
dłam w cikliwy nastrój. Kto wie, może widzę ich wszystkich po raz ostatni? Uściskałam dzieciaki. Byłam skłonna złożyć siebie w ofierze, byle uratować rodzinę.

- Idźcie! - powiedziałam, uważając, aby nie zawiódł mnie głos. - Bawcie się dobrze!

Stałam w drzwiach i pomachałam im na pożegnanie. Tony i Sara uwielbiają machać na do widzenia i lubią, kiedy im też się macha. Kiedy



odjechali, zostałam na progu. To miłe ze strony tego mężczyzny, że poczekał, aż moja rodzina zniknie. Poczułam się lepiej, nabrawszy pewności, że IM chodzi wyłącznie o mnie.

Obserwował, jak Sandy odjeżdża z dziećmi, potem rzucił gazetę na fotel obok kierowcy, wysiadł z auta, po raz nie wiadomo który sprawdził parkometr i przeszedł przez jezdnię. Mdlilo mnie ze strachu, ale postanowiłam udawać odważną. Przytrzymałam mu drzwi.

- No, no, ale obsługa! - pochwalił.

Mężczyzna był ubrany jak ksiądz. Wcześniej nie zauważyłam koloratki. Niewątpliwie w tym stroju budził mniej podejrzeń.

- Czego pan chce? - zapytałam wprost.

Spojrzał na mnie nieco zaskoczony.

- Czego chcę? Ach, no tak, kwiatów. Zastanawiałem się nad jakąś nową dekoracją ołtarza. Popadliśmy nieco w rutynę.

Westchnęłam. Ni stąd, ni zowąd ogarnęło mnie znużenie po całym dniu: kopaniu w ogródku i pracy w sklepie. Poczułam się staro.

- Niech pan sobie natnie kwiatów - powiedziałam. - Niech pan zabiera się do roboty. Mam już was wszystkich dosyć! Jeżeli planuje mnie pan zastrzelić, to niech pan strzela.

Teraz mężczyzna wyglądał na mocno zaskoczonego.

Przecież to niemożliwe, żeby ksiądz spędził cały dzień w samochodzie, zastanawiając się, jakich kwiatów potrzebuje do przystrojenia kościoła!

- Zastrzelić panią?

- Niech pan robi, co ma robić. Nie wiem. Niech mi pan grozi, przestraszy mnie na śmierć - cokolwiek pan zaplanował. Chcę już mieć to z głowy, czy to jasne?

- Zna mnie pani? - zapytał mężczyzna w czerni.

- Jasne, to pan od dziewiątej rano tkwi na parkingu, czekając, aż moja córka i wnuki odjadą, by móc zająć i porozmawiać ze mną bez świadków. Czy jak dotąd, mam rację?

- Och, jestem w takich sprawach beznadziejny - westchnął, sprawiając wrażenie szczerze przygnębionego. - Nie przyszło mi do głowy, że może mnie pani zauważyć.

- A to, co ma mi pan do powiedzenia, dotyczy Cacciamanich, zgadza się?

- Skąd pani to wszystko wie? Jestem pod wrażeniem. Romeo miał rację, pani jest rzeczywiście niezwykła. Tylko ta sprawa ze strzelaniem... Tu się pani pomyliła. Nie zamierzam do pani strzelać.

- Romeo? - podchwyciłam.

- Jestem ojciec Alphonse - przedstawił się, wyciągając pulchną dłoń. - Proszę mi mówić Al.

- Ojciec Al?

- Wystarczy Al, jeśli ci tak wygodniej. Jesteś Żydówką, prawda?

Przytaknęłam skinieniem głowy.

- Wybierz, co ci odpowiada. Reaguję na każdą z form. Nie przepadam za Alphonsem, ale możesz tak się do mnie zwracać, jeśli chcesz.

- Romeo cię przysłał?

- Co prawda, to nie wchodzi w mój zakres obowiązków; chrzty, śluby, ostatnie namaszczenia, jak najbardziej, ale usługi kurierskie? Chociaż to mogłoby otworzyć nowe możliwości przed kościołem. - Zaśmiał się cicho z własnego dowcipu. W innych okolicznościach może bym mu zawtórowała, ale tym razem nie było mi do śmiechu.

- Romeo przysłał cię, ponieważ... - naprowadziłam go.

- Hm, on jest uziemiony. Nie ma jak do ciebie zatelefonować, nie może przyjść. Rodzina ma go na oku, podobnie jak twoja ciebie. Rzecz w tym, że ksiądz nie budzi podejrzeń, chociaż to zabawne, bo ty odniosłaś się do mnie podejrzliwie. Rzeczywiście łamiesz wszelkie zasady.

- Już ci o tym wiadomo?

- Znamy się z Romeem od lat. Od bardzo dawna. Poznaliśmy się w pierwszej klasie w St. Catherine. Wiesz, że on też wybierał się do seminarium? Wspominał o tym? A potem poznał w autobusie Camillę. Dokonał słusznego wyboru. Camilla była wspaniałą kobietą. - Spojrzał na mnie speszony. - Bez urazy.

- Wcale mnie nie uraziłeś.

- Kiedy Bóg powołał Camillę do siebie, Romeo uznał, że już nigdy nie spotka kogoś odpowiedniego. Myślał, że jego życie już się skończyło. Uważał tak do chwili, kiedy poznał ciebie.

- Mnie?

- Romeo oszalał na twoim punkcie - wyjawiał ksiądz.

Szaleje za mną?! Miałam ochotę go za to ucałować. Co za huśtawka! Nienawiść do Cacciamanich, miłość do Romea; miłość do Romea, nienawiść do Cacciamanich.

- Nikt inny w tej rodzinie za mną nie szaleje - zauważyłam.

- Robią ci przykrości?

- Nie wiedziałabym, od czego zacząć. Al pokręcił głową i zacmokał.

- Romeo się tego obawiał. Bardzo się o ciebie martwi. Chciał sam tu przyjść, ale uznał, że to mogłoby jeszcze bardziej pogorszyć sytuację.

- Ma intuicję.

- Dużo złej krwi jest między waszymi rodzinami, mnóstwo bólu.

Spojrzałam na niego. Miał sympatyczną twarz, ciemne, okrągłe oczy i mięsiste usta.

- Powiedz, nie wiesz czasem, co się za tym wszystkim kryje? Jesteś księdzem, ludzie mówią ci różne rzeczy. Nie wiesz, dlaczego nasze rodziny tak się nienawidzą?

- Ludzie mówią mi różne rzeczy, ale mnie ich nie wolno powtarzać.

- Nawet w sytuacjach wyższej konieczności?

- Przykro mi. - Wyjął kopertę z kieszeni płaszcza. - Natomiast mogę dać ci to.

Na kopercie widniał napis: Julia. Szkoda, że nie mogę powiedzieć, iż serce podskoczyło mi z radości na widok charakteru pisma Romea, przecież nigdy nie widziałam jego pisma.

- No, przeczytaj - zachęcił mnie Al. - Mam poczekać na odpowiedź. - Odwrócił się i oglądał astry. Nachylił się nad nimi i powąchał.

Otworzyłam list.

*Droga Julio!*

*Kiedy spotkaliśmy się po raz drugi, wyznałem ci, że nosiłem się z zamiarem napisania do ciebie. No i właśnie piszę. „Przepraszam” to za mało, by wyrazić, jak bardzo ubolewam nad tym, co się stało. Jeżeli doświadczasz kłopotów choć w połowie porównywalnych z moimi, domyślasz się, o czym mówię. Niewątpliwie najprostszym rozwiązaniem byłoby się rozstać i zapomnieć, ale ja nie potrafię. Proszę cię, spotkaj się ze mną w CVS jutro o dziewiątej. Powiedz Alowi, że przyjdę dzisiaj na wieczorną mszę. Podaruj mi ten jeden dzień, abyśmy mogli przynajmniej uporządkować sprawy między nami, jeśli nie potrafimy ułożyć stosunków między naszymi rodzinami.*

*Ucałowania, Romeo*

- Och! - westchnęłam, ściskając w dłoni kartkę papieru.

- Mam nadzieję, że to dobra wiadomość? - powiedział Al.

- Nie wiem - odparłam. - Już sama nie wiem, jakie wiadomości są dobre.

- Nie musisz dawać mi odpowiedzi już teraz. - Wyciągnął z kieszeni portfel i podał mi wizytówkę. Było na niej jego nazwisko, numer telefonu i adres kościoła pod wezwaniem St. Catherine. Wizytówka wyglądałaby

całkiem zwyczajnie, gdyby nie mały rysunek przedstawiający gołąbka. - Możesz do mnie zadzwonić. Mam automatyczną sekretarkę. To mój prywatny numer.

Obracałam wizytówkę w dłoniach, usiłując zebrać myśli.

- Posłuchaj - zaczęłam. - Mógłbyś tu pobyć jeszcze chwilę, oczywiście, jeżeli się bardzo nie śpieszysz? Wiem, że zmarnowałeś cały dzień, ale gdybyś dał mi trochę czasu, powiedzmy, dziesięć minut...

- Jasne - odparł. - Mam dziesięć minut. Włożyłam list i wizytówkę do kieszeni fartucha.

- Chodź ze mną na zaplecze. Przygotuję dla ciebie stroik. Mówiłeś, że szukasz czegoś nowego na ołtarz?

- Ach, to była tylko taka gadka. Romeo zaopatruje nas w kwiaty.

- W takim razie w tym tygodniu masz kwiaty ode mnie. W tym tygodniu kwiaty dla St. Catherine będą przychodzić od Rosemana. To będą pierwsze żydowskie kwiaty.

- Kwiaty to kwiaty - stwierdził. - Nigdy ich nie odrzucam.

Posadziłam Ala na stołku, a sama wzięłam się do roboty. Świeże kwiaty dostarczają nam w poniedziałek rano, więc ułożyłam bukiet ze wszystkiego, co mi pozostało. Gdyby przyszedł jakiś klient po wiązanekę, musiałabym go odesłać z kwitkiem, powiedzieć, że skończyły mi się kwiaty. Pracowałam dłużej niż dziesięć minut, ale wręczyłam mu arcydzieło. Bukiet wyglądał dostojnie, strzeliście. Kwiaty wyciągały płatki prosto do katolickiego Boga. Kompozycja nie była tak piękna jak bukiet Romea, ale była naprawdę ambitna. Al z trudem zmieścił stroik w samochodzie. Potem uścisnął mi rękę. Nie mógł się nadziękować.

- Nie - odparłam. - To ja ci dziękuję.

- Masz mi coś jeszcze do powiedzenia? - zapytał, przystając na krawężniku.

- Tak, powiedz mu, że dobrze - odparłam.

## Rozdział 10

Zamknęłam sklep wcześniej. A dlaczego by nie? I tak nie miałam już kwiatów. Zadzwoiłam do Glorii.

- Muszę zrobić zakupy - oznajmiłam - potrzebuję rady.

- Dwie rzeczy, które lubię najbardziej na świecie. Czy mogę ci udzielić rady podczas zakupów?

- Tak byłoby najlepiej.

- Buzz wybrał się rano na ryby na Cape Cod. Według moich obliczeń stoi gdzieś w korku na autostradzie. Przyjadę po ciebie.

Przez długi czas wielokrotnie się zastanawiałam, dlaczego moje małżeństwo z Mortem nie mogło przypominać przyjaźni z Glorią. Nie zależało mi na tym, aby Mort towarzyszył mi w zakupach (choćby byłoby miło, gdyby w ciągu trzydziestu czterech lat raz czy dwa zdobył się na ten gest), żałowałam natomiast, że kiedy potrzebowałam rady, nie mogłam do niego zadzwonić, z góry wiedząc, że nie będzie skłonny wszystkiego dla mnie rzucić. Jeśli chodzi o Glorię, nie miałam wątpliwości, że przyleciałaby ze swych pierwszych wakacji w Europie, gdybym potrzebowała jej pomocy. Zresztą ja dla niej zrobiłabym to samo. Taka była niepisana umowa między nami. Tymczasem Mort kazałby mi zaczekać, aż się upora z tym, co akurat robi.

Kiedy się zjawiał, już nie pamiętał, że w ogóle czegoś od niego chciałam. Gdy wracałam do tego tematu, prosił, żebym się na chwilę wstrzymała, i szedł do kuchni po kanapkę. A gdy w końcu udawało mi się zwrócić jego uwagę, co rusz odpływał myślami gdzie indziej. „Julio, spójrz tylko” - mówił, gdy ja otwierałam przed nim swe serce. „Widziałaś ten zaciek na suficie? Jak długo on tam jest?” W efekcie po iluś tam latach przestałam szukać u niego rady i nie próbowałam się zwierzać. Jeżeli miałam jakiś problem, szłam z nim do

Glorii. Kiedy trafiał mi się jakiś mały, godny uczczenia sukces, to do niej dzwoniłam. Dzieliłam się z nią porażkami i obawami, a gdy odkryłam pewien niepokojący guzek, Gloria, a nie Mort, siedziała ze mną przez trzy godziny w poczekalni u lekarza. Wiedziałam, że ona kocha mnie bezwarunkowo taką samą miłością, jaką się darzyłyśmy, mając po czternaście lat, gdy nie było nikogo innego do kochania. Mówiła mi prawdę, kiedy ją o to prosiłam, a czasami, gdy jej nie prosiłam. Gdy się sprzeczałyśmy, co rzadko miało miejsce, zachowywałyśmy dla siebie nawzajem szacunek. Gloria przeprowadziła mnie przez okres motocyklowych ekscesów Nory i niedoszłe małżeństwo Sandy w średniej szkole. Ja wspierałam ją, gdy jej córka, Kate, popadła w anoreksję, a także kiedy Jeff, jej syn, trafił do aresztu po tym, jak wybrał się pewnej nocy kraść radia samochodowe. Kiedy już wszystkie nasze dzieci podorastały, Gloria przemieszkiwała u nas przez dwa miesiące, gdy odeszła od Shelly'ego, swego pierwszego męża. Mort lubił Glorię, a jednak się krzywił; nie drażniła go jej obecność w pokoju gościnnym, tylko nasza więź.

- Usta wam się nie zamykają - zrzędził. - Boże drogi, bez końca gadacie! Można by pomyśleć, że ona przez dwadzieścia lat mieszkała w Tybecie, a nie osiem przecznic dalej.

Mort nie potrafił zrozumieć, że ja chciałam rozmawiać. Potrzebowałam kogoś, przy kim mogłam omówić problemy, kogoś, kto mnie słuchał i pamiętał, co mówię. Tym kimś była Gloria, a nie mój mąż.

W drodze do Saksa opowiadałam jej o starej Cacciamani. O księdzu Alu powiedziałam jej dopiero, gdy wjechałyśmy na parking. A kiedy znalazłyśmy wygodne miejsce do parkowania i Gloria wyłączyła silnik, pokazałam jej list.

- Dozujesz napięcie - stwierdziła, przekopując torebkę w poszukiwaniu okularów. Podałam jej moje. - Od tego powinnaś zacząć. - Przeczytała list w skupieniu, a potem jeszcze raz przebiegła go wzrokiem. Podniosła go do światła, jakby chciała sprawdzić autentyczność. - No dobrze. Odpowiedziałas „tak”?



- Odpowiedziałam „tak”.
- Ani przez chwilę nie pomyślałam, że mogłabyś postąpić inaczej. Nie przyjaźniłabym się z idiotką.
- Muszę podjąć jakąś decyzję.
- Nie daję ci zbyt wielu wskazówek co do rodzaju stroju. A to wieczne spotkanie się w CVS jest nieco dziwaczne.
- To dopiero drugi raz, za pierwszym to był mój pomysł.
- I wystarczy. Bo jeszcze z CVS zrobi się „wasze miejsce”. W końcu zaczniecie tam obchodzić rocznice.

Wysiadłyśmy z samochodu i ruszyłyśmy do sklepu. Nie miałam w planie żadnych wydatków, ale muszę przyznać, że po wydarzeniach ostatnich dni uważałam, że należy mi się jakaś osłoda.

- Pilnuj mnie.
- W jakim sensie?
- Finansowym.
- Z tym nie ma problemu. Za resztę odpowiadasz sama.

Pchnęłyśmy wahadłowe drzwi, a zapach perfum, pudru i nowych butów z miejsca podniósł mnie na duchu. Zawsze przywodził mi na myśl Holly Golightly\* i jej powiedzenie, że u Tiffany'ego człowiekowi nic złego nie może się przytrafić. Na mnie tak działał Saks.

\* Holly Golightly - bohaterka „Śniadania u Tiffany'ego” Trumana Capote'a (przyp. tłum.).

Gloria przystanąła przy stoisku Chanel, grzecznym gestem powstrzymała ekspedientkę, po czym wypróbowała trzy różne odcienie szminki na wierzchu dłoni.

- A więc pierwsza rada, której ode mnie oczekujesz, dotyczy ubioru. To proste. Druga sprawa to Sandy i Nora.

Gloria obracała dłoń pod różnym kątem do światła, chcąc sprawdzić, który z odcieni najbardziej jej odpowiada.

Wzięłam pomadkę o nazwie Splendor i narysowałam kreskę na nadgarstku, przez co wyglądałam jak niedoszła samobójczyni.

- Zgadza się.

- Mam ochotę ci poradzić, żebyś skłamała. Cały mój instynkt podpowiada mi, że powinnaś nakłamać i ty o tym wiesz.

- Tak.

- Ale tego nie zrobisz, bo tak naprawdę nie powinnaś. Raz skłamałaś i źle się to skończyło. Okłamywanie dzieci to zupełnie inna sprawa niż okłamywanie męża czy nawet przyjaciół. Może wywołać najróżniejsze psychologiczne reperkusje u wszystkich zainteresowanych, a ty po prostu tego nie chcesz. Z drugiej strony... - Gloria przerwała i podniosła ładne czarne puderko z czterema okrągłymi cieniami do powiek: kremowym, lawendowym, różowym oraz szarym. - Czyż nie są cudowne? Nie kusi cię, żeby je kupić? Ja nigdy nie potrafiłam nakładać cieni. - Odłożyła kompakt i podjęła przerwana myśl. - Z drugiej strony, jak powiesz prawdę, rozpęta się piekło.

- Będzie Sajgon tysiąc dziewięćset siedemdziesiąt dwa.

- No właśnie - przytaknęła. - Tak, krótko ujmując, wygląda twój problem.

- A odpowiedź?

Uśmiechnęła się do mnie smutno.

- Nie ma odpowiedzi, aniele, bo nie ma pytania. Wiesz, że im powiesz, i dobrze wiesz, że okropnie to przyjmą, ot i wszystko. - Oczy Glorii nieco się zaszklily. Była równie skłonna rozczulać się nade mną, jak nad sobą.

Jej głębokie współczucie dodało mi otuchy. Rozmowa z Glorią przypominała monolog wewnętrzny, tyle że była znacznie lepsza. Morta musiałam zawsze przekonywać, przedstawiać mu argumenty, udowadniać, że

mam rację. Gloria wierzyła mi od początku. Ona jedynie mi pomagała dojść do własnych, logicznie nasuwających się wniosków.

- Jak rozumiem, sprawa jest przesądzona - westchnęłam ciężko.

- No cóż, w takim razie zostaje nam weselsza część. Nie zapominaj, że jutrzejszy dzień spędzasz z Romeem.

- Nie zapominam. Biorąc pod uwagę początek dzisiejszego dnia, trudno w to uwierzyć.

Gloria odwiodła mnie od zakupu bawełnianego swetra, prawie sięgającego kolan. Natomiast namawiała na komplet bielizny w kolorze, który, efektowna, dwudziestoparoletnia sprzedawczyni nazwała odcieniem szampana.

- Będzie pasować do pani karnacji - zauważyła ekspedientka.

- Czarny jest zbyt agresywny na pierwszy raz - stwierdziła Gloria. - Czerń zdaje się mówić, że z góry zakładałaś, iż się będziecie kochać.

- Nie wiem, czy będziemy - powiedziałam.

- No widzisz, tym bardziej powinnaś wziąć ten w kolorze szampana.

Zarówno stanik, jak i figi miały koronkowe wstawki, ale nie były wyzywające.

- Zupełnie wyszłam z wprawy. Od tak dawna kupuję bieliznę w Target, że zapomniałam, iż gdzie indziej też ją sprzedają.

- Witamy z powrotem w świecie - powiedziała ekspedientka i wzięła ode mnie kartę kredytową.

Ponieważ wszystkie pieniądze wydałam na dwuczęściowy komplet bielizny, co do reszty postanowiłam zadowolić się czymś z mojej szafy. Gloria uznała, że to dobry pomysł, skoro on nigdy nie miał okazji oglądać dziewięćdziesięciu ośmiu procent moich rzeczy.

Potem spojrzała na zegarek i zaprowadziła mnie przed automat telefoniczny w przedsionku toalety dla pań.

- Musisz zadzwonić do Nory i powiedzieć jej, żeby do ciebie zajechała.

- Mogę do niej zadzwonić z domu.

Gloria wręczyła mi ćwierćdolarówkę i dziesięciocentówkę.

- Powiedz jej, że jesteś w drodze do siebie i że chcesz się z nią zobaczyć w domu. - Patrzyła na mnie nieustępliwie. - Mam za ciebie wybrać numer?

Wzięłam monety i zadzwoniłam do mojej pierworodnej córki, która, ku memu zdumieniu, a i rozczarowaniu, podniosła słuchawkę. Poprosiłam ją o spotkanie.

- Chodzi o Cacciamanich, prawda?

- Tak.

Nora westchnęła.

- Wiem już od Sandy o posolonych różach.

Jedyną pozytywną stroną tej całej historii było zacieśnienie się więzów pomiędzy Norą a Sandy.

- Jest jeszcze coś.

- Aż tyle, że nie możesz mi o tym powiedzieć przez telefon?

- Po prostu byłoby mi znacznie łatwiej rozmawiać z wami obiema naraz.

Nora westchnęła ponownie. Trzeba przyznać, że sztukę wzdychania opanowała do perfekcji. Westchnienie wyrażało znudzenie, a zarazem niezadowolenie, że naraża się ją na niewygodę.

- Dobrze. Będę za pół godziny. Odwiesiłam słuchawkę i zerknęłam na zegarek.

- Powiedziała, że będzie za pół godziny. Trzeba się naprawdę śpieszyć, jeżeli mam zdążyć.

- Musisz przestać tak się jej bać - pouczyła mnie Gloria.

- Dlaczego? - zapytałam. - Jest przerażająca!

Gloria podrzuciła mnie pod kwaciarnię, żebym mogła przesiąść się do mojego auta.

- Jutro będziesz się świetnie bawić - powiedziała. - Kiedyś spojrzysz na to wszystko z dystansu i będziesz pękać ze śmiechu. Dużo wody upłynie do tego czasu, ale zobaczysz, że tak będzie.

Objęłam ją za szyję.

- Trzymam cię za słowo.

Odjeżdżając, dwukrotnie zatrąbiła klaksonem i pomachała na pożegnanie. Żałowałam, że nie pojedzie ze mną, ale mi tego nie zaproponowała. Wiedziała, że to nie byłoby właściwe. Ja też to wiedziałam i żadna z nas nie musiała nic mówić.

Ten przyprawiający o gęsią skórkę lexus! Och, dość już tego! Sandy i Nora siedziały w kuchni. Dzieciakom włączyły kanał z powtórką serialu „Gilligan's Island”, co bez wątpienia nie wyjdzie im na dobre, a może nawet zaszkodzi, ale potrzebowałyśmy swobodnie porozmawiać.

- A więc? - odezwała się Nora.

Była ubrana niezobowiązująco, czyli w dopasowane, czarne spodnie i w odpowiednio dobrany czarny sweter, a włosy spięła złotą klamrą. Sandy też była na luzie, czyli w podkoszulku Celtów, dopiero co wyciągniętym z suszarki.

- Sprawa wygląda tak. - Usiadłam naprzeciwko nich, w konfiguracji „spotkanie z prasą”, typową dla naszych rodzinnych narad. - Dzisiaj w sklepie skontaktował się ze mną ksiądz, ojciec Al, i przyniósł list od Romea.

- Kiedy wyszłam? - chciała wiedzieć Sandy.

- Tak. Akurat zdążyłaś odjechać.

- Dostajesz teraz listy od katolickiego księdza? - zapytała Nora z niedowierzaniem.

- On go nie napisał, tylko przyniósł, a ty weź na wstrzymanie, bo to nie wszystko. - Mimo woli przypomniał mi się tamten wieczór, kiedy ściągnęłam obie dziewczyny do domu, żeby im powiedzieć, że Mort odszedł z Lily. Sandy była wtedy jeszcze z Sandy Andersonem i obie dziewczyny przywiozły ze sobą

mężów. Wywlekanie prywatnych spraw w tych okolicznościach było takie poniżające! Musiałam oznajmić im, że moje małżeństwo się rozpadło i że ich ojciec wybrał znacznie młodszą i bardziej atrakcyjną kobietę ode mnie. Obie się rozpląkały. Liczyły na nas, na to, że zawsze będziemy razem. Myślałam, że nigdy nie przytrafi mi się trudniejsza sytuacja. Okazało się, iż się myliłam.

- Chce się z tobą zobaczyć - podsunęła Sandy.

Dzięki jej za to!

- Jutro rano.

Nora spojrzała na zegarek.

- Biorąc pod uwagę, że teraz mamy dziewiętnastą, nie sądzę, byś wezwwała nas po to, aby to przedyskutować. Myślę, że powiedziałaś „tak”, a teraz nas o tym informujesz.

- Nie planowałam prosić was o pozwolenie, jeśli o to ci chodzi.

- Moja odpowiedź brzmi: „nie” - powiedziała Nora, wstając. - Grożono nam, byliśmy napastowani i doszło do uszkodzenia prywatnej własności. - Nora podchodziła bardzo poważnie do wszystkiego, co dotyczyło prywatnej własności. - To nie są ludzie, których po prostu nie lubimy. To są ludzie niebezpieczni. Zagrażają tobie, mnie i Sandy, nie wspominając już o dzieciach. Nie możesz myśleć wyłącznie o sobie. Musisz mieć na względzie rodzinę.

Usiłowałam sobie przypomnieć, jak Nora przyjęła wiadomość o odejściu ojca. Zastanawiałam się, czy kiedykolwiek zadzwoniła do niego z pretensjami, próbowała przeforsować swoje zdanie? Nic mi o tym nie było wiadomo.

- Przyznaję, sytuacja wymknęła się spod kontroli, jednak chcę się znowu zobaczyć z Romeem. Muszę. Po prostu nie chcę was okłamywać. Prosiłyście, żebym mówiła prawdę, więc oto ona.

Sandy w myślach rozważała sytuację. Na jednej szali umieściła przeszłość, na drugiej terażniejszość i w duszy dokonywała oceny. Zapytałam ją, co o tym wszystkim sądzi.

- Uważam, że ci ludzie są naprawdę nieobliczalni - odparła cicho. - I sądzę, iż robisz błąd.

To było do przeżycia.

- Nie dzwoń do mnie - powiedziała Nora. - Odcinam się od tego. - Zgarnęła torebkę i zwracając się do siostry, siostrzenicy oraz siostrzeńca, życzyła im dobrej nocy.

- Czy to znaczy: nie dzwoń do mnie, by powiedzieć, co słychać, czy też: nigdy więcej do mnie nie dzwoń?

- Dam ci znać - oznajmiła i już jej nie było.

Poczułam kluskę w gardle. Nie zależało mi na jej aprobacie. Nie przejęłam się też, że może więcej nie przyjść. Zasmuciło mnie niezmiernie, że od lat toczymy tę samą wojnę. Była moją córką, kiedyś była moim maleństwem. Przez pewien okres stanowiłyśmy jedno ciało. Chyba od tamtego czasu odczuwałam jej brak.

- A ty się nie zbierasz? - Odwróciłam się do Sandy.

- Nie wyprowadzam się, jeśli o to pytasz, ale chcę, mamó, żebyś mnie wysłuchała. Uważam, że popełniasz poważny błąd. Ty mi też tak powiedziałaś i być może, biorąc pod uwagę mój wiek i tamten etap mego życia, miałaś rację.

Zaskoczyło mnie to wyznanie. Wyciągnęłam rękę i pogładziłam ją po włosach.

- Ale ja jestem znacznie starsza. - Czuję się o wiele starsza.

- Wiem - powiedziała bez złośliwości - i dlatego powinnaś być rozsądniejsza.

Do kuchni wszedł Tony z latarką.

- Babciu, chodź na dwór. Mam dla ciebie niespodziankę.



- Pracował nad tym całe popołudnie - wyjawiała Sandy.

Podążyłam za wnukiem na podwórko. W jednej ręce trzymał kartkę, a w drugiej latarkę, którą oświetlał drogę. Zaprowadził mnie do różanych krzaków, wyglądały zdrowo na nowej grządce z żyznej ziemi.

- Wiem, że ta kobieta nie przyszła pożyczyć róż. Ona je chciała ukraść - oznajmił.

- Dobra - odparłam. - Masz rację.

- Nauczyłem się tego na zbiórkach zuchów. Popatrz, nałamałem patyków i powtykałem je w ziemię, widzisz? - Skierował snop światła na grządkę i rzeczywiście, w ziemi pomiędzy krzaczkami tkwiło jakieś pół tuzina patyków, umieszczonych w nieregularnych odstępach. - Potem narysowałem mapkę i zaznaczyłem miejsca, w których są teraz patyczki. Co rano będę przychodził tu z mapą i sprawdzał, czy pozostają na swoich miejscach. Pan Hollins mówi, iż trzeba pamiętać, że wiatr może poprzesuwać niektóre z nich, więc nie należy się przejmować, jeśli nie wszystkie będą dokładnie tam, gdzie się je wetknęło, ale w ten sposób można sprawdzić, czy ktoś tu chodził.

Przykucnęłam i podziwiałam jego pracę. Tony był niewiarygodnie starannym dzieckiem.

- To doskonały plan - pochwaliłam go. - Dziękuję.

- Przynajmniej zapewni nam bezpieczeństwo - odpowiedział.

Pozwólcie, niech rozwinę nieco tę baśń. Okazała się bardziej skomplikowana, niż mi się z początku wydawało. Do pokonania miałam nie tylko pięciu przerażających, ziejących ogniem synów Cacciamaniego. Czekало mnie jeszcze przejście przez pustynię i dżunglę ciernistych krzewów: Było także siedem lat suszy i siedem lat powodzi, a po nich głód, plagi oraz wojny. W dodatku przez cały czas wlokłam za sobą brzemię w postaci parcianego wora pełnego wątpliwości. W mojej księdze losu zapisano, że wątpliwości zawsze będą mi towarzyszyć. Ich piskliwe zawodzenie dźwięczało mi w uszach przy każdym kroku.

- Jesteś pewna? - jęczały. - Znasz go? Jest wart tych wszystkich cierpień, jakie ściągnęłaś na ziemię?

- Zamknijcie się! - mówiłam im.

- Pomyślałaś o ludziach, których kochasz? Których ranisz?

- Cicho!!!

- A jeśli w ogóle się nie zjawi, wzięłaś to pod uwagę? Przecież może się okazać, że to po prostu sprytny podstęp, a ty do końca życia będziesz musiała znosić wstyd i upokorzenie.

- Zamknijcie się! Dość tego! Zamknijcie się!!!

## *Rozdział 11*

Nie spałam od szóstej, ściślej rzecz biorąc, byłam na nogach, bo obudziłam się już o trzeciej. Nałożyłam odżywkę na włosy i napuszyłam je suszarką. Wymasowałam twarz odrobiną kremu Sandy na wypadek, gdyby Romeo zdecydował się z bliska przyjrzeć mojej cerze. Poobcinałam metki na szampańskiej bieliźnie. Była taka ładna! Jeszcze lepiej wyglądałaby na tamtej dziewczynie, która mi ją sprzedała, ale rozmiar byłby za duży, a poza tym jej tu nie było. Trzy razy się przebierałam, zanim postanowiłam z tym skończyć. Zostaję w następnej rzeczy, jaką wyciągnę z szafy, bo inaczej cała jej zawartość wyląduje na podłodze, a ja popadnę w depresję. Nie przypuszczałam, że przetrwała we mnie ta część kobiecej natury. Myślałam, że przeminęła w jakimś trudnym do uchwycenia wieku i, podobnie jak młeczne zęby czy menstruacja, należy do przeszłości. Sądziłam, iż wyrosłam już z okresu, kiedy kobieta, stając przed pełną szafą, stwierdza, że nie ma co na siebie włożyć. A teraz byłam żywym dowodem na to, że można na powrót stać się nastolatką. W końcu zdecydowałam się na spodnie z grubego płótna i

ciemnoniebieski sweterek z dekoltem w łódkę; zestaw, który wydawał mi się elegancki, a zarazem niezobowiązujący.

Z każdą minutą czułam się coraz bardziej swobodnie. Znikały wszystkie nurtujące mnie problemy. Najpierw przestałam się przejmować gniewem Nory, potem groźbami młodych Cacciamanich i matriarchalną nestorką rodu, która wczoraj mogła, albo i nie mogła wyzionąć ducha na moim trawniku. Najtrudniej mi przyszło odsunąć od siebie myśli o Sandy, ale wyznam szczerze, że w końcu i z nimi sobie poradziłam. Czułam się szczęśliwa. Byłam kobietą strojącą się na randkę z mężczyzną, którego tak naprawdę nie zna, ale za którym szaleje. Pomalowałam usta, starłam pomadkę chusteczką higieniczną i nałożyłam błyszczki. Stopy wsunęłam w najwygodniejsze ze sportowych butów.

Sandy siedziała w kuchni z filiżanką kawy i czytała gazetę.

- Ładnie wyglądasz - powiedziała.

Sama wyglądała na bardzo zmęczoną, jakby przesiedziała tu całą noc.

- Naprawdę cenię sobie twój komplement.

- Nie ceń - odparła. - Szczerze mówiąc, wolałabym, żebyś nie wyglądała ładnie. Wiesz, zastanawiałam się nad zabiciem gwoździami drzwi do twojej sypialni, ale doszłam do wniosku, że uderzenia młotka mogłyby cię zbudzić.

- Zawsze miałam lekki sen. - Nalałam sobie filiżankę kawy.

- Uznałam, że w życiu każdej kobiety pojawia się taki moment, w którym musi ona zdać sobie sprawę, że jej matka jest całkiem dorosła i powinno się jej pozwolić popełniać błędy.

- Osiągnęliśmy już ten punkt? - Usiadłam obok niej. - Wydaje się, że zaledwie wczoraj odchylałam ci głowę i na siłę wlewałam do ust penicylinę w zawieszynie, bo byłaś pół żywa z powodu jakiejś paskudnej choroby, a tobie nie podobał się smak lekarstwa.

Uśmiechnęła się nieznacznie.

- Tego nie pamiętam. To znaczy kojarzę taką scenę, ale w mojej wersji to ja wlewam lekarstwo Tony'emu. Ma różowy kolor jak guma balonowa, tak? Kiwnęłam głową.

- Może dlatego Norze trudniej się z tym pogodzić. Nie zwymiotowano na nią tyle razy, że w końcu nie ma już sensu się starać dobrze wyglądać. Nie jest przyzwyczajona do naginania się do woli innych. Kiedy się ma dzieci, trzeba ustępować, po prostu nie ma wyboru. Dzieci uczą rezygnacji z własnych potrzeb. Nie podoba mi się to, co robisz, ale przynajmniej zrozumiałam, że nie mogę temu zapobiec.

- Dzięki, kochanie.

- Chcesz, żebym cię podwiozła?

Zaprzeczyłam ruchem głowy.

- To niedaleko. Przejdę się. Jest ładnie na dworze.

- Te twoje piesze wędrówki! Mamo, ty mnie ciągle zaskakujesz.

Poruszyłam się na krześle i spojrzałam na zegar.

- Jeszcze za wcześnie, żeby iść.

- Masz - powiedziała Sandy, podsuwając mi połowę niedzielnej gazety.

Była gruba jak cegła. - Będę robić gofry dla dzieci. Chcesz parę?

- Żadnych gofrów - odparłam

Oczywiście wyobraźni zobaczyłam, jak wysmarowana lepkiem syropem przebieram się kolejny raz. Rozpostarłam gazetę. Przerzuciłam ją, a tymczasem dzieci zdążyły obejrzeć kreskówkę i hasały po kuchni z energią, jaką daje porcja syropu na niedzielne śniadanie. Przeczytałam Sarze dziecięcy dodatek do gazety, a Tony siedział i słuchał, oszczędzając sobie w ten sposób trudu samodzielnego składania liter. Nałożyłam fartuch i pomyślałam naczynia. Potem poszłam do spiżarni i poustawiałam pojemniczki z przyprawami w porządku alfabetycznym. Oto do czego doszłam.

- Teraz mogę iść - stwierdziłam, ponownie spoglądając na zegar.

- Jeśli chcesz tam być absurdalnie wcześnie.

- Dokąd się wybierasz? - zapytała Sara. Usiłowała wsunąć swe lepkie palce w moje włosy, lecz w porę zrobiłam unik.

- Babcia umówiła się na spotkanie - wyjaśniła Sandy. Spojrzała na mnie z pewną dozą sympatii. - Uciekaj stąd - poradziła.

Ucałowałam ich wszystkich na pożegnanie i skierowałam się do drzwi. Było za wcześnie, ale nie potrafiłam się opanować. Przystanąłam przy krzewach róż. Jeśli dobrze zapamiętałam, wszystkie patyczki Tony'ego były na swoim miejscu. Same rośliny chyba wyszły z opresji bez szwanku. Jak dobrze pójdzie, dzięki świeżej ziemi i nawozom, dadzą tego lata rekordowo dużo kwiatów. Ruszyłam ulicą przed siebie. Myślałam wyłącznie o Romeo, o tym, jak mocno go nienawidziłam i jak szybko przeszła mi ta nienawiść. Myślałam o jego szorstkich jak szczotka włosach, czarnych i gęsto poprzetykanych siwizną. Kiedy doszłam do końca ulicy Cedrowej i skręciłam w Wiązową, kolejny raz powtarzałam w myślach jego list. „Ucałowania, Romeo”. Przyspieszyłam kroku. Gdy dotarłam na parking przed CVS, walczyłam ze sobą, żeby nie zacząć biec. Była ósma trzydzieści (na szczęście sklep jest otwarty przez całą dobę). Skierowałam się prosto do regału z prezerwatywami, gdzie, o dziwo, godzinę za wcześnie czekał już na mnie Romeo.

Znieruchomieliśmy na chwilę z głupawymi uśmiechami na twarzy, zaskoczeni szczęśliwym zrzędzeniem losu.

- Poznałaś Ala - odezwał się.
- Wspaniały człowiek.
- Spodobałaś mu się. Powiedział, że myślałaś, iż zamierzał cię zastrzelić.
- Miałam parę złych dni.
- Jesteś taka piękna.
- To samo pomyślałam o tobie.

Wziął mnie za rękę. Zbliżyłam się do niego o krok i wtedy mnie pocałował. Niewiele ludzi kręci się w CVS o ósmej trzydzieści w niedzielę.

Tam, przy regale z prezerwatywami, zarzuciłam mu ramiona na szyję, a on skrzyżował swe piękne ręce na moich plecach. Warto było przejść przez to wszystko dla pocałunku. Nawet gdyby róże wyginęły co do sztuki, pocałunek zrekompensowałby stratę. Był delikatny, a zarazem namiętny. Lekko skubaliśmy nasze wargi. Użyłam języka do czegoś znacznie lepszego niż rozmowa. Musieliśmy stanowić niezły widok: dwoje sześćdziesięciolatków sprawiających takie wrażenie, że jeszcze chwila, a osuną się na pomarańczową wykładzinę i zrobią to tu, na podłodze działu ze środkami antykoncepcyjnymi.

- Dość - powiedział Romeo. - Dość. - Pocałował mnie w podbródek. - Mamy przed sobą cały długi dzień. - Wziął mnie za rękę i szliśmy w kierunku wyjścia. - Poczekaj! - Przystanął. - Chcę ci coś kupić.

- Co takiego?

- Nie wiem. Jakiś prezent. Coś z CVS. Uważam, że powinniśmy wspierać to miejsce. Okazało się dla nas szczęśliwe.

Zastanawiałam się przez chwilę.

- Kup mi lukrecję. Czarną lukrecję.

Z powagą skinął głową.

- Dla ciebie dwa opakowania.

Cofnęliśmy się do działu słodczy, oszołomieni kolorowym wyborem słodkości. Zdecydowałam się na jedną paczuszkę switzerów i jedną nibów. Potem wyszliśmy na zewnątrz i wsiedliśmy do jego wozu. Przytrzymał mi drzwi. Zupełnie jak dżentelmen z Południa.

- Dokąd jedziemy?

- Niespodzianka - odpowiedział. - Jesteś głodna?

W tej chwili nie byłam w stanie myśleć o jedzeniu. Pokręciłam głową.

- Ja też nie. - Romeo był dobrym kierowcą. - Poznałaś także moją matkę. Znasz już wszystkich.

Wyglądałam przez okno i patrzyłam, jak Somerville przesuwa mi się przed oczami. Wszystkie te McDonaldy i Pay-Less Shoes oraz nie kończący się sznur Dunkin' Donuts wyglądały teraz bardziej kolorowo. Wybaczcie mi sentymentalizm, ale nagle miasto wydało mi się ładniejsze.

- Chyba jej nie zabiłam?

- Nic jej nie jest. Ma trochę zadrapań.

- Szturchnęła mnie raz. Za drugim razem zrobiłam unik. Przysięgam na Boga, że jej nie dotknęłam.

- Szturchnęła cię?!

- Tak, zobacz. - Odchyliłam sweter, aby mu pokazać okrągły fioletowy siniec przy lewym obojczyku, a przy okazji odsłoniłam kawałek ramiączka mojego „szampańskiego” biustonosza.

Patrzył przez chwilę, prowadząc wóz.

- Stygmat Cacciamanich! - podsumował. - Przeszłaś inicjację. Ja przynajmniej przez połowę życia chodziłem z takimi siniakami.

Doprowadziła szturchanie do perfekcji. Nawet bez patrzenia zawsze trafia w miękkie miejsce pomiędzy kośćmi. To boli jak cholera. Żadnemu z nas nigdy nie starczyło odwagi, żeby się uchylić. Rany, ale musiała być zaskoczona!

- Trudno powiedzieć - odparłam. - Poleciała na ziemię. Masz twardą matkę, jeżeli mogę się tak wyrazić.

- Ano mam - zgodził się bardzo serio. - Pod wieloma względami była dobrą matką. Ciężko pracowała w firmie, dbała o mnie i o ojca. Zastanawiam się, co musiała czuć, kiedy jako młoda dziewczyna przyjechała z Włoch, nie mówiąc ani słowa po angielsku. Ale się nie poddała. Nie sądzę, by cokolwiek było w stanie ją powstrzymać. Powiem ci: to ona rządziła w domu. Myślę, że chciała mieć kupę dzieciaków i szkoda, że doczekała się tylko mnie.

- To nie tak źle, mieć ciebie.

- Za dużo w niej matki - oznajmił enigmatycznie. - Kiedy pobraliśmy się z Camillą i urodziło nam się dużo dzieci, była w siódmym niebie. Kupiliśmy



dwa mieszkania piętro niżej pod rodzicami - czyż to nie genialne posunięcie? Nie wiem, jak Camilla to znosiła. Moja matka zawłaszcziała wszystko, czego się dotknęła. Moje dzieciaki miały tak jakby dwie matki, jedną bardzo dla nich czułą i ciepłą i drugą, która ustawiała je w ordynku.

- Szturchała twoje dzieci?

- Poszturchiwała dzieci. Szturchała mojego ojca. Szturchała psy. Raz nawet szturchnęła listonosza, bo się spóźnił. Chciał jej wytoczyć sprawę. - Zaśmiał się krótko. - Zawsze wierzyłem, że to się któregoś dnia skończy. Wiesz, jest bardzo stara, sądziłem, że zabraknie jej energii. A teraz szturchnęła ciebie... - Pokręcił głową z ubolewaniem. - Jest mi naprawdę przykro.

- Jestem przekonana, że gdyby zobaczyła cię moja córka, Nora, posunęłaby się do czegoś gorszego niż szturchnięcie. Jak bardzo dzieci zatruwają ci życie?

- Wyznam ci, że jestem szczerze zaskoczony. Był taki czas w moim życiu, kiedy konflikt pomiędzy Cacciamaniami i Rosemanami bardzo mnie interesował, ale przestałem się tym zajmować wiele lat temu. Nigdy nie sądziłem, że oni ciągle są wrogo nastawieni.

- Jest aż tak źle?

- Powiedziałbym, że fatalnie. Wyjąwszy Plummy. Nie zaangażowała się i nie jest szczególnie zainteresowana. Macha na wszystko ręką i idzie do szkoły.

- Czy kiedykolwiek pytałeś matkę, o co w tej całej historii chodzi? - Ani przez chwilę nie miałabym do niego pretensji, gdyby nie zapytał.

- Szturchnęła mnie i kazała pilnować własnego nosa.

Wygrzebałam okulary słoneczne z torebki i wystawiłam łokieć za okno. Uwielbiam, kiedy prowadzi ktoś inny.

- Nieważne - powiedziałam, opierając się o zagłówek. - Jutro to będzie istotne. Dzisiaj dość o tym.

Romeo wyciągnął rękę ponad dźwignią biegów i uściśnął mi dłoń.

- Masz ochotę na niba? - zapytałam.

Skinął głową. Otworzyłam paczuszkę i ssaliśmy cukierki, wkładając za każdym razem po jednym do ust. Kiedy wjechaliśmy na autostradę i skręciliśmy na północ do New Hampshire, wymieniliśmy uwagi na temat ceny kwitnących gałęzi wiśni. Potem opowiadaliśmy sobie o wakacjach z dzieciństwa i wakacjach, na które dużo później jeździliśmy z własnymi dziećmi. Rozmawialiśmy o latach, kiedy marnie się nam wiodło, i o tych, gdy interesy kwitły. Mówiliśmy o tym, jak wyhodować najwyższy gatunek orchidei. Minęła dopiero dziewięćdziesiątka trzydzieści i pomyślałam sobie, że choćby do zmroku już nic więcej nie miało się wydarzyć, to i tak będzie to jeden z najszczęśliwszych dni, jakie przeżyłam w ciągu wielu lat.

Kiedy przekroczyliśmy granicę New Hampshire, zjechaliśmy z autostrady na szosę do Salem i skierowaliśmy się do Canobie Lake Park. Przyrzekłam Tony'emu i Sarze, że ich tam zabiorę tego lata, ale sama nie zajrzałam do tego miejsca od czasu, gdy dziewczynki były w szkole podstawowej.

- Wiem, że to może wydać się szalone - powiedział Romeo - lecz to zupełnie co innego, jeśli przyjeżdża się bez dzieci.

- Przyjeżdżałeś tu bez dzieciaków?!

- Z wnukami, ale zawsze wyobrażałem sobie, że bez dzieci byłoby tu naprawdę inaczej.

Wszystko wygląda inaczej, jeśli nie zabiera się dzieci. Zawsze stawałam się nerwowa w wesołych miasteczkach - to obrzydliwe jedzenie, które prędzej czy później się tam zjada, podejrzenie wyglądający kłowni, dzieciaki rozbiegające się we wszystkie strony. Wystarczy sekunda, żeby na dobre stracić je z oczu. Wesołe miasteczko jawiło mi się jako niebezpieczne miejsce pełne trudnych do wyobrażenia zagrożeń.

Teraz, w świetle dnia, bez dzieci i wnuków, siedzących bezpiecznie w domu, Canobie Lake Park sprawiał bardzo przyzwoite wrażenie, no, może był ciut zapuszczony. Ścieżki posypane były świeżymi trocinami. Bileterka, krępa kobieta, mniej więcej w moim wieku, może nie była najsympatyczniejsza (w końcu byliśmy w Hampshire), ale na pewno trudno byłoby ją uznać za osobę budzącą lęk. Niebo wyglądało szczególnie pogodnie nad drewnianą konstrukcją roller coastera. Krótko mówiąc, Canobie Lake Park wydał mi się piękny i romantyczny, co dowodzi, że nieważne, gdzie się jest, tylko ważne, z kim.

- Otwieramy dopiero o dziesiątej - poinformowała nas bileterka z głębi swej budki. Musiała mówić prawdę. Najwyraźniej byliśmy jedynymi gośćmi. - Możecie wejść, ale nie chcę tu żadnych kłopotów.

- Jakie konkretnie kłopoty ma pani na myśli? - chciałam wiedzieć  
Kobieta wychyliła się z okienka i dała nam po bransolecie, która upoważniała nas do chodzenia, gdzie chcemy, i robienia wszystkiego, na co mamy ochotę, czyli do totalnej wolności.

- W tym miejscu wszystko jest możliwe. Chcę, żebyście się zachowywali przyzwoicie.

Weszliśmy na teren wesołego miasteczka. My uciekaliśmy od kłopotów, a nie szukaliśmy ich.

- Czy twoja rodzina wie, że tu jesteś? - zwróciłam się do Romea.

Zaprzeczył ruchem głowy.

- Po prostu się wymknąłem. Mam sześćdziesiąt lat i muszę się wymykać ukradkiem. Od dawna nie miałem powodu, żeby to robić. - Pocałował mnie.

- Ciekawe, jak by to było, gdybyśmy się spotkali w młodości - powiedziałam, kontemplując piękny dzień - błękitne niebo, białe, pierzaste chmurki, powietrze pachnące watą cukrową. - No, na przykład, gdybyś podszedł do mnie na tamtej prywatce w ósmej klasie? Przecież mogło się tak zdarzyć. Mieszkaliśmy w tym samym mieście, nasze rodziny prowadziły

podobne interesy. Co by było, gdybyśmy się w sobie zadurzyli w średniej szkole?

- Byłoby to samo, co z Tonym i Sandy, tylko znacznie gorzej. My sami niewłaściwie podeszliśmy do sprawy naszych dzieciaków, a nasi rodzice? Oni należą do innego pokolenia. Zabili by nas. Twój ojciec zabiłby mnie, a moja matka ciebie.

- Zaszturchałyby mnie na śmierć.

- Wcale nie jestem pewien, czy przesadzam. Mojej matce niełatwo przyszło zaakceptować Camillę, która w końcu była Włoszką. Nasze matki się przyjaźniły. Ojciec Camilli był rzeźnikiem i robiliśmy u niego zakupy, a mimo to matka ciągle uważała, że Camilla nie jest odpowiednią dziewczyną dla mnie.

- Ale była - powiedziałam.

- Camilla była właściwą dziewczyną - uśmiechnął się. - Nigdy nie będzie drugiej Camilli. Tak samo jak nie będzie drugiej Julii.

Poczułam ukłucie zazdrości w sercu nie dlatego, że on kochał ją tak bardzo, tylko dlatego, że moje małżeństwo nie było podobne. Żałowałam, że nie mogłam powiedzieć czegoś miłego o Morcie, w rodzaju: Och, przeżyliśmy parę cudownych lat! Po prostu to nie byłaby prawda. Bywało nieźle, czasem nawet dobrze, ale nigdy nie było cudownie.

- A więc lepiej, że wtedy się nie spotkaliśmy.

- Moja rodzina w dalszym ciągu darzy cię niechęcią, ale przynajmniej nie chce cię zabić.

Zastanawiałam się, czy nie wspomnieć mu o jego synu, Joe, który zapewne byłby do tego zdolny, gdyby powziął taki zamiar, ale dlaczego miałabym psuć ten dzień?

- Jeździsz na karuzeli? - zapytałam.

Romeo stanął za mną i objął mnie w tali. Nachylił się i oparł podbródek o moje ramię.

- Myślę o tym - wyszeptał mi do ucha. Na dźwięk jego głosu przeszedł mnie dreszcz. - Jeździłem, kiedy byłem mały. Któryś z chłopaków wykradał kluczyki rodzicom, przyjeżdżaliśmy tu późno wieczorem i wdrapywaliśmy przez płot. Kupowaliśmy jeden bilet na roller coastera i nie dawaliśmy się stąd wyrzucić. Trzymaliśmy się prętów, zapierając się piętami w ziemię. Ludzie z obsługi musieliby nas chyba odpiłować od karuzeli. Po kilku kolejkach rezygnowali z szarpaniny i zostawialiśmy na całą noc. Jeździliśmy bez końca. Schodziłem z coastera, dopiero gdy nie czułem rąk.

- Paskudne chłopaczyska! - powiedziałam, wpadając w dziwny bezdech, kiedy jego dłoń wśliznęła się pod sweter. - Mój ojciec miał rację, każąc mi się trzymać od ciebie z daleka.

- Masz ochotę spróbować?

- Ta przy bramie ostrzegała nas, żebyśmy zachowywali się przyzwoicie.

- Nie mówię o jeżdżeniu bez końca. Mam na myśli jeden raz!

Nigdy dotąd nie jechałam na roller coasterze. Zawsze byłam tą, która zostaje na dole i trzyma torebki z popcornem. Naturalnie nikt mnie do tego nie zmuszał, sama wybrałam taką rolę. Roller coaster napawał mnie przerażeniem, jednak nie tak wielkim jak sushi.

- Jasne - zgodziłam się. - Cokolwiek chcesz, jeden raz!

## Rozdział 12

I tak to się zaczęło. Najpierw był roller coaster, potem scrambler i zipper. Całą zawartość mego żołądka stanowiła garstka nibów, więc dzielnie ją utrzymywałam. Nie żałowaliśmy sobie. Kiedy mieliśmy chęć krzyknąć, krzyczeliśmy. Trzymaliśmy się za ręce i wyrzucaliśmy ramiona ponad głowy. Potem jeszcze raz wsiedliśmy na roller coaster. Świat wirował, mienił się kolorami - żółte namioty, czarnowłose dzieci, poszarzała trawa, złote proporczyki, a wszystko wymieszane, poszatkowane i zniekształcone. Chwiejnym krokiem skierowaliśmy się do paratroopera. Robiliśmy pętle i, zawieszeni w uprzężach, huśtaliśmy się głowami w dół. Nic nam nie przeszkadzało. Pokonaliśmy grawitację. Mój błędnik się poddał i przestał walczyć z organizmem. Nie rozróżniałam już, kiedy wiszę głową w dół, kiedy wracam do pionu. Nawet później, gdy w lunaparku zrobiło się tłoczno i musieliśmy czekać w kolejkach, ani na chwilę nie przestawało mi się kręcić w głowie. I dobrze mi z tym było. Mój organizm zestroił się z moim życiem. Moje ciało stało się metaforą. Byłam zuchwałą, zdezorientowana i całkowicie „zakręcona”. Oszołomienie, lukrecja i pożądanie wprawiły mnie w stan upojenia. Gdy tylko młody człowiek obsługujący zippera, z wytatuowanym sercem i sztyletem, wionący whisky o dziesiątej z rana, zamykał nas w klatce, dopadaliśmy do siebie jak dwa ssaki, które powinno się trzymać w zamknięciu. Nie odrywaliśmy od siebie rąk tak długo, dopóki trwała jazda. Kilkakrotnie po jej zakończeniu młodzieniec, zerkając na nas lubieżnie pomiędzy prętami klatki, zwalniał dźwignię i wystrzeliwał nas z powrotem ku słońcu. Za którymś razem, jakieś trzy metry nad ziemią, zipper niespodziewanie szarpnął i rozciąłam wargę o czoło Romea. Nie połało się zbyt wiele krwi ani nasz zapach się nie ostudził.

Około południa nie byłam w stanie poskładać zdania.

- Chyba potrzebuję... - Usiłowałam powiedzieć, czego potrzebuję, ale myśli mi się mąciły.

- Odpoczynku. Potrzebuję odpocząć - dokończył za mnie Romeo. Na jego czole uwypuklił się niewielki guzek. Wziął mnie za rękę i chwiejnym krokiem przeszliśmy w drugi koniec lunaparku.

- Grasz w fascynację?

- Co to takiego?

- Po prostu siedzisz i nic się nie rusza.

Ta perspektywa wydała mi się tak cudowna, że aż łzy napłynęły mi do oczu.

Wnętrze pomieszczenia do gry w fascynację stanowiło kombinację mechanicznego bilardu i planszy do gry w kółko i krzyżyk oraz bingo. Nakupiliśmy biletów za garść ćwierćdolarówek i usiedliśmy na dwóch winylowych stołkach przed długimi metalowymi klatkami.

- A więc to tu się wygrywa te tandetne pluszaki, które trzymam w sypialni - odkryłam. - Nora znosiła ich setki. Każdy facet, jakiego poznała, wygrywał dla niej pluszowego psa.

- Ja dla ciebie niczego nie wygram - oznajmił, wrzucając dwie ćwierćdolarówki w otwór automatu. - Zawsze beznadziejnie mi szło, a teraz mam taki zamęt w głowie, że pewnie nie potrafiłbym nawet zawiązać sznurowadeł.

- No i dobrze.

Rzucił gumową piłkę; poturlała się po gumowej rampie i wpadła do klatki. Oczywiście uderzyła o jedną ścianę, odbiła się o drugą i podskakując, wróciła do niego.

- To już coś - powiedziałam. - Grasz w kręgle?

- Mniej więcej tak samo, tyle że piłka nigdy do mnie nie wraca. - Rzucił jeszcze raz, z takim samym skutkiem, mimo że piłka zakreśliła zupełnie inny tor.



- Robisz to celowo, żeby być zabawnym?

- Nie. - Ponowił próbę, podkrecając piłkę ruchem nadgarstka. Tym razem wpadła do otworu w podłodze i zniknęła na dobre. - Jestem beznadziejny. Wcale nie udaję po to, żebyś mnie mogła żałować.

Po każdym kolejnym niecelnym rzucie Romeo pociągał mnie coraz bardziej. Przegrana zdawała się sprawiać mu frajdę. Mort wyleciałby stąd wściekły dobrą godzinę temu, krzycząc na cały głos, że to muszą być jakieś machlojki i nikt, obojętnie jak dobry, niczego tu nie wygra. Zażądałby rozmowy z kierownictwem. Wymusiłby zwrot pieniędzy nawet na najbardziej budzącym grozę facecie z obsługi.

- No, bierz się do roboty! - powiedział Romeo, wręczając mi ćwierćdolarówki.

Podniosłam piłkę i cisnęłam ją prosto na środek kwadratu.

- O mój Boże! - zawołał. - Świetnie rzucasz! Przyprowadziłem mistrzynię do Canobie Lake.

- Mam dobrą koordynację wzrokowo-ruchową - oznajmiłam.

Następna piłka zniknęła w otworze, w górnym, lewym rogu. Prawdę mówiąc, nie wiem, co miałam, chyba po prostu zwykłe szczęście. Muszę uczciwie wyznać, że gra wcale nie wydawała mi się taka skomplikowana.

- W takim razie opowiedz mi o Norze. Zdaje się, twarda z niej sztuka.

- Bardzo twarda. - Bach, trzecia piłka!

- Co u niej słyhać?

- Wyszła za mąż za zadziwiająco miłego doradcę podatkowego oraz zbija majątek na sprzedaży nieruchomości. Jeździ lexusem i nosi prawdziwą biżuterię.

- Zawsze się zastanawiałem, jak się wiedzie twardym dziewczynom.

- Siódemka! - odezwał się głos wyczytującego. - Numer siedem wygrywa!

Odczytałam numer na krześle, by sprawdzić, czy to ja jestem zwycięzcą. Odkąd sprzyja mi takie szczęście?! Powiedziałam Romeo, żeby poszedł odebrać trofeum. Przecież gdyby to on wygrał, podarowałby mi maskotkę. Romeo wybrał pluszowego kota z pluszową rybką w pyszczku. Ryba uśmiechała się szeroko, jakby pożeranie żywcem sprawiało jej przyjemność.

- Będzie się podobać mojej wnuczce - wyjaśnił. - Ona ma bzika na punkcie kotów.

- Ma w domu kotka?

Romeo pokręcił głową.

- Żadnych kotów, to jedna z żelaznych zasad mojej matki.

Czy powinno mnie martwić, że on mieszka z matką? Po co?! I tak nigdy nie znajdę się w pobliżu tej starej kobiety. Jakkolwiek ułożą się sprawy między nami, nasza przyszłość to długie przejażdżki samochodem i potajemne schadzki. Ludzie wokół nas jedli karmelowe jabłuszka i trzymali się za ręce. Robili sobie zdjęcia na tle karuzeli. Krzyczeli na dzieci i śmiali się donośnie bez powodu. Chodzili z kołyszącymi się wokół głów, długimi, cienkimi balonami udawali, że prowadzą psy na niewidzialnych smyczach. Romeo otoczył mnie ramieniem, a pod drugą pachą niósł pluszowego kota, któremu dał na imię Tygrys. To był cudowny dzień, tak niepodobny do mego życia, że aż trudno to sobie wyobrazić. Kupiliśmy w budce prażynki z owoców morza i colę. Jedliśmy na stojąco, a kiedy skończyliśmy, zamówiliśmy małe zapiekane w bułeczkach i też je pochłonęliśmy.

- Hej! - odezwałam się, wycierając usta papierową serwetką. - Nie pytam, żeby popsuć nastrój czy coś w tym rodzaju, ale czy myślałeś o nas? Bez końca się nad tym głowię i do niczego nie doszłam. Jedynym logicznym rozwiązaniem byłoby się rozstać, zanim cokolwiek się zaczęło, ale na to chyba już za późno.

Zacieśnił uścisk. Poczułam, jak na karku stężyły mu mięśnie ramienia. Pocałował mnie w czubek głowy.

- Rodzina stoi na pierwszym miejscu - powiedział. - To podstawowa zasada Cacciamanich i w nią wierzę. Nie mogę być z tobą, bo nie chcę zranić matki, a jeszcze bardziej dzieci. Z drugiej strony, przez te wszystkie lata byłem układnym facetem, zgodnie funkcjonowałem w zespole, a teraz chcę robić to, na co mam ochotę. Przecież nie wyrządzamy nikomu krzywdy. Nie jesteś złym człowiekiem. Nie rozbijesz mojej rodziny

- Nora się do mnie nie odzywa, Sandy ze mną rozmawia, ale jest szczerze mną rozczarowana. Nie wiem, jak długo potrafię żyć pod taką presją. Przecież nie uciekniemy do Hondurasu, nie zerwiemy stosunków z własnymi dziećmi i nie zrezygnujemy z widywania wnuków.

- Może za jakiś czas przywykną do myśli, że jesteśmy razem?

Żadne z nas nie powiedziało ani słowa więcej. Wszystko, co wiązało się z Cacciamaniami, z wyjątkiem Romea, jedynie psuło mi nastrój. Zamiast dojść do wniosku, że mam do czynienia z głupią rodzinną tradycją, zaczynałam wierzyć, że mój ojciec i matka mieli rację. Bo to nie tak, że tylko synowie Cacciamaniego uważali mnie za potwora, ja też zaczynałam o nich myśleć jak o potworach. Zapewne inni postrzegali ich jako przyzwoitych ludzi, lecz dla mnie niewiele różnili się od gangsterów.

- Popatrz! - zawołałam, wskazując na namiot przed nami. - Tego nam właśnie potrzeba! Duchowego wsparcia! - Tak przynajmniej głosił napis nad wejściem. - PRZEPOWIADANIE PRZYSZŁOŚCI, WSPARCIE DUCHOWE, CHIROMANCJA, TARROT, KRYSZTAŁOWA KULA.

- Och, Al uwielbia prawić o tych rzeczach w kazaniach!

- Jak rozumiem, jest przeciwny?

- Uważaj że powinno się szukać duchowego wsparcia w Bogu.

- Al ma monopol na prawdę?

- Jest moim najlepszym przyjacielem, a w dodatku księdzem. Zapewnia mu to coś w rodzaju podwójnego autorytetu.

- Cóż, Al nie uprawia seksu i nie ma dzieci. Potrzebna nam dodatkowa pomoc.

Byłam zagorzałą czytelniczką horoskopów, chociaż nie bardzo w nie wierzyłam. Podobała mi się sama idea poddawania się ocenie.

Potrzebowałam opinii, nie zaangażowanej strony. Ta niewidoczna osoba, siedząca w namiocie, dobrze się do tego nadawała.

- Sam nie wiem - wahał się Romeo, podejrzliwie zerkając na namiot, jakby to było siedlisko jakiejś religijnej sekty, która porywa zbiegłych z domu nastolatków i na siłę przebiera ich w szafranowe sztaby.

- Jeździłam na zipperze! - przypomniałam mu. - Zdałam się na los. Teraz kolej na ciebie.

Podeszliśmy bliżej i po chwili wahania, co dalej robić, zapukałam w drewniany szyld. Pani około sześćdziesiątki wytknęła głowę spod kłapy namiotu; wyglądem nie różniła się od kobiet mieszkających w moim sąsiedztwie. Miała krótkie włosy w kolorze pieprzu i soli, usta pociągnięte różową kredką, a ubrana była w jasnoniebieski sweterek.

- Jedną minutę - powiedziała, uśmiechając się do nas, po czym zniknęła.

Czekaliśmy w milczeniu, całując się dla zabicia czasu do chwili, gdy spod plandeki wyskoczyła czternastoletnia chuda blondyneczka i czym prędzej pomknęła w poszukiwaniu swego towarzystwa.

- Pomyśl tylko, ile ona się musiała nasłuchać o swojej przyszłości - zauważył Romeo. - My przynajmniej nie będziemy długo siedzieć.

Z otworu wysunęła się dłoń, o palcach bez pierścionków, z krótko opiłowanymi paznokciami, i dała nam znak, żeby wejść. Wewnątrz było ciasno i ciemno. Musieliśmy się przygarbić, by nie podnieść głowami plandeki. W namiocie paliły się ze dwa tuziny świec, pracował wentylator. Wróżka była w dzinsach, a na nogach miała ogrodowe chodaki. Poczułam się rozczarowana. Liczyłam na coś bardziej egzotycznego.

- Spodziewała się pani Maty Hari - skonstatowała pogodnie. - Jestem Ellen. Kiedyś występowałam jako madame Zikestra, ale peruka i powłóczyste szaty doprowadzały mnie do szaleństwa. Latem robi się tu potwornie gorąco.

- Nie, nie - zaprzeczyłam - jest dobrze. Nie wątpię, że pani jest dobra. - Czy ona potrafi czytać w myślach, czy też każdy zadaje jej to samo pytanie?

- Zajmuję się tylko jedną osobą.

Pokręciłam głową.

- To wspólne przedsięwzięcie - wyjaśniłam. - To, czego się chcemy dowiedzieć, dotyczy nas obojga.

Zastanawiała się przez chwilę.

- Dobrze, ale za dwie osoby zapłacicie dwadzieścia dolców.

- Naprawdę? - zdumiał się Romeo.

- Niesamowite, co? - odparła Ellen.

Sięgnęłam do torebki i położyłam dwudziestkę na stoliku.

- Jest tylko jedno krzesło - powiedziała.

Usiedliśmy razem na krześle; każde z nas podpierało się jedną nogą.

Byliśmy równie blisko siebie jak na karuzelach.

- W takim razie zapracujmy na te pieniądze. Pokażcie wasze dłonie. - Ellen wyglądała jak daleka kuzynka Doris Day, taki sam zadarty nos i żywe oczy.

- Nie chcesz najpierw usłyszeć, z czym przychodzimy? - zapytałam.

Przecząco potrząsnęła głową.

- Ręce - zażądała.

Każde z nas położyło obie dłonie na stole, kierując ich wnętrza do mdławego światła. Romeo miał na palcu ślubną obrączkę.

- Nie jesteś żonaty - stwierdziła Ellen, stuknąwszy w nią palcem.

- Nie z tą panią - odparł Romeo.

- W ogóle nie jesteś żonaty - oznajmiła obojętnym tonem. - Nie jesteś mężem żywej kobiety, a nie można być w związku małżeńskim z nieboszczką. To pierwsza rzecz, którą ci mówię.

Zainteresowanie Romea wzrosło.

Ellen przesunęła paznokciem po liniach na mojej dłoni, następnie obejrzała rękę Romea, a potem jeszcze wróciła do mojej.

- Większość dni jest nudna - powiedziała. Myślałam, że mówi o naszym życiu, co oznaczałoby, że i w tym wypadku się nie myli. - Wysiaduję w tym namiocie i przychodzą tu te wszystkie panienki. „Ile dzieci będę miała?”, „Czy on mnie naprawdę kocha?”, „Dostanę auto na urodziny?” I tak bez końca. I tak nie mogłabym im powiedzieć tego, co rzeczywiście widzę. Przecież to jeszcze dzieciaki. Nie muszą wszystkiego wiedzieć. Niech cieszą się swoim szczęściem. Na przykład - zwróciła się do Romea - gdybyś przyszedł tutaj, mając czternaście lat, nie chciałbyś wysłuchiwać, że zakochasz się w bardzo dobrej kobiecie i że będziesz miał siedmioro dzieci, z których jedno umrze jako niemowlę. Żaden czternastoletni chłopak tego nie zrozumie. Małżeństwo, dzieci, śmierć - cóż to dla nich znaczy! Nie mogłabym ci powiedzieć, że w przyszłości żona zachoruje na raka piersi i umrze. Gdybyś to wszystko z góry wiedział, życie stałoby się nie do zniesienia. - Współczująco pokiwała głową. - Gdybyś to wszystko usłyszał i dał wiarę moim słowom, nie zniósłbyś tego. Teraz te wszystkie fakty to już historia. Mogę mówić prawdę. Gdybym wtedy to uczyniła, postąpiłabym okrutnie. Romeo zamknął dłonie jak książkę.

- Och, nie. Nie rób tego - poprosiła, klepiąc go po ręce. - Proszę nie stawiać mnie w trudnej sytuacji za to, że mówię. To już się stało. Nie jestem niczemu winna. Dobrze jest spotkać ludzi, którzy coś przeżyli, którzy chcą poznać prawdę.

Wcale nie byłam pewna, czy rzeczywiście chcę. Spodziewałam się radosnych przepowiedni, czegoś w rodzaju horoskopu z magazynu dla pań:



długie życie, prawdziwa miłość, dużo pieniędzy. Za dwadzieścia dolarów pragnęłam zapewnienia, że wszystko dobrze się ułoży. Wiedziałam, że umrę, że poumierają moje córki, a nawet Tony i Sara, że wszyscy w końcu umrzemy. Miałam ogólne pojęcie o porządku życia, co wcale nie oznaczało, że chciałam poznać szczegóły.

- Chyba powinniśmy już iść - stwierdziłam, nawet nie próbując podnieść się z krzesła.

Ellen udała, że nie słyszy.

- Proszę otworzyć rękę - zwróciła się do Romea.

Posłusznie spełnił jej prośbę.

- Wiele jest dziwnych rzeczy w przypadku was obojga. Wasze dłonie przywodzą mi na myśl gabinet luster. Kiedy na nie patrzę, budzi się moja pamięć, tak jakbym już kiedyś widziała te dwie pary rąk. Macie czas, prawda? Chcę wam opowiedzieć pewną historię. Dawno temu, całe lata temu, przyszło do tego namiotu dwoje bardzo młodych ludzi. Wtedy jeszcze korzystałam z magicznego sztafażu. Powiedzieli, że musieli przyjść razem. Obejrzałam ich dłonie, tak jak teraz wasze, i dostrzegłam niebywałą rzecz.

Mieli takie same linie. Nie mówię o tych małych kreseczkach, o szczegółach, jednak istotne znaki się pokrywały. Oboje byli bardzo młodzi, więc te linie biegły tutaj. - Ellen dotknęła wzniesienia pod moim palcem. - Dopiero się zarysowywały. Żał mi ich było, bo widziałam, że, w przeciwieństwie do wielu innych młodych ludzi, szczerze się kochali, lecz miłość miała ich rozdzielić i rzucić w różne strony świata, zanim znowu będą mogli się zejść. Te linie przebiegały tak podobnie. Z ich dłoni wyczytałam tyle miłości i nienawiści. Nigdy nie należy lekceważyć nienawiści. Można zostać jej więźniem. Jednak niczego im nie wyjawiałam. Powiedziałam to, co chcieli usłyszeć - że rodzice im wybaczą, a ich rodziny będą się cieszyć, takie tam ple, ple, ple. W pewnym sensie mówiłam prawdę, ale dotyczyła ona odległej przyszłości. Nie znieśliby bólu, gdybym wszystko przed nimi odkryła.



Ellen mówiła spokojnym, pogodnym tonem, jak ktoś, kto daje instrukcje, jak dojechać do autostrady.

- A teraz - ciągnęła - widzę dokładnie takie same dłonie. Mieliście rację, przychodząc razem. Dobrze, że zaczekaliście z tym aż do dzisiaj. Gdybym zobaczyła was, kiedy mieliście po czternaście lat, historia by się powtórzyła i musiałabym wam powiedzieć takie same kłamstwa. A teraz znajdujecie się w tym miejscu. - Znowu dotknęła mojej dłoni, tym razem bliżej nasady. Nadal pozostawało mi półtora, a może nawet dwa centymetry życia, ale zmroziła mnie świadomość, ile go już ubyło. - Wszystkie burze ucichną i zejdzicie się, tak jak było wam pisane. Znacie cytaty z Szekspira: „Nienawistna miłość, miłosna nienawiść?”. To właśnie wy. Kochałeś swoją żonę - zwróciła się do Romea. - A ty - popatrzyła na mnie - musiałaś długo czekać na miłość, ale masz swoje dziewczynki, więc czekanie przemieniło się w inny rodzaj miłości. - Ellen wyraźnie cieszyło, że mówi nam to wszystko.

Przytaknęłam skinieniem głowy. Źle się czułam. Może sprawiła to jazda na karuzelach, jednak przede wszystkim przygniotła mnie świadomość, że Sandy i Tony siedzieli w tym namiocie jakieś piętnaście lat temu.

- Co mamy robić? - zapytałam. - Co z nienawiścią?

- Jest potężna jak burza, ale każda burza na świecie prędzej czy później się kończy. Dwie dłonie jak te nieczęsto się trafiają, mówię to, opierając się na doświadczeniu. - Zebrała nasze dłonie jak karty i złożyła je razem. - Kochajcie się do szaleństwa, rozumiecie, co chcę powiedzieć?

Myślę, że to było jasne. W każdym razie byłam gotowa zgodzić się na wszystko, byle tylko się stąd wydostać. Romeo podniósł pluszowego kota. Pożegnaliśmy się i chwiejnym krokiem opuściliśmy namiot. Oślepiający blask słońca momentalnie przyprawił mnie o ból głowy, podobnie jak wyjście z ciemnego kina o drugiej po południu w lipcu.

- Tak mi przykro - powiedziałam do Romea. - Czuję się winna.

- Chodź! - Wziął mnie za rękę i szybkim krokiem oddaliliśmy się od namiotu i głównej alei.

- Dokąd idziemy?

- Wychodzimy.

Poszłam za nim do samochodu. Korciło mnie, żeby go spytać o dziecko, które utracili z Camillą. Chciałam zapytać, czy sądzi, że to możliwe, iż Ellen mówiła o naszych dzieciach. Tak bardzo miałam sobie za złe, że go tam zaciągnęłam, iż nie mogłam wydusić z siebie słowa. Chciałam zaszyć się w jakimś ciemnym kącie i zasnąć na tydzień. Czułam się tak, jakby Ellen, w zamian za informację, pozbawiła mnie całej energii.

Jakieś dziesięć kilometrów za Canobie Lake natrafiliśmy na mały, biało-zielony motel, „Sylvan Park”. Romeo zajechał na parking i poprosił, abym chwilę poczekała. Wodziłam wzrokiem po krzewach i popękanej asfalcie, starając się odegnać od siebie wszelkie myśli. Po niecałej minucie Romeo wrócił z kluczem i siadł za kierownicą.

- Dwadzieścia trzy - oznajmił.

Podjechał na koniec parkingu i ustawił samochód w rzędzie. Weszliśmy do pokoju i padliśmy na łóżko, nie zapalając lamp. Wcale mnie nie dziwiło, że tu wylądowaliśmy. Przecież to było jedyne miejsce, do którego mogliśmy się udać. Romeo obrócił się na bok i przytulił mnie mocno do siebie.

- Znalazłem cię - wyszeptał mi we włosy. - Znalazłem cię.

Chociaż w moim sercu płonęła namiętność, zmógł mnie upał. Jazdy na karuzeli, jedzenie i całe napięcie oczekiwania na to, co będzie dalej, zamroczyły mnie jak okład ze szmatki nasączonej chloroformem. Oboje równocześnie zapadliśmy w sen, leżąc w objęciach, twarzą w twarz, w ubraniach, z nogami zwisającymi z krawędzi łóżka. Tak jakby ktoś przekręcił wyłącznik i pozbawił nas świadomości. A może po prostu nam ulżyło? Może uwierzyliśmy Ellen? Choć jeszcze nie wiemy, jakim sposobem będziemy ze sobą, w końcu możemy odpocząć.

Myślę, że spanie z kimś jest najwyższym stadium intymności. Ono buduje zaufanie. Nasze usta przebudziły się pierwsze. Kiedy oprzytomnieliśmy, już się całowaliśmy. Pozwoliłam butom spaść na podłogę. Wyśliznęłam się ze swetra i pomiętych, płóciennych spodni. Romeo zdjął koszulę i dżinsy. Muskał palcami moją bieliznę w kolorze szampana, wodził dłońmi po miseczkach biustonosza, jakby w życiu nie widział czegoś równie godnego uwagi. On był tym, na którego czekałam, wierzyłam w to święcie, chociaż ułożyłam sobie życie pośród innych ludzi. Ten dzień, ta chwila, stanowiły dla mnie nagrodę za wszystkie dobre uczynki.

Potrzeba seksu pozostaje w człowieku, chociażby całymi latami go się nie uprawiało, choćby miesiącami się o nim nie myślało. Seksualność ulega hibernacji i drzemie ukryta gdzieś głęboko, może pod kolanami, a może w okolicach wątroby.

Z początku niecierpliwie i nieznośnie daje o sobie znać, nękając cię w każdej minucie. Potem przyczaja się w miejscu tak odległym, że niemal o niej zapominasz. Przygasza światło i czeka. A kiedy ją przywołasz, wraca pełna wspomnień i zapamiętanych reakcji. Dłonie Romea, jego usta, zarys obnażonych nóg, ciepło bijące z piersi, dotykającej mego policzka - wszystko to budziło mnie do życia. Wrażenie wywołane zetknięciem się naszych brzuchów, słodkie zapomnienie, gdzie kończy się jedno ciało, a zaczyna drugie. W tej chwili byliśmy równocześnie roller coasterem, skramblerem i zipperem. Miłość wprowadziła nas w ruch i wyrzuciła w powietrze. Pokonaliśmy grawitację. Z zamkniętymi oczami przeżyliśmy nasze ciała, nieważcy w ciasnych objęciach. Mieliśmy dość czasu, by odkrywać nowe doznania. Tarzaliśmy się po łóżku, pożerając się nawzajem. Uderzyłam biodrem o zagłówek. Romeo podciągnął mnie do góry za stopy. Zwolniliśmy tempo i uczyliśmy się na pamięć naszych palców, ja szczyptałam wargami płatek jego ucha, on obwodził językiem zarys moich oczu. Kochaliśmy się tak głęboko, że czułam, jak zmienia się kształt mego ciała. Ja szeptałam. On śpiewał.

Gdzieś w tym wszystkim powiedział, że mnie kocha.

Zrewanżowałam się tym samym.

Wszystkie domy w Somerville były ciemne, jedynie na mojej werandzie paliło się światło. Pocałowaliśmy się na dobranoc.

- Nie obmyśliliśmy żadnego planu - powiedziałam.

- My sami jesteśmy planem - odparł. - Reszta się ułoży.

Wysiadłam z auta i pomachałam mu na pożegnanie. Miałam miękkie kości. Wydawało mi się, że mogłabym się przecisnąć przez szparę pod drzwiami i poszybować do sypialni. Jednak sięgnęłam po klucz i otworzyłam drzwi. Na progu odwróciłam się i pomachałam jeszcze raz, po czym zapaliłam lampę w holu.

Ktoś leżał na mojej kanapie. Zdaje się, zbudził go błysk światła, bo przewrócił się na bok i przeciągnął. To był Mort.

- Cześć, Julio! - przywitał mnie z uśmiechem.

## *Rozdział 13*

Mort lubił tę kanapę. Naturalnie nie pierwszy raz go na niej widziałam. Do późna oglądał telewizję albo uzupełniał księgowość, a kiedy ogarniało go znużenie, wyciągał się na niej, żeby na chwilę dać odpocząć oczom, po czym zasypiał i spał do rana, dopóki go nie obudziłam. Oczywiście, gdy zaczęło się między nami psuć, zmieniło się znaczenie kanapy. Już nie pamiętam, jak to było dokładnie. Albo on sam zrezygnował z dzielenia sypialni, albo ja mu powiedziałam, żeby przeniósł się na kanapę. Tak czy inaczej bliski związek Morta z kanapą trwał przez wiele lat. I chociaż zmieniłam tapicerkę, mebel był ten sam, więc Mort wyglądał na nim całkiem na swoim miejscu, mimo że widziałam go po raz pierwszy od pięciu lat.

- Ach, Mort! - wyartykułowałam.

A co miałam powiedzieć? Powinnam była krzyczeć, przeklinać? Zapewne dojdzie i do tego, ale w tej chwili byłam nadal rozmarzona, znużona i ociążała po seksie. Wspaniałomyślność, która wypełniała me serce, nie pozwalała mi cisnąć lampą w Morta, nawet gdyby rzut lampą był właśnie tym, czego wymagała sytuacja.

Poza tym odczułam prawdziwą ulgę, że nie mam przed sobą jednego z tych zwalistych, młodych Cacciamanich, który przyszedł mnie zamordować za deprawowanie ojca. „Pani Roseman - powiedziałałby, ziewając, taki Cacciamani - przyszedłem panią zabić, ale zdążyłem się zdrzemnąć. Proszę poczekać jedną chwileczkę, a ja tymczasem wyłowię pistolet spod poduszek”. Już z dwojga złego wolałam Morta.

- Dobrze wyglądasz, Julia - powiedział z uznaniem. - Trochę niedbale, ale dobrze.

- Przyjechałeś, żeby mi to powiedzieć? - Dlaczego ta cała sytuacja nie wydawała mi się co najmniej dziwna? Nawet po pięcioletniej przerwie pozostał mi nawyk rozmawiania z Mortem. Obcowałam z nim dłużej niż z kimkolwiek innym, dłużej niż z własnymi rodzicami. Nagle uderzyła mnie potworna myśl. A jeśli popsulo się coś między nim a Lilą? Może przyjechał, bo chce wrócić?

- O co chodzi, Mort?

Usiadł i przeciągnął się, jakby chciał nastawić wszystkie stawy. Nie znam nikogo, kto, tak jak on, przeciąga się bez skrepowania. Nawet po drzemce w samolocie miał zwyczaj wyciągać ramiona nad głowę, głośno przy tym postępując. Potem poruszał barkami, drapał się po brzuchu i energicznymi ruchami palców masował czaszkę.

- Coś ty zrobiła z naszą starą kanapą? Nie mogłaś się już doczekać, żeby ją wyrzucić, co?

- To ta sama kanapa, tylko dałam ją obić.

Mort spojrzał pod siebie z taką miną, jakby właśnie usiadł na pizzy.

- Cholera! Stare obicie bardziej mi się podobało.

- Mort, co cię tu sprowadza? Mój Boże, chyba nic złego nie przytrafiło się którejs z dziewcząt?! Nie przyjechałeś poinformować mnie o czymś strasznym?!

Pokręcił przecząco głową.

- Nie, przynajmniej o niczym strasznym, w czym czynnie nie brałabyś udziału. - Przybrał moralizatorski wyraz twarzy. To oznaczało, że się dobudził.

- Romeo?

- Jezu Chryste, Julio! Jakby nie było innych facetów! Nora do mnie zadzwoniła. Łkała w słuchawkę. Rzuciłem wszystko i przyleciałem z drugiego końca Stanów, żeby to wszystko jakoś wyprostować. Czy ty choć przez chwilę się zastanowiłaś, jaką krzywdę wyrządzasz dziewczynkom?

Być może po raz pierwszy w życiu tego wieczoru zaczęłam uważać się za szczęściarę. Przez te wszystkie lata układałam w myślach rozmowy z Mortem. Przez wszystkie te lata myślałam o tym, co powinnam mu była powiedzieć, gdy zrobiło się na to za późno. Teraz był tutaj, siedział na mojej kanapie, a ja wreszcie miałam okazję, żeby dać upust pretensjom. Postawiłam torebkę i przestąpiłam próg salonu.

- Co ja takiego robię dziewczynkom?

- To, co robisz - odparł z niezmaconym spokojem.

- Jestem niezależną, sześćdziesięcioletnią kobietą, która ma prawo do własnego życia. Nie jestem zameżna, a Romeo nie jest żonaty. Nie rozpada się przez nas żadna rodzina, nie nadużywamy niczyjego zaufania. Chcesz porozmawiać o dziewczętach? Bardzo proszę. Pomówmy o tym, jak przeżyły rozwój.

- Nie zrzucaj odpowiedzialności na moje barki. Tu nie chodzi o mnie.

- Masz cholerną rację, nie o ciebie chodzi! - Prysnał mój łagodny nastrój, uleciała gdzieś senność. - Zabieraj tyłek z kanapy i wynoś się!



Mort wstał. Musiałam z przykrością przyznać, że on też dobrze wyglądał. Wyszczupłał i był lepiej ubrany niż przed rozwodem.

- Porozmawiamy o tym jutro, gdy będziesz myśleć bardziej racjonalnie, a nie teraz, kiedy pół nocy spędziłaś na randce - oznajmił, nieprzyjemnie akcentując słowo „randka”.

Spojrzałam na zegarek.

- Nie ma nawet dwunastej. Poza tym już porozmawialiśmy i nie będziemy więcej wracać do tego tematu.

Mort wycelował we mnie wskazujący palec. Widziałam, jak nabrzmiały mu żyły na skroniach, w miejscach, gdzie kiedyś miał włosy.

- Nie zamierzam biernie się przyglądać, jak z powodu tego dupka, Cacciamaniego, rujnujesz moją firmę i niszczysz rodzinę! Powstrzymam cię, choćbym nawet miał cię ubezwłasnowolnić!

Otworzyłam drzwi.

- Wyjdź!

Raz już to przerabiałam. Ten sam hol, te same słowa, tylko wtedy do krzyku sprowokowała mnie jego zdrada.

- Babciu?! - zawołał Tony ze szczytu schodów.

- Wszystko w porządku, skarbie! - rzuciłam Mortowi wściekłe spojrzenie, które zwykł określać jako parzące. - Wróciłam do domu. Przepraszam, że was zbudziliśmy!

- Czy dziadek jeszcze tu jest?

- Widziałeś się z dziećmi? - zwróciłam się do Morta.

- A co myślałaś, że wszedłem po kryjomu i położyłem się na kanapie?

- Jest tutaj! - zawołałam do Tony'ego. - Rozmawiamy.

Tony zbiegł na dół w piżamce, tupiąc po schodach bosymi stopami. Lubię na niego patrzeć, kiedy jest w piżamie. Dobrze wiem, że niedługo wyrośnie i nie będzie już małym chłopczykiem, który przychodzi rano do mojej sypialni i wdrapuje się do łóżka.



- Cześć, dziadku!

- Cześć, zabijako! - odpowiedział Mort.

Dlaczego zwraca się tak do dziecka?!

- Zostaniesz na noc? - Tony podszedł do Morta i zarzucił mu ręce na szyję.

- Dziadek się śpieszy - powiedziałam z naciskiem.

- Będę spać u cioci Nory.

- Przyjdziesz jutro?

- Będę tu, kiedy wrócisz ze szkoły.

- A Lila? - zapytał podejrzliwie.

- Lila tu jest? - zdziwiłam się.

- Pojechała do Nory.

- Grała ze mną w pokera - pochwalił się Tony. - Nie jest zbyt dobra.

- Tutaj?! - zapytałam. - Ona tu przyszła?!

- Chciałem zobaczyć się z Sandy i z dziećmi - powiedział Mort. - Co niby miałem zrobić? Zostawić ją w samochodzie?

- Tak. Powinieneś był zostawić ją w samochodzie. Dlaczego w ogóle ją przywiozłeś?

- Chciała odwiedzić przyjaciół, a Nora przysłała nam dwa bilety na samolot.

Zakryłam oczy wierzchem dłoni.

- Dość tego - wycedziłam tak cicho jak to możliwe, nie chcąc przestraszyć wnuczka. - Dobranoc!

Mort pochylił się nad Tonym i cmoknął go w czubek głowy.

- Wyrosłeś!

- Już mi to mówiłeś - przypomniał mu Tony.

Wreszcie Mort pożegnał się i wyszedł. Zamknęłam drzwi na zasuwkę i założyłam łańcuch.

- Czas spać - powiedziałam do chłopca. - Masz jutro szkołę.

- Ty i dziadek nie zgadzacie się ze sobą?

Przechyliłam głowę na lewo, a potem na prawo.

- Nie za bardzo, ale nie musisz się tym przejmować.

- Trudno uwierzyć, że woli Lilę od ciebie - podsumował.

Po tej rezolutnej uwadze razem weszliśmy na górę.

Planowałam, że resztę tej nocy spędzę mniej więcej tak: pójdę do siebie, i kto wie, może zapalę świecę. Potem się rozbiore, myśląc z sympatią o każdej części garderoby wrzucanej do kosza na rzeczy do prania. Nałożę nocną koszulę, spulchnię poduszki i wejdę do łóżka. Długo nie będę mogła zasnąć. Odtworzę w myślach cały dzień. Wszystkie jazdy na karuzelach, grę w fascynację, jedzenie małży. Będzie mnie kusilo, żeby od razu wrócić myślami do seksu, ale nie pozwolę sobie na to i kiedy wreszcie prześledzę wszystko, co się zdarzyło w ciągu tego dnia, będę wspominać motel Sylvan. Zatrzymam się przy nim myślami na co najmniej godzinę, odtwarzając w pamięci każdą szczęśliwą sekundę. A potem zacznę snuć plany na przyszłość. I będę się nimi napawać. Tak właśnie miała wyglądać ta noc.

Zamiast tego położyłam Tony'ego spać i poszłam do swojej sypialni, ze wszystkich sił zmagając się z chęcią trzaśnięcia drzwiami. Do jasnej cholery, za kogo Mort się uważa, sądząc, że ma prawo zjawić się tutaj i mówić mi, jak powinnam żyć, kiedy go nie ma?! Jakim prawem wyleguje się na mojej kanapie, którą zapewne dam obić na nowo, by mi się z nim nie kojarzyła za każdym razem, kiedy wejdę do salonu?! Z furią ściągnęłam z siebie ubranie, łącznie z szampańską bielizną i zwinięte w kłębek cisnęłam na podłogę w nogach łóżka. Ręce mi się trzęsły, kiedy w szafce z lekarstwami szukałam fiolki z tabletkami nasennymi Excedrin PM. Połknęłam dwie niebieskie pastylki, nie popijając ich wodą, ubrałam podkoszulek i usiadłam na łóżku. Lila w moim domu?! Gra w pokera z moimi wnukami?! A Nora?! Znoszenie jej nieustannej krytyki to jedna sprawa, ale żeby nasyłać na mnie Straż Narodową, aby pozbawić mnie odrobiny szczęścia, to już stanowczo za wiele!

Jak powinnam z nią postąpić? A skoro już musiało do tego wszystkiego dojść, dlaczego się to przydarzyło akurat dzisiaj? Dlaczego musieli mi popsuć najlepszy dzień, jaki przeżyłam od niepamiętnych czasów?!

Przymknęłam powieki, usiłując przywołać myśli o Romeo, ale stanęła mi przed oczami jedynie łysa czaszka Morta i jego twarz ściągnięta świętoszkowatym oburzeniem. Kiedyś czułam się okropnie, gdy patrzył na mnie takim wzrokiem i dzisiaj też jego spojrzenie podziałało na mnie okropnie, tylko w zupełnie innym sensie.

Mój problem okazał się zbyt poważny dla Excedrinu, więc o piątej rano byłam już na dole i wyścielałam kuchenne szafki świeżym papierem. Ten papier leżał w domu około roku, a w tej chwili stał się jedyną rzeczą, jaka chroniła mnie przed nerwowym załamaniem. W sklepie wzorek ze stokrotek na żółtym tle wydał mi się niezwykle pogodny, teraz, gdy wystawiłam talerze na kuchenny blat, stokrotki wyglądały jak robactwo, jak małe żwawe insekty, które rozbiegną się we wszystkie strony pod naczyniami. A, niech tam! Bardzo możliwe, że jutro rano znowu dopadnie mnie potrzeba, by wyścielać szafki.

- Jest źle - skomentowała Sandy, kiedy o szóstej zeszła na dół. - Nie widziałam, abyś zmieniała papier od rozstania z tatą.

- Więc najwyższy czas. Czy ten wzór nie przypomina ci robaków?

Sandy wspięła się na palce i zajrzała na półkę.

- Trochę.

Wzięłam gąbkę i wygładziłam zmarszczki.

- Czy to z powodu nieudanego spotkania z panem Cacciamanim, czy dlatego, że już wiesz o przyjeździe taty?

- Taty i Lili - poprawiłam ją. - A Nora zafundowała im bilety na samolot.

- Nie myśl sobie, że zmieniam front czy coś w tym rodzaju, ale chcę, abyś wiedziała, że nie mam z tym nic wspólnego. Nie w sensie finansowym, bo to oczywiste, ale ja też się o tym dowiedziałam, kiedy byli już w samolocie.

- Doceniam to. - Zeszłam z krzesła i zaczęłam przycinać następny arkusz.

- Jesteś pewna, że nie lepiej byłoby wziąć żyłkę?

- Nie zamierzam nikogo zarznąć, jeśli o to ci chodzi. Sandy westchnęła i w zamyśleniu skubała zębami opuszek kciuka.

- Zobaczysz się z tatą?

- Widziałam się z nim wczoraj wieczorem.

- Wrócił?!

- Leżał na kanapie, kiedy przyszedłam do domu. Jest kawa, jeśli masz ochotę.

Sandy podreptała do ekspresu i naląła sobie kawy do filiżanki.

- Nie powinien był tego robić. Pożegnał się i wyszedł. Nie chciałam, żeby cię zaskoczył. Czy było bardzo źle?

- Chciałabyś wrócić z randki i znaleźć Sandy Andersona śpiącego na twojej kanapie?

- Byłabym taka zadowolona, że miałam randkę, iż wątpię, by mnie to obeszło. - Sandy uśmiechnęła się do mnie. - Niemniej rozumiem cię. A jak ci się udało spotkanie?

Na samo wspomnienie wczorajszego dnia opadłam na krzesło i wypuściłam rolkę papieru z rąk.

- Było cudownie, ale w tej chwili niezbyt wyraźnie to wszystko pamiętam.

- Dokąd cię zabrał? Spojrzałam czujnie na córkę.

- Kochanie, nie chcę, abyś myślała, że wpadam w paranoję, ale niech to zostanie między nami, dobrze?

Sandy nachmurzyła się; wyraźnie poczuła się dotknięta.

- Usiłowałam wykazać zainteresowanie, jak nie chcesz, to nie mów.

- Przepraszam - powiedziałam. - Wiesz, przy tym wszystkim, co się dzieje...

- Nie jestem Norą.

- Oczywiście, że nie.

- Nie podoba mi się ta cała sprawa z Cacciamaniami. Uważam ich za bandę troglodytów, ale staram się uszanować twój wybór. Powinnam się trzymać od tego z daleka. - Sandy odstawiła filiżankę na stół. - Zapomnij, że w ogóle pytałam. - Wyszła z kuchni, a kiedy ją zawołałam, nie wróciła.

Canobie Lake Park, cisnęło mi się na usta. Pojechaliśmy do Canobie Lake Park.

Posprzątałam ścinki papieru i ustawiłam talerze na miejsce. Potem ubrałam się i pojechałam do pracy. Ledwo pojaśniało na dworze, a ja już zdążyłam zepsuć atmosferę w domu. W poniedziałki lubię być wcześniej w sklepie, tak żeby rozpakować świeże kwiaty i powstawić je do wiader, zanim zjawią się klienci. O dziesiątej, kiedy wywieszę tabliczkę z napisem „Otwarte”, dzieci będą już w szkole, sklep przygotowany, a Sandy mi wybaczy, co do tego nie miałam wątpliwości. Najwyraźniej straciłam umiejętność prowadzenia normalnej rozmowy.

Weszłam do sklepu przez drzwi na zapleczu i gdy tylko znalazłam się wewnątrz, poprawiło się mi samopoczucie. Przesunęłam dłonią po drewnianym roboczym stole, który mój ojciec zbił własnoręcznie, popatrzyłam na obcinak, na nożyce i cążki, pedantycznie pozawieszane na kołeczkach na drewnianej tablicy. Tu bardziej czułam się u siebie niż w domu. To miejsce zawsze działało na mnie kojąco. W kwiaciarni Rosemanów byłam małą dziewczynką z konewką. Moja matka wyglądała młodo i pięknie, ojciec pogwizdywał wesoło. Wszystkie koleżanki mi zazdrościły. Żyłam w świecie stworzonym z samych kwiatów. Przynosiłam kwiaty nauczycielom. Wpinałam je we włosy. Nawet czas, kiedy jako nastolatka pracowałam w sklepie, był szczęśliwy. Przynajmniej tak go zapamiętałam. Jako mężatka rzadko tutaj zaglądałam, więc kwiaciarnia nie zanadto kojarzyła mi się z Mortem. Kiedy ją przejęłam, poczułam się tak, jakbym odzyskała rodzinę. Na

powrót stałam się Rosemanówną. Chyba wiem, dlaczego ojciec uważał, że nie potrafię poprowadzić firmy, i Bóg mi świadkiem, iż nie radzę sobie najlepiej, żałowałam jednak, że nie może zobaczyć, jak bardzo się staram. Chciałabym, by wiedział, że kocham kwiaciarnię jak rodzinę.

Kiedy wyszłam do części frontowej, ażeby przetrzeć szyby, zauważyłam na chodniku płaskie pudełko oparte o drzwi. Takie pudełko do pakowania kwiatów, jakich mam u siebie z tysiąc, ozdobione ogromną żółtą kokardą. W pierwszej chwili przeszło mi przez myśl, że to jakaś dziwaczna reklamacja, chociaż wstążka nie wydała mi się znajoma. Otworzyłam drzwi i wniosłam pakunek do środka. Na wieczku znajdowała się firmowa nalepka z napisem: Kwiaciarnia „U Romeo”. Pod spodem odręczna adnotacja, dopisana teraz mi już znanym charakterem pisma: „Trzymać poziomo. Tą stroną do góry”. A obok narysowana strzałka.

Kwiaty? Nikt nigdy nie przysłał mi kwiatów. „To jak wozić węgiel do kopalni” - orzekł mój ojciec, gdy spytałam go, czy kiedykolwiek podarował mamie kwiaty. No, ale to pudełko! Serce tłukło mi się w piersi jak oszalałe. Romeo! Romeo! Jednak jak na kwiaty pudełko wydawało się nieco za ciężkie. Starłam się nieść je dokładnie w poziomie. Położyłam je na stole na zapleczu i zsunęłam wstążkę, którą, kierowana sentymentalnym odruchem, postanowiłam zachować na pamiątkę. Potem uniosłam wieczko.

Warzywa.

Warzywa ułożone jak kwiaty.

Maleńkie listki szpinaku, najdrobniejsze, jakie kiedykolwiek widziałam, wyścielały dno pudełka zamiast kwiaciarskiej bibułki. U góry dwie główki czerwonej kapusty o liściach z białymi brzeżkami. One kwitły, to jedyne określenie, jakie mi się nasuwa. Dookoła nich aureola z dwunastu czerwonych miniaturowych pomidorów, idealnie okrągłych i równych. Poniżej łądyżki z zielonych szparagów, z odchodzącymi od nich „liśćmi” z karłowatych, japońskich bakłażanów. Pod spodem rządki cukini, pod nim

czerwone młode ziemniaki oraz maleńkie marcheweczki z natką, przypominającą pióropusze paproci.

I jeszcze okolicznościowa kartka z kwiaciarni z napisem u góry: „Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin” z dopiskiem:

*Carissima Julio!*

*Czy wiesz, jak trudno znaleźć coś na prezent o szóstej rano w poniedziałek?*

*Kocham Cię,*

*Romeo*

Poniżej strzałka, aby odwrócić kartkę. Więc zajrzałam na drugą stronę: „A tak przy okazji, kiedy masz urodziny?”

Wyznam szczerze, przycisnęłam tę kartkę do serca. Nachyliłam się nad pudełkiem i wdychałam zapach szparagów. Czy możliwe, że był przed sklepem, kiedy wchodziłam przez zaplecze? Czyżbyśmy się minęli? Cudowne te warzywa! Oto zadośćuczynienie za wszystko!

- Jarzyny? - zdziwiła się Gloria.

- Wiem, że to śmiesznie brzmi, ale powinnaś je zobaczyć. Mówię ci, to prawdziwe dzieło sztuki.

- No dobrze - powiedziała i usłyszałam, jak upija łyk kawy. Gloria nie funkcjonuje bez kawy. - Bielizna zrobiła wrażenie?

- Nie chcesz najpierw posłuchać, jak spędziliśmy dzień?

- O tym potem. Najpierw opowiedz mi o bieliznie. Więc opowiedziałam. Chciałam jej opowiedzieć.

- Bardzo dobrze, kochana. Długo na to czekałaś.

Powiedziałam jej o wesołym miasteczku, o karuzelach, o Ellen i o motelu Sylvan Park. Powiedziałam jej też o Morcie na mojej kanapie.

- Mort?! Chyba żartujesz?!



- Wcale nie. Leżał tam, kiedy wróciłam do domu. Nora ściągnęła go razem z Lilą, żeby przemówił mi do rozumu.

- Odwołuję moje słowa. Masz prawo bać się Nory.

- W tej chwili jestem zwyczajnie wściekła. Mort ma się dzisiaj pokazać. Boże, Glorio, mam wrażenie, że życie jest dla mnie łaskawe, a zarazem bezwzględne. Jak to możliwe, aby coś równocześnie było i dobre, i złe?

- Według mnie to właśnie jest definicja życia.

- Czy możesz oddać mi jeszcze jedną przysługę?

- Mam wspomóc rozkwit prawdziwej miłości czy pokrzyżować szyki twojemu byłemu?

- Do końca życia będę twoją dłużniczką. Jeżeli zdecydujesz się przemycać broń do Ameryki Południowej albo otworzyć przedszkole, wiedz, że zrobię wszystko, czego ode mnie zażadasz.

- Wypowiedz życzenie.

- Pójdź do Romea i przekaz mu, że dostałam warzywa. Powiedz, że jestem zachwycona.

- Czy nie prościej byłoby zadzwonić i ewentualnie odłożyć słuchawkę, gdyby odezwał się jakiś inny Cacciamani?

- Nie chcę przysparzać mu kłopotów.

- O ile się nie mylę, wysłałaś mnie z podobną misją w dziesiątej klasie. Ale bardzo chętnie pojedę.

- Jesteś aniołem!

- Co dokładnie mam powiedzieć?

- Cokolwiek - odparłam, wiedząc, że obie z Glorią w tych sprawach podobnie myślimy. - Po prostu pojedź do niego i rozmawiaj o miłości.

## Rozdział 14

Sandy nadal się dąsała, kiedy o dziesiątej zjawiała się w kwiaciarni. Był poniedziałek, roboty zazwyczaj czekało sporo, więc musiała się szybko uwijać. W rzeczywistości okazało się, że tym razem akurat pracy było mniej niż powinno. Obie nasze dostawy przyszły uszczuplone, a ponieważ wszystko, co pozostało z soboty, podarowałam ojcu Alowi, nie miałyśmy na podorędziu żadnych kwiatów luzem. W poniedziałki rano nie ma zamówień do rozwożenia, więc obie siedziałyśmy w sklepie. Rozpakowałyśmy kwiaty i przeglądałyśmy duże zamówienie na ślub, który miał się odbyć w sobotę za dwa tygodnie. Panna młoda zażyczyła sobie, aby synagogę udekorować wyłącznie gardeniami. To miał być naprawdę szumny ślub.

- Czy ona ma pojęcie, jaki tam będzie zapach? - skomentowała Sandy, marszcząc nos. - Nie mam nic przeciwko gardeniom, ale ludzie będą mdleć w ławkach. Czy ona zamierza ich wyposażyć w butle z tlenem?

- Jedno, co nie ulega wątpliwości, to, że już zamówiłam kwiaty. Miejmy nadzieję, iż panna młoda nie zmieni zdania. Niełatwo upłynnić tysiąc gardenii.

Zadzwoił telefon, Sandy podniosła słuchawkę i przyjęła zamówienie.

- Co ma się znaleźć na bileciku? - spytała, trzymając pióro nad małym, białym kartonikiem. - Ummm, dobrze... „Kochana Mario, bez ciebie moje życie nie miałoby sensu. Jesteś słońcem, księżycem i gwiazdami, co świecą na ciemnym niebie”. Proszę chwilę poczekać, bo nie nadążam. - Sandy obróciła bilet na drugą stronę. - „Nigdy przedtem nie spotkałem kogoś takiego jak ty. Czekałem na ciebie od początku świata”. - Proszę chwilę poczekać, kartka się zapełniła. Wezmę nową. Te bileciki są naprawdę malutkie.

Podczas gdy Sandy pisała pod dyktando, do sklepu wpadła Gloria, wyglądając znacznie lepiej niż to konieczne. Ubrała czarną, wąską spódnicę i

nałożyła buty na niskim obcasie. Gloria była szczuplejsza ode mnie i miała niesamowicie zgrabne nogi. Zaczynałam się zastanawiać, czy wysyłając ją do Romea, nie popełniłam błędu. On nie kazał ojcu Alowi wystroić się na spotkanie ze mną.

- O Boże! - powiedziała Gloria. - Widziałam go! Właśnie stamtąd wracam.

Sandy zakręciła pióro i odłożyła słuchawkę.

- Kogo widziałaś?

Gloria rzuciła mi pytające spojrzenie, lecz ja uznałam, że nie ma sensu stawiać nas wszystkich w niezręcznej sytuacji.

- Romea Cacciamaniego - wyjaśniłam. - Poprosiłam Glorię, żeby do niego zajrzała i podziękowała za prezent.

- Przysłał ci prezent? - zapytała podejrzliwe Sandy.

- Chodźcie! - Zaprowadziłam je do chłodni i podniosłam pokrywkę pudełka z warzywami.

- Ooch! - zawołała Sandy, nieśmiało dotykając palcem oberżyny. - To prawdziwe?

- Najprawdziwsze.

- Niesamowite - zachwyciła się Gloria. - Miałaś całkowitą rację. Przez resztę życia będę się czuła rozczarowana za każdym razem, kiedy Buzz przyśle mi kwiaty. Czy możemy już stąd wyjść? Wiem, że jesteście przyzwyczajone do chłodu, ale ja nie.

Wyszliśmy z chłodni z pudełkiem warzyw, ale tym razem nie przykryłam go wieczkiem.

- Posłałaś Glorię, żeby mu podziękowała? - zapytała Sandy. - Nawet nie możesz tam pójść i się z nim zobaczyć?

- Nie bardzo - odparłam. - Wiesz, jak odnosi się do mnie jego rodzina, a on z kolei zna twoje i Nory uczucia względem niego. Staramy się nie nadepnąć na zbyt wiele odcisków.

Być może zbyt jasno postawiłam sprawę, ale nie zależało mi na punktach za delikatność.

Sandy podniosła łyżkę szparaga i delikatnie zwijała ją w palcach.

- Mężczyzna, który wpadł na coś takiego...

- Jest cudownym facetem - dopowiedziała Gloria. - Julio, dobrze zrobiłaś, że nie poszłaś. Matko jedyna, tam się dosłownie roi od Cacciamanich! Szczerze mówiąc, odczuwam ulgę, że spotkałaś go, no powiedzmy, w nieco starszym wieku, bo nie chciałabym się przyglądać, jak marnujesz młodość z kimś, kto najwyraźniej ma blade pojęcie o kontroli urodzeń.

- Co powiedział? - chciała wiedzieć Sandy.

- No cóż. Najpierw musiałam użyć podstępu, by znaleźć się z nim bez świadków. Powiedziałam łąpkowi za ładą, że chcę omówić wiankę na pogrzeb męża, ale wolałabym rozmawiać z samym właścicielem w jakimś ustronnym miejscu. Wiedziałaś, że Romeo ma biuro?! Dlaczego ty nie masz biura?

Miałam biurko za roboczym stołem. W zupełności mi wystarczało.

- Powiedziałaś mu, że Buzz nie żyje?!

- Tylko temu pierwszemu. Romeo powiedziałam prawdę, kiedy znaleźliśmy się sami.

- Więc co on powiedział? - powtórzyła Sandy. Gloria przeniosła spojrzenie na nią.

- Powiedział, że jest do szaleństwa zakochany w twojej matce, wystarczy?

- Jak dla mnie w zupełności wystarczy - wtrąciłam.

- Chciałby wiedzieć, czy byś nie mogła pojechać z nim jutro na kolację do Newton. Powiedział, że nikogo tam nie zna, a ja mu na to, że my znamy wszystkich w Newton.

- Jutro wieczorem mam dyżur przy dzieciach - odparłam. - Może w środę?

- Poszukam opiekunki - zaproponowała Sandy. - Nora mogłaby z nimi posiedzieć albo Gloria. Świat się przez to nie zawali.

- Chcesz powiedzieć, że jesteś gotowa pomóc mi umówić się na randkę?  
- Obydwie z Glorią wlepiłyśmy w nią wzrok. Jeżeli miała paść twierdząca odpowiedź, potrzebowałam świadka.

- Mówię tylko, że te warzywa są bardzo ładne - odrzekła Sandy melancholijnie. - Nie codziennie widzi się coś takiego. Tyle chciałam powiedzieć. Idę pilnować sklepu. Pogadajcie sobie. - Sandy ostrożnie położyła szparag na miejsce i zostawiła nas same.

- Tej dziewczynie możesz zaufać - stwierdziła Gloria. - Zaczyna ci sprzyjać.

- Ma przyływy i odpływy. Powiedz, co jeszcze Romeo mówił?

- Same miłe rzeczy. Ucieszył się, że przyszłam. Powiedział, że nie może przestać o tobie myśleć. Że świetnie się bawił w Canobie Lake. Słuchając go, można by odnieść takie wrażenie, że pojechaliście tam, zagraliście kilka razy w fascynację i wróciliście do domu.

- Bo mniej więcej tak właśnie było. Wspomniałaś mu o Morcie?

Gloria pokręciła głową.

- Pomyślałam, że nie ma sensu doprowadzać biednego faceta do obłędu. Martwiłby się i byłby zazdrosny. Za bardzo mi przypadł do gustu, żeby mu zrobić coś takiego.

Usłyszałam brzęk gongu nad drzwiami i głos Sandy.

- Cześć, tato!

Nastąpiła chwila ciszy, potem rozległy się kroki i zaraz po nich głos Mona:

- No proszę! Toż to chlew. Zmieniła to miejsce w chlew!

- O wilku mowa! - mruknęła Gloria. - Mam zostać?

- Raczej szybko się go nie pozbędę. Myślę, że dość dla mnie zrobiłaś jak na jeden dzień.

- Nie, żebym źle życzyła Mortowi, czy nawet mojemu własnemu eksmężowi, ale osobiście uważam, że nie powinno się im pozwolić kręcić w pobliżu i zjawiać się ni stąd, ni zowąd, kiedy im przyjdzie ochota.

Widziałabym ich na czymś w rodzaju planety dla byłych mężów. Można by lepiej spożytkować pieniądze, które idą na NASA. Wystrzeliwałyoby się eksmężów w kosmos.

- To wcale nie jest głupi pomysł.

- Mamo?! - zawołała Sandy. - Mogłabyś przyjść? Gloria wyszła pierwsza, z uśmiechem wyciągając rękę do Morta.

- Ach, Mort! - zawołała. - Że też akurat oboje zajrzeliśmy do Rosemana! Mort pocałował ją w policzek i uścisnął za ramiona.

- Dobrze wyglądasz, Glorio.

Powiedział to dokładnie takim samym tonem, jakiego kiedyś używał, kiedy mi mówił, że dobrze wyglądam. Jakby go to zaskakiwało, a zarazem wprawiało w zakłopotanie. Miałam ochotę go kopnąć.

- Jak się miewa Buzz?

- Świetnie! Doniesienia o jego zgonie były mocno przesadzone. Właśnie idę się z nim spotkać. Następnym razem, jak będziesz miał przyjechać, daj mi wcześniej znać. - Gloria posłała Sandy całusa i pomachała jej na do widzenia.

- Jak się domyślam, wciągnęłaś ją w to wszystko - mruknął Mort, odprowadzając Glorię spojrzeniem. - Twoja wielka konspiratorka. Musi się jej to podobać.

- Nikomu się to nie podoba - ucięłam.

Po wyjściu Glorii opuściła mnie pewność siebie. Tak jakby wychodząc, zabrała ze sobą całe powietrze. Mort przemierzał kwaciarnię z kąta w kąt.

- Widzę, że doprowadzasz sklep do ruiny. To część owego romansu? Namawia cię, byś splajtowała, aby pozbyć się konkurencji?

- Mort!

- Gdzie są kwiaty? Możesz mi wyjaśnić? To jest kwiaciarnia, więc powinno się tu sprzedawać kwiaty.

- Miałyśmy pewne problemy z dostawą, jasne? Dzisiejszy dzień stanowi wyjątek. Chyba mi nie powiesz, że kiedy tu pracowałeś, nigdy nie miałeś problemów z dostawcami?

- Zdarzały się kłopoty, ale wtedy wisiałem na telefonie i wrzeszczałem, na kogo trzeba. Gdzie dziś rano zadzwoniłaś?

Nigdzie nie zadzwoniłam. Najpierw znalazłam warzywa, potem zjawiała się Sandy, a po niej Gloria. Nawet nie pomyślałam, żeby chwycić za słuchawkę.

- Prowadzę mój sklep tak, jak uważam.

- Twój sklep! Zaraz mnie żółć zaleje! Twój ojciec mi go obiecał. Mówił, że sklep jest mój.

- Pod jednym niepisany warunkiem: że nie uciekniesz z druzną. Na miłość boską, Mort, czego ty się spodziewałeś?!

- Przyzwoitego potraktowania. Poświęciłem temu miejscu kawał życia.

- No więc przynajmniej wiesz, co się czuje w takiej sytuacji - odcięłam się.

Sandy chrząknęła.

- Mamo, tato, ta rozmowa niewątpliwie jest fascynująca, ale jeśli nie macie nic przeciwko temu, wołałabym wyjść.

Jakimś cudem udało jej się niepostrzeżenie zbliżyć do drzwi.

- Ależ, kochanie - odezwał się Mort - nie bądź taka przewrażliwiona. Po prostu sobie z mamą rozmawiamy.

- Rozmawiajcie, ile chcecie, ale ja nie chcę tego słuchać.

Wyleciała ze sklepu jak pocisk, gong nad wejściem, wprawiony w gwałtowny ruch, wydał z siebie całą gamę dźwięków. Stałam i patrzyłam, jak w blasku słońca podskakują jej włosy poskręcane w pierścionki. Włosy Sandy



zdawały się odbierać jej płynność ruchów. Obojętnie, jak posuwistym krokiem się poruszała, i tak wyglądała, jakby szła, podrygując.

- Sandy ma rację - zgańłam go. - Nie powinniśmy prowadzić takich rozmów, a już na pewno nie przy niej.

Mort zbył moją uwagę machnięciem ręki.

- Obie dziewczyny powinny stwardnieć. Są zanadto wrażliwe.

- Nora ma stwardnieć?

- Nie znasz jej. W środku jest miękka jak wosk. Nigdy dotąd na to nie wpadłam i wcale nie byłam pewna, czy taki obraz Nory mi odpowiada.

- Może tego nie rozumiem. - Podeszłam do dwóch doniczek z hortensjami i usunęłam je ze słońca. - Ale ty mi tego nie wytłumaczysz. - Przystanąłam i spojrzałam na Morta, mojego męża przez ponad połowę życia. Na Morta, którego poznałam, mając dwadzieścia lat i który po dziś dzień wierzył, że to z nim utraciłam dziewictwo. - Mort, idź już sobie, dobrze? W końcu wdamy się w potworną awanturę. Doszliśmy do punktu, gdzie niektóre tematy doprowadzają nas do temperatury wrzenia. Każde z nas musi żyć dalej. Po co wracać do pewnych spraw; kłócić się o sklep czy o dziewczęta? Już to wszystko przerabialiśmy. Jeżeli teraz wyjdiesz, masz szansę spędzić w Bostonie sympatyczne wakacje z Lilą. Spotkaj się z dziećmiakami, mnie zostaw w spokoju, a Norze powiedz, co ci się żywnie podoba. To nie najgorszy układ, prawda?

- A więc mówisz, że będziesz się trzymać z daleka od Cacciamanich?

Opadłam na wiklinowy fotelik.

- Jak, do licha, ci wyszło, że to właśnie powiedziałam?

- Bo o to chodzi w tej całej sprawie. Nie o sklep ani o dziewczęta. Twój ojciec nie dotrzymał danej mi obietnicy, ale ja zamierzam wywiązać się z mojej. Powiedział mi, że Rosemanowie i Cacciamani mają się trzymać od siebie z daleka. Moim obowiązkiem jest tego dopilnować. Sama wiesz, że ta

historia z Sandy o mało nie złamała serca twoim rodzicom. Jestem przekonany, że odebrała twojemu ojcu z pięć lat życia.

- Ostrzegałam cię, żebyś im o tym nie mówił.

- Julio, ty nie rozumiesz, jak funkcjonuje świat. Ten skurczybyk Cacciamani to nie jest taki tam sobie facet, z którym jestem skłócony. Obserwowałem jego działania od lat, najpierw kiedy trzymał się razem ze swoim ojcem, i potem, gdy obstawił się tą całą cholerną bandą młodych Cacciamanich. To nie są po prostu źli ludzie. Oni są zwyczajnie podli. Obawiam się, że nawet mogą należeć do mafii.

- Mafii kwiatowej? Daj spokój, Mort! Co złego zrobili ci Cacciamani? Czy ty chociaż wiesz, o co chodzi w tym całym konflikcie?

- O co chodzi?! - powtórzył z oburzeniem. - O co chodzi? Julio, na jakim świecie ty żyjesz?! Chodzi o interesy! O to, że oczerniają nas w całym mieście, rozpuszczając plotki, że wkładamy nieświeże kwiaty do ślubnych wiązanek. Albo że zabieramy wieńce z grobów po pogrzebach. Na miłość boską! To przez nich nie przyjęli mnie do Rotarian. To oni podstępem sprawili, że przez rok nie było naszego nazwiska w książce telefonicznej. W książce telefonicznej! Czy ty wiesz, co to znaczy?! I tak jak już powiedziałem, ten konflikt nie dotyczy wyłącznie Romea. Wcale nie. Zaczął się już za czasów jego ojca i tej więdźmy, jego żony, niech oboje smażą się w piekle!

- Nie rozpędzaj się tak. Ona jeszcze nie umarła.

- Nieprawdopodobne! - Mort wstrząsnął ramionami. - Czeka ją już tam na nią. Ostrzą widły. Ci ludzie szkodzili nam w każdy możliwy sposób. Dzwonili do naszych najpoważniejszych klientów i mówili im, że rezygnujemy z wykonania zamówienia i że oni gotowi są je przejąć. A nie daj Boże, jeśli nie było mnie przy poniedziałkowej dostawie. Wszystkie róże w pęku miałyby nadłamane główki.

W to akurat byłam skłonna uwierzyć. Widziałam już, jak Cacciamani ogławia roślinę.

- Więc jeżeli to prawda, chociażby tylko w części, powiedz, ilu podobnych postępów dopuścił się w rewanżu mój ojciec? A co ty robiłeś? Spodziewasz się, że uwierzę, iż Cacciamani zadawali ciosy, a Rosemanowie z pokorą je przyjmowali?

Mort sprawiał takie wrażenie, jakby nie docierało do niego to, co mówię. W normalnych okolicznościach denerwowałby mnie brak klientów w poniedziałkowy poranek, ale dzisiaj byłam szczęśliwa, że nie ma ruchu.

- Czy zależy ci, żeby w to właśnie wierzyć? Chciałabyś, aby nasza rodzina nigdy nie działała na szkodę twojemu cudownemu Romeo? Naturalnie, że im dołożyłem. Podobnie jak twoi rodzice. Kiedy oni zadawali cios, myśmy go oddawali. Takie jest życie, Julio.

- Dobrze, niech sobie będzie, ale jak dojsć po paru pokoleniach, kto uderzył pierwszy? Czy to, co robisz, jest obroną czy atakiem?

- A jaka to różnica? Mówimy o Cacciamanich. Jedyne, co się liczy, to żeby dobrać się do nich, zanim oni zdążą to zrobić.

- Mort, czy ty tego nie widzisz? Toż to gra! Oni grali nieczysto i my też. Wszyscy wszystkich nienawidzą. Jeżeli zdecydujemy się przerwać ją jako pierwsi, jeśli obie strony zaprzestaną walki, gra się skończy. Przecież to proste.

- Proste, jeśli gra się z uczciwymi ludźmi, ale oni nimi nie są. Wyobraź sobie taką czysto hipotetyczną sytuację. Powiedzmy, że Sandy zaczyna korespondować z mordercą odsiadującym wyrok. Za jakiś czas przychodzi do nas i mówi: „Mamo, tato, Spike się zmienił, jest cudownym facetem i zamierzamy pobrać się w więzieniu”. Czy nie rzuciłabyś się pod pociąg, którym by jechała, aby jej przeszkodzić?

Chciałam zapewnić go, że polegam na trzeźwym osądzie mojej córki, ale ten akurat scenariusz nie do końca był dla mnie do przyjęcia.

- Tak, ale jeśli chcesz powiedzieć, że...

- Chcę powiedzieć, że miłość czyni nas ślepych. - Jego głos złagodniał na jedną chwilę. Podszedł do lady i oparł się o nią. Miałam wrażenie, że, podobnie jak ja, jest zmęczony tą całą sprawą. - Nie zawsze mamy pełny obraz. Dlatego czasami ludzie, którzy nas kochają i czują się za nas odpowiedzialni, powinni interweniować, by nas chronić.

- Och, Mort! Nie spodziewam się, że mnie zrozumiesz, ale nie potrzebuję ochrony. Kiedy odszedłeś z Lilą, myślałam podobnie. Nie wierzyłam, że ona chce twego dobra. Lecz to było twoje życie i sam ponosiłeś odpowiedzialność za własne błędy.

- Julio, nie zamierzam tego tak zostawić.

- Będziesz musiał. Mieszkasz w Seattle i prędzej czy później wrócisz do domu. Naprawdę nie mam ochoty z tobą walczyć. Chcę tylko, żebyś sobie poszedł.

Mort westchnął i rozejrzał się po sklepie. Bez zawahania wyjął spomiędzy doniczek ustawionych na niskim podeście najokazalszy, purpurowy cyklamen i postawił go na ladzie obok kasy.

- Powinnaś trzymać je na wysokości wzroku. Wiesz, że obecnie prowadzę kwiaciarnię z Lilą? Z początku nie uważałem tego za dobry pomysł, wydawało mi się, że powinienem zająć się czymś innym, ale trudno odejść od kwiatów, kiedy całe życie miało się z nimi do czynienia. To wchodzi w krew.

Zapytałam go, jak idą interesy.

- No wiesz, coś za coś. Więcej tam można zarobić, ale też wszystko jest znacznie droższe. Jedno wystawne przyjęcie dla Microsoftu i dostajesz tyle, ile zarabiasz przez miesiąc. Lila szybko się wdroszyła. Ma smykałkę do kwiatów.

- Miło mi to słyszeć.

Mort poszedł do chłodni i wyniósł stamtąd wiadro z syberyjskimi irysami.

- Trzeba je jak najszybciej wypchnąć.

- Dopiero dzisiaj przyszły.

- Irysy są nietrwałe. Należy szybko się ich pozbywać. Chciałam go powstrzymać, ale rzeczywiście miał rację.

Poza tym to wielka ulga choć przez chwilę się z nim nie kłócić.

Mort oparł dłonie na biodrach i lustrował sklep okiem znawcy.

- Wiesz, że to doskonały lokal? Przestronny, jasny. W Seattle nie znalazłabyś czegoś takiego. Przydałoby się go trochę unowocześnić, ale ma ten szczególny klimat... Od początku poczułem się tu jak w domu. Od dnia, kiedy mnie tu przyprowadziłaś. Naprawdę wierzyłem, że pewnego dnia będzie mój. Pokochałem go.

- Wiem.

- Julio, pozwól mi przejrzeć księgi. Coś mi mówi, że zmierzasz ku katastrofie.

- Teraz to jest mój sklep. Wybij to sobie z głowy.

- Wiem, że to twój sklep, ale mam do niego sentyment. Nie proszę o wiele. Daj mi tylko parę godzin.

- Posłuchaj, Mort. Moim zamiarem jest się ciebie pozbyć, a nie wprowadzać głębiej w interesy.

Mort potarł oczy.

- Czy gdyby wybuchł tu pożar, nie przyjęłabyś ode mnie wiadra wody?

- Nie bądź głupi!

- Nie, to ty nie bądź głupia. Mogę ci pomóc ugasić pożar. Dlaczego w interesie Rosemanów nie postarasz się stłumić niechęci do mnie?

Powstrzymywała mnie wyłącznie próżność. Chciałam, aby myślał, że idzie mi śpiewająco. Prawda była taka, że, w przeciwieństwie do mnie, Mort świetnie sobie radził z papierkową robotą. Daleko mi było do jego umiejętności, jeśli chodzi o składanie zamówień. Miał rację, zdążałam ku plajcie. Naprawdę potrzebowałam pomocy.

- Dobra - zgodziłam się w końcu, wskazując mu biurko. - Sam wiesz, co gdzie jest. Nic się nie zmieniło.

- Ach, Julio! Wszystko się zmieniło - skwitował z pewną dozą nostalgii w głosie.

## *Rozdział 15*

Jedyną pozytywną stroną dopuszczenia Morta do ksiąg było to, że przestał myśleć o Romeo. „Jezu!” - wykrzykiwał co chwila, gdy ja obsługiwałam za ladą.

Klienci rzucali spojrzenia w głąb sklepu. Niektórzy z nich wydawali się zaniepokojeni, inni zwyczajnie zmieszani.

- On usiłuje przesunąć biurko - wyjaśniałam ze spokojem. - Jest bardzo ciężkie.

W pewnej chwili Mort szarpnięciem odsunął kotarę dzielącą sklep od zaplecza.

- Co ty wyrabiasz?! Chcesz nas unicestwić?! Wszystko zaprzepaścić?!

- Unicestwić siebie - poprawiłam go, wskazując na swoją pierś. - Nie nas. Swoje tracę.

- W takim razie gratuluję dopiero co odkrytej wolności, bo już jej nie masz!

- Skąd miałam wiedzieć, co robić? Przez trzydzieści cztery lata nie życzyłeś sobie widzieć mnie w sklepie, a potem zwinąłeś manatki i wyjechałeś z Lilą do Seattle! Nie miałam czasu na kurs księgowości. Musiałam się zabrać do roboty.

- Julio, dlatego właśnie należy zapłacić fachowcom. Nazywamy ich księgowymi. Oni pracują dla tych, co to, ni cholery, nie wiedzą, co robią!

- Czym zapłacić, Mort?! Ty zgarnąłeś pieniądze, pamiętasz? Taka była umowa. Dom ma obciążoną hipotekę. Wzięłam pożyczkę na sklep.

- Wzięłaś kredyt pod zastaw kwaciarni Rosemanów?!

Nie zamierzałam mu o tym mówić, ale i tak sam by się zorientował w ciągu najbliższych trzydziestu minut. Poczułam, jak łzy napływają mi do oczu. Palił mnie wstyd i poczucie winy, bo wiedziałam, co ma na myśli. Biorąc kredyt, obciążylam hipotekę sklepu moich rodziców, zadłużyłam to, co harując całe życie, udało im się spłacić.

- Nie widziałam innego wyjścia.

- Powinnaś była do mnie zadzwonić! - Mort nie posiadał się z gniewu. Łzy nie zrobiły na nim żadnego wrażenia.

- Nigdy bym do ciebie nie zadzwoniła. Dobrze o tym wiesz.

Mort zaciągnął kotarę i wrócił do pracy. Podlałam rośliny i zanotowałam na kartce, że muszę zamówić więcej nawozu do kwiatów. Co by było, gdybym utraciła kwaciarnię? Kim stałabym się bez niej? Nora zawsze będzie żyć w dobrobycie, poza tym kwiaty w ogóle jej nie obchodzą, ale pragnęłam, żeby sklep został dla Sandy. Może nie spodoba się jej zawód pielęgniarzki albo pewnego dnia znuży ją praca przy chorych? Mogłaby rozruszać interes. Chciałam, żeby kiedyś Sandy mogła przekazać sklep Tony'emu i Sarze. Stanowiliby idealny tandem. Tony na zapleczu pedantycznie organizowałby pracę, a Sara za ladą czarowałaby klientów. Myśl, że z powodu zwykłej niekompetencji mogłabym roztrwonić całą schedę po rodzicach, zabijała mnie. Weszłam na zaplecze.

- Zostaw to - powiedziałam do Morta. - Niczego tu nie naprawisz. Wracaj do domu, do Lili. Na pewno się zastanawia, gdzie się podziewasz.

Mort nawet nie podniósł wzroku. W szaleńczym tempie uderzał w przyciski kalkulatora. Za jednym i za drugim uchem miał zatknięty ołówek.

- Daj mi spokój!

- Mort, mówię poważnie. Zostaw to. To nie jest twój problem.



- To jest mój problem. A teraz idź stąd sprzedawać te cholerne kwiaty!  
Zasunęłam kotarę. Zbierało mi się na płacz. Oczyma wyobraźni widziałam już, jak przekreślam do końca sens mego małżeństwa, tracę firmę, córki, a także Romea. A moi rodzice spoglądają na mnie z góry i zrozpaczeni kręcą głowami.

Pomimo niedoboru kwiatów, braku Sandy i mego podłego nastroju obroty były całkiem przyzwoite. O pierwszej Mort poprosił mnie, żebym przyniosła mu kanapkę, a on w tym czasie miał popilnować sklepu. Nawet nie musiałam go pytać, co zje. Wiedziałam, że chce cebulową bułkę przełożoną plastrem pieczonej wołowiny z chrzanem, bez frytek, ale za to z dodatkową porcją korniszonów, a do picia dietetycznego sprite'a.

Nadłożyłam drogi i poszłam jedną przecznicę dalej, do baru z kanapkami, gdzie okrawano mięso z tłuszczu.

- Dlaczego Lila nigdy nie potrafi tego porządnie załatwić? - zapytał na głos Mort, zaglądając do papierowej torebki, po czym wrócił do pracy.

Dla siebie kupiłam jogurt, ale odszedł mi apetyt. Postawiłam go w chłodni, za stokrotkami, i z powrotem oddałam się niewesołym myślom.

Zawsze około czternastej, w czasie gdy Sandy przeważnie opuszczała sklep, ruch zamierał, a potem nasilał się na krótko pomiędzy siedemnastą a osiemnastą, gdy mężowie i panowie żyjący w luźnych związkach w drodze z pracy do domu wstępowali po gotowe bukiety. Gdyby się pokusić o pewne uogólnienie, kobiety kupowały kwiaty w dzień, natomiast mężczyźni przychodzili po nie, kiedy słońce chyliło się ku zachodowi.

Pomiędzy czternastą a siedemnastą zazwyczaj uzupełniałam księgi, ale Mort nadal tkwił na zapleczu, postępując i przeklinając pod nosem. O czternastej trzydzieści zadźwięczał gong nad drzwiami i do sklepu wkroczył wyraźnie stremowany Romeo Cacciamani. Miał na sobie szare spodnie i ładną, białą koszulę z podwiniętymi rękawami. Wyglądał zniewalająco przystojnie.

- O Boże! - jęknęłam, odruchowo zniżając głos do szeptu. - Co ty tu robisz?

- Twoja przyjaciółka, Gloria, powiedziała, że o tej porze Sandy odbiera dzieci ze szkoły. Czy coś nie tak? Ona tu jest?

Rzuciłam szybkie spojrzenie za siebie i wyszłam przed ladę. Pocałowałam go. Nie potrafiłam się oprzeć. Jego widok mnie uszczęśliwił, a zarazem sprawił, że zrobiło mi się przykro.

- Nie ma jej, ale musisz iść. Naprawdę. Lada chwila może wrócić.

- Przepraszam. Wiem, że nie powinienem tu przychodzić. Jeździłem wokół przez godzinę, powtarzając sobie, że nie wolno mi się zatrzymać. Musiałem cię zobaczyć.

- Bardzo mi się podobały te warzywa.

- Naprawdę? Nie miałem pomysłu, co ci przysłać. Chciałem ci kupić coś ogromnego, na przykład Kalifornię, ale nie było czasu.

Otoczył mnie ramionami. Poczułam się jak w siódmym niebie.

- Co powiesz na kolację jutro?

- Dobrze - zgodziłam się. - Do jutra coś wymyślę, ale teraz musisz już iść.

Nie wierzyłam, że te słowa przeszły mi przez usta. Pragnęłam, żeby został jak najdłużej. Chciałam mu opowiedzieć o tym, co się dzieje. Chciałam podzielić się z nim wszystkim, co dotąd wydarzyło się w moim życiu.

- Coś nie w porządku? Wydajesz się spięta.

- Mam dużo stresów - odrzekłam i wtedy, jakby na poparcie mych słów, zza kotary wyłonił się Mort z trzema księgami o grzbietach spiętych drucianą spiralą.

Na widok Romea wypuścił je z rąk.

- Cacciamani! - wrzasnął. - Weź te swoje brudne łapy od mojej żony!

Żony? - pomyślałam. A Lila?

- Co on tu robi? - zwrócił się do mnie Romeo, bardziej zaintrygowany niż przestraszony, wcale nie wypuszczając mnie z „łap”.

- Nie twój zasrany interes! A teraz wynoś się stąd, zanim skończysz w kawałkach na krawężniku!

Na twarzy Romea pojawił się mimowolny uśmiezek.

- Dawno tego nie słyszałem.

- Jak mi Bóg miły, Cacciamani, wyjdź stąd natychmiast! Chyba nie chcesz mieć ze mną do czynienia?!

- Oczywiście, że nie chcę mieć z tobą do czynienia. Do cholery, Mort, jaki ty masz problem?

- Jaki mam problem? Jaki?! Ty jesteś moim problemem, chłopie! Zawsze nim byłeś. Tyle że kiedy ja tu czuwałem, miałeś dość rozumu, żeby się trzymać z daleka. A gdy mnie zabrakło, kręcisz się koło mojej żony, rujnujesz moją firmę! - Mort potrząsnął resztą dokumentów, która mu pozostała w rękach.

Najwyraźniej pomieszały mu się dwie sprawy. Według niego to Romeo był winny, że interes Rosemanów chylił się ku upadkowi. Również Romeo ponosił winę za to, że ja nie siedzę w domu. Zapewne to, że drużyna Red Soxów nie zakwalifikowała się do mistrzostw świata, też było winą Romea.

- Twoja firma? Twoja żona? - Romeo podrapał się po głowie.

- No, już na pewno nie twoja firma ani nie twoja żona!

- Posłuchaj, Mort, skończ już z tą gadką twardego faceta. Nigdy pomiędzy nami nie było zgody. No i co z tego? Nie walczymy o terytorium.

- To jest wojna o terytorium, jeśli takiej terminologii używasz. Wynoś się z mojego terenu!

Romeo odsunął się nieco ode mnie i postąpił krok w stronę Morta.

- O ile dobrze zrozumiałem, nie mieszkasz już tutaj.

- Więc wyobraź sobie, Cacciamani, że niczego nie rozumiałeś! - Mort wyszedł zza lady.

- Posłuchajcie! - wtrąciłam się. - To jakieś idiotyczne nieporozumienie. Mort przyszedł z wizytą, a Romeo wychodzi. Zakończmy to.

- Nie wychodzę - oznajmił Romeo.

Wyglądał tak, jakby był w transie, jakby patrzył na wahadełko hipnotyzera i nie mógł oderwać od niego wzroku. Mort przewyższał go wzrostem, ale za to Romeo był zbudowany jak ktoś, kto rzucając toporem, przebija mur, lub przynajmniej potrafił tego dokonać jakieś dwadzieścia lat temu.

Mortowi nabrzmiały żyły na skroniach.

- No, cóż - pokiwał głową. - To się świetnie składa, bo i tak miałem sobie z tobą porozmawiać. Zaoszczędziłeś mi drogi.

- Mort! - Użyłam tonu, jakim się przemawia do rozeźlonego dobermana.  
- Opanuj się!

- Julio, nie wtrącaj się. A ty! - Mort wycelował palcem w Romea - trzymaj się z daleka od mojej rodziny. Wydawało mi się, że w przeszłości jasno postawiłem sprawę, ale chyba musimy jeszcze raz przez to przejść. Trzymaj się z daleka od Julii! Trzymaj się z daleka od moich córek! Trzymaj się z daleka od sklepu!

- Mort, nie możesz mu kazać trzymać się z daleka ode mnie czy od sklepu!

W tej chwili nie byłam tak do końca wrogo nastawiona do Morta. Spędził dzień, usiłując zaprowadzić porządek w księgach. Był zmęczony i rozdrażniony. Wołałam wierzyć, że gdyby do tego spotkania doszło w innych okolicznościach, ta rozmowa lepiej by wypadła.

- Trzymasz jego stronę? - zwrócił się do mnie Mort.

- Bardzo proszę. Zakończmy to.

- Po tym wszystkim, co mi zrobił?!

- Co tobie zrobiłem?! - obruszył się nagle rozgniewany Romeo. - Jeśli on chce się bić, chętnie mu służę. Przysięgam na Boga, że zamknąłem

przeszłość. Zapomniałem o wszystkim, co było. - Odwrócił się do Morta. - Jeżeli chcesz wywlekać stare sprawy, jestem pewien, że odświeży mi się pamięć.

- Bić się? - podchwycił Mort z oczyma błyszczącymi jak dziesięciocentówki. - Chcesz się bić?!

Kto mówi takie rzeczy? Ludzie krzyczą na siebie, rzucają pogrózki, ale bójkę to coś, co ogląda się wyłącznie na filmach.

- Chodź, jeśli szukasz guza!

Ledwo Romeo zdążył wymówić te słowa, Mort złapał za doniczkę z cyklamenem i cisnął nią prosto w jego głowę. Kiedy Mort studiował w college'u, był w stanowej drużynie baseballowej, a później, mieszkając w Somerville, grał w softball. Potrafił trafić w okno kulką ze zgniecionej papierowej ręcznika. Nosił ksywę „Ramie”.

Doniczka była gliniana. I tym najbardziej się przejęłam. Trafiła Romea w lewą skroń i rozleciała się na kawałki. Posypała się ziemia, płatki kwiatów i połamane łodyżki, a Romeo osunął się na posadzkę.

Nie miałam pojęcia, co robić. Czy zająć się Romeem, czy wypchnąć Morta ze sklepu. Mort nieraz wpadał w szał, ale nigdy nie widziałam, żeby kogoś uderzył. Nie dawał nawet klapsów dziewczynkom, kiedy były małe. Ukłękłam przy Romeo. Z rozbitej głowy lała się krew. Usiłowałam oczyścić mu oczy z piasku. Kochałam go. To był jeden z takich momentów w życiu, kiedy ma się stuprocentową pewność.

- Mort, ty głupi skurczybyku, mogłeś go zabić!

Chociaż Romeo wyglądał jak zawodnik odliczany na ringu, na dźwięk mego „mogłeś go zabić”, zerwał się krwawiący i uwalany ziemią i ruszył na mojego eksmeża jak jakiś skrzydlaty stwór. Chyba dotknął stopami podłogi dopiero wtedy, gdy zaciskając dłonie na szyi Morta, zaczął walić jego głową o kontuar. Mort jakimś sposobem wyciągnął ramię i trafił Romea hakiem dokładnie w rozbity skroń.

Romeo w odpowiedzi dołożył mu kolaniem.

Niewiele bójek widziałam w życiu. Kilkakrotnie zdarzyło mi się być świadkiem szarpaniny na Harvard Square. Raz dwóch nastolatków pobito się na ulicy przed moim sklepem. Wezwałam wtedy policję. Zastanawiałam się, czy nie powinnam wezwać jej teraz. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że inteligentni, dorośli mężczyźni nadal wdają się w bójki, niemniej stałam i patrzyłam na to wszystko jak na scenę rozgrywającą się pod wodą. Sądziłam, że w walce obowiązują pewne reguły. Że są takie rzeczy, przed którymi walczący potrafią się powstrzymać. Myliłam się. Oni okładali się pięściami i szarpali. Chyba widziałam, jak Mort ugryzł Romea. Wiadro z syberyjskimi irysami potoczyło się po podłodze, a rozdeptane kwiaty zmieniły się w fioletową bryję. Runął stojak z kartkami i potłukły się doniczki z afrykańskimi fiołkami.

- Przestańcie! - wrzasnęłam. - Dość tego!

Rozdzielili się na tę krótką komendę. Zakrwawieni i poharatani, odtoczyli się od siebie, słaniając się i dysząc. Chcieli przestać. Potrzebny był im jedynie ktoś, kto by ich o to poprosił. Leżeli na podłodze pokrytej ziemią oraz szczątkami kwiatów i żaden z nich nie miał siły się podnieść. Jeszcze parę sekund, a by się pozabijali, sklep zostałby doszczętnie zrujnowany, a mnie puściliby z torbami. Podeszłam do Romea. Głowę miał wymazaną krwią. Krew sączyła się ze skroni i rozciętej wargi, a lewa ręka leżała zgięta pod nienaturalnym kątem. Wymówił moje imię i spróbował dotknąć swej twarzy, jakby chciał sprawdzić, czy cokolwiek tam jeszcze zostało na miejscu. Wokół jego głowy tworzyła się czerwona plama.

Ale większy niepokój wzbudził we mnie Mort. Na pierwszy rzut oka można by uznać, że z nich dwóch on lepiej wygląda. Krew, którą był umazany, chyba w większości pochodziła z ran Romea, ale na lewej stronie głowy wyrósł mu potężny guz, skóra na żółtym zasinieniu była błyszcząca i napięta. Nie mogłam wydobyć z niego żadnej reakcji. Na wpół świadomy,



zabełkotał coś niewyraźnie, po czym stracił przytomność. Przyłożyłam głowę do jego piersi i nasłuchiwałam, czy bije serce.

Romeo podciągnął się do pozycji siedzącej, mrużąc oczy z bólu.

- Matko Boska! - wyjęczał. - Powiedz, że go nie zabiłem.

- Nie zabiłeś - uspokoilałam go - ale dzwonię po pogotowie.

Dalej wszystko działo się jak we śnie. Co prawda, szpital znajduje się w pobliżu, niemniej odniosłam wrażenie, że załoga ambulansu wbiegła do kwaciarni, gdy tylko zdążyłam odłożyć słuchawkę. Ponieważ w trakcie rozmowy telefonicznej musiałam wyjawic, że obrażenia powstały w wyniku bójki, ludzie z pogotowia ściągnęli również policję. Niebieskie i czerwone koguty migaly przez szybę wystawy, a Ginger, właścicielka sklepu z odzieżą, sąsiadującego z moim, przyszła zobaczyć, czy mnie czasem nie zamordowano.

- Zna pani tych mężczyzn? - zwrócił się do mnie młody funkcjonariusz, gdy dwóch sanitariuszy zajmowało się Mortem, a trzeci opatrywał głowę Romea.

- Eksmąż - wskazałam. - Nowy przyjaciel.

Policjant pokiwał głową i zamknął notes.

- Tutaj mamy wstrząs mózgu - oznajmił sanitariusz Morta.

- A ten stracił dużo krwi - dodał pielęgniarz Romea. - Zabieramy ich.

Myślałam, że Romeo będzie oponował, ale on tylko zawisł na ramionach sanitariuszy i pozwolił się położyć na nosze. Bezwładnego Morta wcześniej już przypasano do wózka i teraz obaj leżeli w ambulansie ramię w ramię, jak dwaj kumple na obozie zajmujący sąsiednie prycze. Usiadłam pomiędzy nimi, żeby dopilnować, aby podczas tej krótkiej przejażdżki któryś z nich, doszedłszy nieco do siebie, nie zaczął na nowo rozrabiać.

Patrzyłam przez tylną szybę, jak umykają zabudowania Somerville, a syrena karetki wyła i buczała. Trzymałam dłonie na ich piersiach, Romeo leżał po mojej lewej ręce, a Mort po prawej. Obaj mieli zamknięte oczy i



oddychali z trudem, chrapliwie. Wiedziałam, że taka chwila, kiedy mogę im obu choć odrobinę ulżyć, więcej się nie powtórzy.

Kiedy dojechaliśmy do szpitala, byłam mocno poplamiona krwią, a przystojny lekarz najpierw pomógł mi wysiąść z karetki, a potem zapytał, czy doznałam obrażeń podczas bójki. Odpowiedziałam, że nie, choć całe moje zachowanie zdawało się temu przeczyć. Kręciło mi się w głowie i byłam oszołomiona. Czytałam gdzieś, że niektórzy ludzie potrafią się zmobilizować w sytuacjach krytycznych, a kiedy minie najgorsze, rozsypują się na kawałki. Żeby nie zemdleć na myśl o krwi Romea, musiałam usiąść z głową między kolanami. W izbie przyjęć energicznie zajęto się i Mortem, i Romeem. Sympatyczny policjant przyniósł mi papierowy kubeczek pełen zimnej wody.

- Niech pani kogoś zawiadomi - zasugerował, wskazując automat telefoniczny.

Zadzwoiłam do Sandy.

- Słuchaj uważnie - zaczęłam. Kazałam jej zadzwonić do Glorii i poprosić ją, aby popilnowała dzieci, a potem skontaktować się z Norą i razem z nią przyjechać do szpitala. - Twój ojciec wdał się w bójkę.

- Biliście się? - zapytała. - Walczyliście na pięści?

- To Romeo - rzuciłam.

Nie ma znaczenia, że będzie o tym wiedzieć albo że Nora się dowie, czy też ktokolwiek inny. Koniec. Nie ma odwrotu po czymś takim.

- Jak bardzo z nim źle? - zapytała Sandy z obawą w głosie.

- Nie ma zagrożenia życia. Kaleką też nie zostanie, ale dobrze nie jest.

- A Romeo?

- Hmm, chyba mniej więcej tak samo. Trudno powiedzieć. Muszę zawiadomić jego rodzinę. Jest porządnie poturbowany.

- Nie dzwoń do nich, dopóki nie przyjadę - doradziła rzeczowo Sandy. - Będą gotowi cię zabić.

Nie bardzo wiedziałam, jak Sandy zamierza obronić mnie przed nieuchronnym gniewem Cacciamanich, ale to ładnie z jej strony, że o mnie pomyślała. Przez kilka minut siedziałam ze słuchawką w dłoni, zanim zebrałam się w sobie na tyle, aby zadzwonić do sklepu.

- Kwiaciarnia „U Romea” - odezwał się głos. Powiedziałam, że chcę rozmawiać z Raymondem Cacciamanim. Pomimo to, że nasze spotkanie miało zdecydowanie nieprzyjemny charakter, pamiętałam, jak Romeo mówił, że z jego synów Raymond jest najbardziej zrównoważony.

- Jasne! - odpowiedział radośnie i uprzejmie głos. Odniosłam wrażenie, że w pomieszczeniu kręci się sporo ludzi. Tak jakby odbywało się tam jakieś przyjęcie. - Raaymoond!!!

W przerwie, która nastąpiła, walczyłam ze szlochem aż do chwili, kiedy w słuchawce odezwał się inny, a jednocześnie podobny do poprzedniego głos.

- Raymond Cacciamani. Odchrząknęłam, aby pozbyć się chryпки.

- Raymondzie, proszę się nie rozłączać. Doszło do pewnego wypadku i pański ojciec jest w szpitalu. Mówi Julia Roseman. - Uznałam, że tę informację najlepiej zostawić na koniec.

- W szpitalu w Somerville? - zapytał, jakby spisywał adres na dostawę zamówienia.

- Tak.

Odłożyłam słuchawkę. Ja na jego miejscu zadałabym parę pytań. Przy tak skąpej informacji mógł domniemywać, że Romeo nie żyje. Planowałam błagać Raymonda, żeby przyjechał sam. Uspokoić go, powiedzieć, że to tylko cięta rana i że wszystko będzie dobrze. Było za późno. Nie podejrzewałam, by podjęcie jeszcze jednej próby miało jakikolwiek sens.

Poszłam do dyżurki pielęgniarek, żeby się czegoś dowiedzieć.

- Jest pani krewną? - zapytała pielęgniarka, nie podnosząc głowy.

- Byłam żoną jednego i przyjaciółką drugiego.

- Właściwie dla żadnego z nich nie jest pani rodziną. Zresztą w tej chwili obaj nie nadają się do przyjmowania wizyt. Niech pani jeszcze posiedzi jakiś czas.

Opadłam na żółte plastikowe krzesło i czekałam. Czekałam na Sandy i na Norę i na wszystkich Cacciamanich. Czekałam, aby zapłacić wysoką cenę za odrobinę szczęścia.

## *Rozdział 16*

Połamany eksmaż, potłuczony kochanek, dwie rozhisteryzowane córki i cały klan rozwścieczonych Cacciamanich, oto problemy, jakim szykowałam się stawić czoło. O czym, o dziwo, zapomniałam, było spotkanie z Lilą-żoną, konfrontacja, która głęboko mną wstrząsnęła. To chyba zrozumiałe, że przy nadwątłym stanie mego umysłu Lila wypadła mi z pamięci, ale kiedy stukając wysokimi obcasami, przeszła przez automatycznie rozsuwane drzwi, puściły resztki wewnętrznego „spoiwa”, które trzymało mnie w całości. Lila Roth, druhna i panna młoda. Spotkałyśmy się już wcześniej, a właściwie minęłyśmy się na podjeździe, kiedy ona pomagała Mortowi się wynieść, a ja wyjeżdżałam, żeby na to nie patrzeć. Tamtego dnia miała na sobie dzinsy z obciętymi nogawkami i czerwoną bluzkę bez pleców, trzymającą się na obróźce. Nawet na łożu śmierci będę pamiętała tamten strój. Ja wiem, to się nazywa „przeniesienie”. Lila nie była winna niczemu, co się tego dnia wydarzyło, a jednak każda cząstka mojej osoby ją właśnie obwiniała, kiedy waląc obcasami w białe płytki posadzki, szła w moim kierunku. Tuż za nią podążała Nora.

Lila była blondynką. Może naturalną, może farbowaną. Skąd niby miałam to wiedzieć? Nie byłam jej fryzjerką. Lila była szczupła w sposób charakterystyczny dla osób obsesyjnie dbających o linię. Miała cienie na

powiekach i paznokcie pomalowane blad różowym lakierem. Do butów o odkrytych noskach nałożyła pończochy, a wybielone zęby lśniły odcieniem porcelany muszli klozetowej. Mam mówić dalej? Żaden szczegół nie umknął mojej uwagi.

- Zabiłaś go?! - To były jej pierwsze słowa skierowane do mnie. A jej oddech pachniał słodko miętą pieprzową.

- Nic mu nie będzie. - Nie miałam żadnych konkretnych danych na poparcie tego stwierdzenia.

Lila i Nora przyszyły pierwsze z całej falangi, jaka miała się zjawić. Podejrzewałam, że Sandy zadzwoniła do siostry, a sama jeszcze czekała w domu na Glorię, by zastąpiła ją przy dzieciach.

- Gdzie on jest? Co z nim zrobiłaś?

Co z nim zrobiłam?! Że niby co, wepchnęłam go do schowka?

- W tej chwili badają go lekarze.

- Lekarze! - powtórzyła. - Są przy nim lekarze.

- Tu jest szpital.

- Mamo, co się stało? - odezwała się Nora.

Jak zwykle była elegancko ubrana, ale sprawiała wrażenie mniej pewnej siebie, jakby dotarło do niej, że ponosi winę za to, co się wydarzyło.

- Twój ojciec przyszedł do sklepu i Romeo też się tam zjawił. Nie spodziewałam się żadnego z nich. Doszło do walki na pięści.

- A więc zrobił to twój amant. Sama przyznajesz! - powiedziała Lila.

- Przyznaję - odparłam.

- Noro, biorę cię na świadka - oznajmiła Lila, po czym odwróciła się do mnie. - Jak mi Bóg miły, wytoczę ci sprawę!

Nora nie najlepiej wywiązała się z obowiązku świadka. Wystukując numer na swojej komórce, oddaliła się od nas, żeby móc swobodnie porozmawiać.

Nagle naszła mnie przerażająca wizja Nory zeznającej przeciwko mnie w sądzie. Wskazuje na mnie palcem ławie przysięgłych i mówi: „To ona!”

- Nie wiem, o co dokładnie zamierzasz mnie oskarżyć. Nie mam pieniędzy. Nie uczestniczyłam w bójce.

Lili tylko na chwilę zabrakło konceptu.

- Bójka rozegrała się w twoim sklepie. To znaczy, że ponosisz za nią odpowiedzialność.

- No cóż, biorąc pod uwagę, że Mort pierwszy cisnął doniczką, równie dobrze mogłabym uznać, że ty jesteś za to odpowiedzialna, oczywiście gdyby w moim charakterze leżała skłonność do ciągnięcia ludzi po sądach.

- Ty żałosna dziwko! - syknęła Lila. - Mówiłam Mortowi, że to czyste szaleństwo lecieć z jednego końca kraju na drugi po to, by zrobić porządek z twoim romansiem. Ale on uznał, że musi ci pomóc. Chciał być dobry. I tak mu się odwdzięczasz!

- Tak mu się odwdzięczam - powtórzyłam jak echo i wtedy przypomniałam sobie o Romeo. - Nie jesteś choć trochę ciekawa, jak on się czuje? - zwróciłam się do Lili. - Nie chcesz pójść porozmawiać z lekarzem?

Lila wydała z siebie dźwięk przypominający warknięcie połączone z prychnięciem, szczerząc przy tym na mnie swe olśniewająco białe siekacze. Przez sekundę wydawało mi się, że naprawdę zamierza mnie ugryźć. Odeszła jednak, głośno tupiąc. Nigdy bym nie przypuszczała, że takie cienkie obcasy mogą narobić tyle hałasu.

- Nie rozumiem, jak mogłaś do tego dopuścić - westchnęła Nora, wracając. Odprowadziła spojrzeniem Lilę do dyzurki pielęgniarek, ale za nią nie poszła. - Alex tu jedzie. Jeżeli ona wróci do swego pomysłu z sądem, może on potrafi ją uciszyć.

Raz uderzyłam Norę, miała wtedy piętnaście lat. Wróciła do domu pijana o czwartej nad ranem, a ja całą noc spędziłam, wydzwanając na policję i do okolicznych kostnic.

Weszła przez frontowe drzwi i ruszyła prosto do swojej sypialni, nie mówiąc mi nawet „dzień dobry” po drodze. Kiedy ją zawołałam, czując ulgę i radość pomieszaną z wściekłością, kazała mi „spadać”. Uderzyłam ją otwartą dłonią w twarz, dokładnie tak, jak według wszystkich psychologów dziecięcych nie wolno uderzyć dziecka. Odtwarzałam tę scenę w myślach wielokrotnie, zastanawiając się, jak prawidłowo powinnam była postąpić, ale żadne inne zachowanie nie przychodziło mi do głowy. Poniosłam wtedy porażkę jako rodzic, jednak spoliczkowanie wydawało się jedyną logiczną reakcją na jej postępek. Tam, w poczekalni szpitala, położyłam dłoń na jej ramieniu i wycedziłam:

- Jeżeli masz ochotę spotykać się z ojcem i z jego żoną, zapraszaj ich sobie. Kupuj im bilety na samolot, mnie to nie obchodzi. Ale nigdy więcej nie konspiruj z kimkolwiek przeciwko mnie, oczekując, że ci to puszczę płazem tylko dlatego, iż jestem twoją matką. Noro, robi mi się niedobrze od ciągłego wybaczenia.

Historia o spoliczkowaniu szczególnie w tym miejscu pasuje, bo Nora zrobiła dokładnie taką samą, pełną najwyższego niedowierzania minę, jak wtedy, gdy mając piętnaście lat, stała przede mną z czerwonym śladem po mojej dłoni na policzku.

- Chciałam ci pomóc - oznajmiła. - Zadzwońłam do taty, żeby przemówił ci do rozsądku. Pan Cacciamani jest niebezpiecznym człowiekiem, jeszcze do ciebie to nie dotarło? Nadal uważasz, że jest taki fantastyczny po tym, co zrobił mojemu ojcu?

- Noro - zaczęłam, usiłując panować nad głosem - uważam, że powinnaś iść pocieszyć swoją macochę, bo jeżeli porozmawiamy chwilę dłużej, mogę powiedzieć coś, czego obie potem będziemy żałować.

I znowu te otwarte usta i niesamowicie urażona mina.

Wiedziałam, że źle postępuję, ale nie potrafiłam się powstrzymać. Nie wszystkie związki między ludźmi się udają. Nie wyszło mi z Mortem, nie



wyjdzie z Romeem. Czy możliwe, że nie osiągnę porozumienia z Norą? Czy dojdzie kiedyś między nami do takiej sytuacji, że powiem mojej córce: „Co za dużo, to niezdrowo” oraz „Żegnaj”? Już na samą myśl o tym miałam ochotę podbiec do niej i błagać o przebaczenie. I kto wie, czybym tego nie zrobiła, gdyby starczyło mi czasu.

Niech mi Bóg wybaczy te brednie, jakie zrodziły się w moim nadwątłym umyśle na temat rodziny Romea, ale kiedy wkroczyli do holu, nie mogłam się oprzeć skojarzeniom ze sceną z „West Side Story”, w której Jetowie idą ulicą Hell Kitchen, strzelając palcami, żeby wzbudzić lęk. Było ich tak wielu i wszyscy do siebie podobni. Nawet ich żony wyglądały jak siostry i chociaż już przedtem miałam okazję poznać czterech z jego synów (wliczając Tony'ego, który nadal przebywał w Ekwadorze), nie byłam w stanie ich od siebie odróżnić. To nie znaczy, że byli kropka w kropkę tacy sami, ja po prostu nie pamiętałam, który jest który. Miałam chociaż to szczęście, że nie towarzyszyła im stara Cacciamani. Zbliżyli się do mnie gromadą, szli jak taran i tak, jak byłam gotowa stawić czoło Lili i Norze, wiedziałam, że w ich przypadku się nie obronię. I kiedy już mi się wydawało, że przewrócą mnie na ziemię i zادهpczą na śmierć, wszyscy równocześnie skęcili w lewo i weszli do dyżurki pielęgniarek. Doszedł mnie szmer gorączkowo zadawanych pytań, podniesione głasy, a potem wszyscy co do jednego zniknęli za dwuskrzydłowymi drzwiami z napisem:

Wstęp wzbroniony. Wyłącznie dla personelu. I było po wszystkim.

Dwie minuty później zjawił się ojciec Al. Wydawał się zagubiony i zafrasowany.

- Al! - przywołałam go skinieniem dłoni.

Widziałam zmieszanie malujące się na jego twarzy. Próbował umiejscowić mnie w swojej parafii i dopiero po chwili skojarzył moją twarz.

- Julio, och, Julio! Jak się czujesz? Poraniłaś się? - Poglądził mnie po ręce.



Tak dobrze było mieć przy sobie kogoś, kto gładził mnie po ręce.

- Nie. Nic mi nie jest.

- A Romeo? Raymond do mnie zadzwonił. Powiedział, że doszło do jakiegoś wypadku i wspomniał też coś o tobie.

Wyobraziłam sobie owo „coś”, lecz Al był księdzem i nie wypadało mu tego powtórzyć.

- Myślę, że nic mu nie będzie. Ach, Boże, mam taką nadzieję! Czeka go parę szwów, w najgorszym wypadku ma jakieś złamanie. Romeo wdał się w bójkę z moim byłym mężem.

- Z Mortem? Przyjechał tu?

- Znasz Morta?

- Nie. Nie osobiście, ale przez te wszystkie lata tyle się o nim nasłuchiwałem, że mam wrażenie, jakbym go znał.

- Natknęli się na siebie. - Wyobrażałam sobie, jak to zabrzmiało, ale postanowiłam zostać przy tym sformułowaniu.

- A chłopcy Romea... - Al rozejrzał się nerwowo. - Już przyszli? Skinęłam głową.

- Są przy nim na sali. Nawet nie wiem, czy mnie zauważyli.

- Będą kłopoty - westchnął Al. - Romeo się z tego wyliże. Wiele razy miał zakładane szwy. W szkole był niezłym rozrabiaką. Myślałem, że już z tego wyrósł.

- Zapewne, lecz został sprowokowany.

- Zatrzymajmy to dla siebie. - Al z niepokojem spojrział na drzwi. - Powinienem tam pójść.

- Zrobisz coś dla mnie? Daj mi znać, jak się czuje. Szepnij mu, że tu jestem. Wiem, że nie pozwolą mi się z nim zobaczyć, ale nie chcę, aby myślał, że tak po prostu sobie poszłam.

- On tak nie pomyśli.

Niespodziewanie zebrało mi się na płacz i zanim udało mi się go stłumić, zdławione szlochnięcie wydarło mi się z piersi.

- Jestem gotowa z niego zrezygnować. Może to zabrzmie melodramatycznie, ale nie chcę, żeby wiecznie miał przeze mnie kłopoty z rodziną. Kocham Romea i pragnę jedynie jego dobra. Ty o tym wiesz, prawda?

Al wziął mnie w ramiona i przez minutę pozwolił mi się wypłakać w swoją czarną koszulę. Gloria zachowałaby się dokładnie tak samo, gdyby nie siedziała w domu z dziećmi. Wyprostowałam się i przeciągnęłam dłońmi pod oczyma.

- Idź - powiedziałam do Ala. - Już mi lepiej.

Skinął głową i uśmiechnął się do mnie, a potem zniknął za drzwiami, nie zatrzymując się przy dyżurce pielęgniarek, żeby zapytać o pozwolenie.

A jeżeli Romeo pomyśli, że poszłam do domu? A jeśli nawet nie wie, że jestem tu, w holu? Jedyne, czego chciałam, to wziąć go za rękę i zapewnić, że będzie dobrze. Pragnęłam dodać mu otuchy kłamstwami, że wszystko się ułoży. Jednak kiedy Mort cisnął tamtą doniczką, straciłam wszelkie prawa, jeżeli, co nagle dotarło do mojej świadomości, w ogóle je kiedykolwiek miałam.

Jako następna zjawiała się Sandy. Cała ta sytuacja zaczynała przypominać jakiś koszmarny odcinek serialu „To jest twoje życie”. Miałam wrażenie, że jeśli pobędę tu jeszcze jakiś czas dłużej, w drzwiach rozsuwanych na fotokomórkę stanie moja nauczycielka z trzeciej klasy i powie: „Zawsze uważałam, że Julia Roseman wywołuje kłopoty”.

- Jak tata? - spytała mnie Sandy.

Wyglądała szczególnie nieporządnie. Zastanawiałam się, czy zanim tu przyszła, nie pracowała w ogródku. Dżinsy na kolanach miała pobrudzone ziemią.

- Nie wiem. Nora i Lila są teraz przy nim. Obawiam się, że dla obu stron jestem persona non grata. Jak dotąd nikt się nie wyłonił, żeby mnie o czymkolwiek poinformować.

- Pytałaś?

- Właściwie nie było na to czasu. Stoję tak i nie bardzo wiem, co tu robię.

Sandy, zwykle niechętna do przejmowania inicjatywy, podeszła do pielęgniarki i zapytała o stan zdrowia Morta Rotha oraz Romea Cacciamaniego.

- Jest pani krewną? - chciała wiedzieć pielęgniarka.

Przedefilowało przed nią całe mnóstwo krewnych.

Sandy powiedziała, że tak.

- Którego z nich?

- Obydwu - stwierdziła pewnie Sandy. - Roth jest moim ojcem, a Cacciamani wujkiem.

- Oni są spokrewnieni?

- Skoligaceni poprzez małżeństwo - odparła Sandy. - Nie łączą ich więzy krwi. Nienawidzą się nawzajem.

- Najwyraźniej - mruknęła pielęgniarka. Przejrzała jakieś papiery i pokiwała głową. - Jedną chwilę - powiedziała, podnosząc słuchawkę.

- Idź do ojca - zaproponowałam. - Ja tu zaczekam.

- Czy on umrze?

- W końcu tak, ale nie od tego, co mu się dzisiaj stało.

- Więc mogę przez chwilę z tobą posiedzieć. Tata ma Lilę i Norę. To już daje pełną chatę.

Naszła mnie ochota, by ją ucałować. Zrobiłam to.

- Jak dzieciaki?

- Pełnia szczęścia. Nie chciały uwierzyć, że Gloria do nich przyjedzie.

Ma je wziąć na zakupy.

- Powiedziałaś im o Morcie?

- Pomyślałam, że najpierw sama zorientuję się w sytuacji. Nie muszą być szczegółowo informowane.

- W porządku - odezwała się pielęgniarka, odkładając słuchawkę i zapisując coś na bloczku kartek z nadrukiem „Prozac” u góry. Zastanawiałam się, gdzie mogłabym dostać parę tabletek tego specyfiku. - Pani jest tą była żoną tudzież przyjaciółką, zgadza się? - spytała, przenosząc na mnie spojrzenie.

- Zgadza się.

- Eech tam! Nic poważnego. Dużo siniaków po obu stronach. Wygląda na to, że Roth ma wstrząs mózgu oraz dwa złamane żebra. Zatrzymają go przez noc na obserwację, ale rano powinien wyjść z piekielnym bólem głowy. Cacciamanemu założono osiemnaście szwów, ma pęknięty lewy nadgarstek, jednak nie powiedzieli mi dokładnie, które kości trzasnęły, no i też ma dwa złamane żebra. Wypuszczą go stąd mniej więcej za godzinę. Czy któryś z tych facetów podniósł na was rękę?

- Absolutnie nie - odrzekła Sandy. - Przysięgam.

- Hmm, miejcie ich na oku.

Obie z Sandy przyrzekłyśmy zachować czujność, po czym zajęłyśmy miejsca na krzesłach.

- Co za dzień! - westchnęłam. - Co za fatalny dzień!

- Chcesz opowiedzieć mi, co się stało?

- Nieszczególnie.

- Zaczynałam go darzyć sympatią, czy też raczej myśl o nim.

- O Romeo?

Skinęła głową.

- No to świetnie. Bo właśnie postanowiłam z nim zerwać. Dość już tego. To wszystko nikomu nie jest potrzebne. Moja miłość może go wykończyć, a ja

bym tego nie zniosła. - Czułam, że jeszcze chwila, a znów się rozpłaczę. - Idź tam, zobacz, czy ojciec się ocknął - powiedziałam, wskazując na drzwi.

Mort po raz kolejny zrujnował mi życie, a mimo to nie potrafiłam wyzbyć się poczucia winy za jego obecny stan. Gdyby nie ja, nie leżałby teraz cały pokiereszowany. Naturalnie, należałoby zacząć od tego, że gdyby nie on, ja nie umawiałabym się na randki. Sandy wydobyła się z fotelika.

- Za minutę jestem z powrotem.

- Nie śpiesz się - powiedziałam. - Nigdzie się nie wybieram.

Mogłoby się wydawać, że nerwy powinny mi grać jak przewody wysokiego napięcia, a tymczasem ogarnęło mnie takie znużenie, że najchętniej wyciągnęłabym się na krzesłach i zapadła w letarg. Zapewne zauważyliby mnie za dzień lub dwa, przydzielili pokój i podłączyli do kroplówki z glukozą. Nie wyobrażałam sobie powrotu do pracy ani do domu. Szpital wydawał mi się idealnym miejscem do rozbicia obozowiska.

Po poczekalni kręciła się ładna dziewczyna o długich czarnych włosach, z bordowym szalikiem owiniętym kilkakrotnie wokół szyi, sprawiając wrażenie osoby zupełnie zagubionej. Przystawała to tu, to tam i pytała ludzi o coś, czego nie mogłam dosłyszeć. Ludzie w odpowiedzi kręcili głowami, a ona podchodziła do następnej grupki. Dziewczyna wyglądała jak cygańska księżniczka z klasycznego filmu o cygańskiej księżniczce. Miała właśnie takie ogromne, nostalgiczne oczy i coś wyjątkowego w postawie. Kiedy ruszyła w moją stronę, wpatrywałam się w nią jak w obraz.

- Pani Roseman?

Podniosłam na nią oczy i przytaknęłam zmrużeniem powiek.

- Jestem Patience Cacciamani.

- Plummy?

Kiwnęła głową. Na wszystkich palcach nosiła delikatne złote pierścionki, a jedno ucho miała przekłute w trzech miejscach. Akurat u niej

to nie raziło. Bez trudu można by ją sobie wyobrazić jako postać na fresku albo marmurowy posąg w Muzeum Gardnera.

- Tata prosił, abym pani przekazała, że nic mu nie jest. Kazał wszystkim wyjść z sali, żeby porozmawiać ze mną na osobności. Chce wiedzieć, czy pani się dobrze czuje. - Wpatrywała się we mnie przez chwilę, a ja nie byłam pewna, co powinnam odpowiedzieć. - Nic pani nie jest?

Nie pojmowałam, dlaczego ze mną rozmawia. Ten fakt wprowadził mnie w takie zdumienie, że ledwo docierały do mnie jej słowa.

- Nic mi nie jest.

Usiadła na krześle Sandy.

- Proszę mi nie mieć tego za złe, ale nie wygląda pani najlepiej.

- Wcale nie mam za złe.

- To śmieszne, że musiałyśmy się spotkać w takich okolicznościach.

Chciałam panią poznać, ale przez myśl by mi nie przeszło, że stanie się to w taki sposób.

- Chciałaś mnie poznać?

- Jasne - przytaknęła. - Tata oszalał na pani punkcie.

- A co na to twoi bracia?

Machnęła lekceważąco ręką, gestem zapożyczonym od ojca.

- To idioci. Nie, właściwie nie są głupi. Każdy z osobna jest dobrym chłopakiem, ale kiedy zbiorą się razem, zmieniają się w stado, no nie wiem, bawołów czy czegoś w tym rodzaju.

Tą uwagą zmusiła mnie do uśmiechu.

- Tak naprawdę nie zrobiliby pani krzywdy, mam nadzieję, że pani o tym wie, ale chyba pani nienawidzą. Nie chcę być niegrzeczna, niemniej uważam, że powinniśmy rozmawiać szczerze.

Nie pojmowałam, skąd u tego dziecka tyle rozsądku. Sprawiała, że nabrałam ochoty, aby stąd wyjść i dać sobie zrobić po kilka dziurek w uszach.

- Całkowicie się z tobą zgadzam. Opowiedz mi o ojcu.

Wpatrzyła się w głąb poczekalni, jakby w ten sposób chciała przywołać jego obraz, żeby zdać mi dokładną relację, nie pomijając żadnych szczegółów.

- Szwy tutaj. - Przesunęła palcem po skroni, a ja zobaczyłam, jak w tym miejscu ląduje doniczka. - I tu. - Dotknęła wargi. - Złamał nadgarstek, ale poszła tylko jedna mała kostka, no i ma dwa pęknięte żebra. - Położyła dłoń pod piersią i przycisnęła ją do żeber. - Nieźle się musieli bić.

- Porządnie się pobili.

- A jak ten drugi facet, pani eks?

- O ile mi wiadomo, ma wstrząs mózgu. Chcą go potrzymać przez noc.

- To dobrze. Nie cieszy mnie, że odniósł kontuzję, ale dzięki temu wszyscy chłopacy uznają, że tata wygrał. On nie musi zostać na noc.

- To dobrze.

- Nie rozumiem, dlaczego mężczyźni muszą się bić. Kobiety czegoś takiego nie robią.

Skinęłam głową.

- Moja rodzina ma jakieś zapiekle zale do pani rodziny. Myślę, że wszyscy powinni wyzbyć się gniewu.

- W takim razie już jest nas dwie.

- Hmm, polubiliście się z tatą. To dobry początek, nie sądzi pani?

- Tak myślałam - odparłam - ale teraz wszystko się nieco skomplikowało.

Pokiwała głową i posłała mi smutny uśmiech, jaki widuję na twarzach posążków Madonny, których pełno jest w naszym mieście.

- Też tak mi się wydaje. - Rzuciła okiem na dwuskrzydłowe drzwi. - Chyba powinnam wracać. Wkrótce tatę wypiszą. Mamy podjechać przed wejście, żeby go odebrać. Miło mi było panią poznać.

- Mnie również. Przekażesz tacie, że mam nadzieję, iż szybko wróci do zdrowia?

Och Romeo, Romeo! Jedyne, czego pragnęłam, to wziąć go w ramiona.



- Przekażę - obiecała.

Nachyliła się nade mną. W pierwszej chwili pomyślałam, że chce mnie pocałować, ale ona tylko pogładziła mnie wierzchem dłoni po policzku.

- Powinna pani odpocząć.

Nie zdążyła odejść nawet na dwa kroki, gdy do poczekalni zaczęła wylewać się cała liczna rodzina Cacciamanich.

- Plummy! - wrzasnął olbrzym. - Do jasnej cholery! Trzymaj się od niej z daleka!

- Zamknij się, Joe! - odpowiedziała obojętnym tonem.

Zbliżali się do mnie zwartą grupą.

- Myślałem, że jasno się wyraziłem - powiedział Joe, celując we mnie palcem. Twarz miał czerwoną i dyszał ciężko. Pomyślałam, że gdyby w tej chwili dostał zawału, to też byłaby moja wina.

- Joe - zaczęła Plummy - chcesz, abym sprowadziła tatę? Mam go wwieźć tutaj, żeby zobaczył, w jaki sposób rozmawiasz z panią Roseman?

- Zamknij się! - powiedział olbrzym do siostry.

Podeszła do niego. Okazała się wyższa, niż mi się z początku zdawało. Jej twarz znalazła się niemal na wysokości jego twarzy.

- Nie. To ty się zamknij, Josephie - mówiła, nie podnosząc głosu. - Ludzie ci się przyglądają. Wyrzucą cię ze szpitala. Zostaw panią Roseman w spokoju, dobrze? To właśnie tato kazał mi powiedzieć. Zostaw ją w spokoju albo, jak mi Bóg miły, pożałujesz.

Chciałabym być tą dziewczyną. W życiu nie miałam choćby uncji jej pewności siebie. Joe spojrział na mnie jeszcze raz.

- Puszczę cię z torbami - zagroził, znowu celując we mnie wskazującym palcem. Potem odszedł, a za nim podążyła reszta.

Plummy podniosła na mnie wzrok i wzruszyła ramionami.

- Nie przejmuj się nim - wyczytałam z ruchu jej warg. Głośno dodała promiennym tonem: - Do widzenia, pani Roseman! - Po czym dołączyła do swoich krewniaków i podążyła za nimi do wyjścia.

## *Rozdział 17*

To był czas próby dla naszej rodziny. Nie wracaliśmy do oskarżeń, jakie padły w szpitalu. Po południu tamtego dnia, kiedy Mort opuścił oddział i wrócił do Nory, zawarliśmy cichą umowę, że będziemy dla siebie mili. Dla dobra Morta, ze względu na jego potworny ból głowy, unikaliśmy napięć i starć. Nawet gdy nie znajdowaliśmy się w jego pobliżu, nie kłóciliśmy się, niejako w dowód wdzięczności za to, że sprawy przyjęły w miarę pomyślny obrót. Niemniej wszyscy wiedzieliśmy, że ten układ jest jak piramida ze szklanych kulek balansująca na pajęczynie. Każde z nas poruszało się powoli i z przesadną uprzejmością. Przez niemal tydzień nie odwiedzałam Nory, aby nie zmącić harmonii.

- Julio, napij się kawy? - zapytała mnie Lila. - Zrobię ci. To żaden kłopot.

- Och nie, dziękuję. - Stałam na stopniach przed domem Nory, trzymając naczynie z zapiekanką. Makaron i ser. Własnoręcznie zrobiona. Cztery rodzaje sera. Skrzętnie strzeżona tajemnica kulinarna mojej matki. Ulubione danie Morta. Nie miałam wątpliwości, że wyląduje w koszu, zanim zdążę uruchomić samochód.

- Nie chcesz zająć i zamienić parę słów z Mortem?

Zaproszenie zabrzmiało, jakby je wyśpiewała. Nie chcesz z-a-a-jść i zamienić parę sł-ó-ó-w z M-o-o-r-tem?

Rzeczywiście, chciałam się z nim zobaczyć. Nie potrafię dokładnie powiedzieć, czemu. Być może dlatego, że od bójki nie mogłam się oprzeć

wrażeniu, że wszystko na świecie uległo zmianie, i byłam ciekawa, czy on czuje podobnie.

- Niech odpoczywa - powiedziałam, bo tego wymagała grzeczność, a poza tym wiedziałam, że właśnie to Lila pragnie usłyszeć. - Jeżeli zechce się ze mną za jakiś czas spotkać, z przyjemnością do was zajrzę. Jak on się miewa?

- Och, lekarz uważa, że błyskawicznie dochodzi do siebie. Kiedy wyzdrowieje, nawet nie będzie pamiętał, że odniósł jakieś obrażenia. Opuchlizna na twarzy znacznie się zmniejszyła. Tak naprawdę dokuczają mi tylko zębra. Jest trochę obolały. Już niedługo powinniśmy wrócić do domu.

Lila uśmiechnęła się do mnie, mimo że w pobliżu nie było nikogo, kto mógłby to zobaczyć. Odwzajemniłam uśmiech. Takie byliśmy dla siebie miłe!

- To ty, mammo?! - zawołała Nora.

- Podrzuciłam wam zapiekanke!

- O, jak to miło z twojej strony. Zajdziesz?

Nora, w połyskliwych czarnych legginsach i wyprasowanym białym podkoszulku, wychodziła na gimnastykę.

- Muszę iść do pracy. Przekaż Mortowi, iż mam nadzieję, że szybko wróci do zdrowia.

Zaznaczam, powiedziałam „Mortowi”, a nie „twojemu ojcu”, aby Lila nie poczuła się poza nawiasem. Zeszłam po schodkach, odwróciłam się i pomachałam Norze na pożegnanie. Ach, jaką ładną grupę tworzyłyśmy!

Z Romeem nie rozmawiałam od tygodnia. Wysłałam mu kartkę z życzeniami powrotu do zdrowia - kto wie, czy ją w ogóle dostał? Przysłał mi wiadomość, że się ze mną skontaktuje, jak tylko „opadnie pył”. Ale ten pył przypominał piasek Sahary, co wiruje w powietrzu przez trzysta sześćdziesiąt pięć dni w roku i nigdy nie opada nawet na sekundę. Potem dzień po dniu dostawałam od niego liściki, w których zapewniał, że kocha i że tęskni. Żartował, iż coraz lepiej wychodzi mu pisanie listów i że miał szczęście,

łamiąc lewy nadgarstek. Siedziałam na łóżku, czytałam te listy i płakałam bez końca. Przez mnie miał zrujnowane życie, był skłócony z rodziną i został pobity, a przecież nie robi się takich rzeczy komuś, kogo się kocha tak mocno jak ja Romea. Oboje zdawaliśmy sobie sprawę, że najlepszym rozwiązaniem byłoby się rozstać. Zrozumiałam, jak bardzo go kocham właśnie wtedy, kiedy wiedziałam, że muszę od niego odejść.

Nie rozmawiałam o Romeo, chociaż ani na chwilę nie schodził mi z myśli. Byłoby to niezgodne z Genewską Konwencją Dobrych Manier. Sandy obchodziła się ze mną jak z jajkiem, jakbym gasła na jakąś śmiertelną chorobę. W sklepie pracowała gorliwiej, w domu i w szkole też. Załatwiała opiekunki do dzieci, a w lodówce czekały na mnie gotowe posiłki. Wiezorami zabierała Tony'ego i Sarę do Morta i wszystkie jej doniesienia brzmiały entuzjastycznie. „Wygląda świetnie” - mówiła. - „Trudno poznać, że był kontuzjowany”.

Wyobrażałam sobie, że podobnie ma się sprawa z Romeem. Wierzyłam, że wszyscy poza mną dochodzą do siebie.

Gloria pomagała mi i w domu, i w sklepie. Nawet kupiła sobie parę ciuszków, które według niej dobrze prezentowały się w kwaciarni - spodnie z surowego lnu, wiązane sznurkiem w pasie, oraz luźny lniany żakiet ze wzorem w malutkie kapustki. Z wyglądu bardziej przypominała kwaciarkę niż ja. Wieczorem w dniu bójki Gloria pojechała do sklepu z zapasowym kompletem kluczy i dokładnie go wysprzątała. Pozbierała wszelkie dowody rzeczowe do plastikowych worków i wyniosła je na śmietnik.

- Nie możesz tak dalej dla mnie pracować - oponowałam. - To za wiele.

- Kiedy mi się to podoba - upierała się. - Nic nie robię, odkąd wyszłam za Buzza.

Buzz był właścicielem firmy ubezpieczeniowej.

- Naprawdę nic mi nie jest. Wszyscy tak się zachowujecie, jakbym to ja wylądowała w szpitalu.

- No cóż, praktycznie rzecz biorąc, byłaś w szpitalu. Poczekałnia jest na terenie szpitala. To wywarło na tobie swoje piętno. - Odstawiła wiadro z gipsówką. - Julio, musisz do niego zadzwonić. Musicie sobie wszystko wyjaśnić.

- Nie ma czego wyjaśniać - odparłam. - Zupełnie nie ma.

- On cię kocha.

- Rujnuję mu życie. Dłużej tego robić nie będę.

Dalej chodziłam jak we śnie. Tak wiele czasu spędzałam na myśleniu o rzeczach, o których nie powinnam była myśleć, że w ogóle nie dostrzegałam, co się wokół mnie dzieje. To Gloria ściągnęła mnie na ziemię po paru dniach.

- Julio?

- Uhm?

- Nie mamy kwiatów.

- Tak?

- No wiesz, to jest kwaciarnia i ludzie przychodzą po kwiaty, a my nie mamy świeżego towaru. Kwiaty dobrze nam schodzą, ale nowych nie przybywa.

- Co?

Położyła mi ręce na ramionach i obróciła tak, abym patrzyła jej prosto w twarz.

- Nie mamy kwiatów!

Wciągnęłam powietrze przez nos. Przy paru głębszych wdechach potrafiłam w miarę dokładnie określić stan posiadania. Gloria miała rację. Zostało nam trochę goździków, kilka liści paproci i wiadro ogrodowych gladioli.

- O mój Boże!

- Nie chciałam ci o tym mówić. Myślałam, że sama zauważysz.

Sądziłam, że będzie dostawa.

Przyszedł mi na myśl Mort. „Złap za słuchawkę i nawymyślaj, komu trzeba” - powiedział.

Biegiem ominęłam Glorię i siadłam przy biurku. Zadzwoiłam pod pierwszy numer, ale nie było tam nikogo, komu mogłabym nawymyślać. Recepcjonistka poprosiła, żebym zaczekała, i trzymała mnie na linii przez piętnaście minut. Gdy ponownie się połączyłam, znowu kazała mi czekać. Za trzecim razem odłożyła słuchawkę. Mój drugi dostawca okazał się na tyle szarmancki, że zanim się rozłączył, poinformował mnie, iż zamówienie zostało anulowane. Wydzwaniałam do ludzi, z których usług korzystałam okazjonalnie, lecz za każdym razem dowiadywałam się, że już nie zaopatrują mojej dzielnicy. Dzwoniłam do firm, z którymi nigdy przedtem nie kooperowałam, i dostawałam informację, że nie otwierają nowych rachunków. Zatelefonowałam do hurtowni, ażeby potwierdzić zamówienie na tysiąc gardenii na ślub w przyszłą sobotę, a tam powiedziano mi, że nie mają w swoich dokumentach takiego zamówienia. Gdziekolwiek się zwracałam, waliłam głową w mur. Ten mur stawał się coraz wyższy i solidniejszy i coraz ciaśniej mnie otaczał.

- Jak bardzo jest źle? - zapytała Gloria.

- Beznadziejnie.

- Beznadziejnie jak totalna klęska czy jak Cacciamani?

- To drugie.

- Musisz do niego zadzwonić! - naciskała. - Ja zadzwonię. On by na to nie pozwolił. Nic o tym nie wie.

- Niewątpliwie masz rację - odrzekłam. - Ale ponieważ to nie Romeo maczał w tym palce, nie będzie również mógł tego odkręcić. Joe prowadzi przedsiębiorstwo przewozowe. Jego macki sięgają do firm aż po Idaho. - Rzuciłam ołówek na biurko. - To plajta! - oznajmiłam. - Po prostu, koniec!

- Nie! - zaprotestowała Gloria. Miała łzy w oczach. Bardzo się przejęła, tak jak ja bym się przejęła, gdybym była w stanie trzeźwo ocenić sytuację. - Musisz walczyć!

- Nie potrafię - wyznałam. - Nie mogę bez końca się szarpać. Przegrałam. Osobiście się do tego przyczyniłam. To, co się stało, jedynie wieńczy dzieło.

Gloria usiadła na podłodze, chowając głowę między kolana.

- Niedobrze mi.

- To jest nas dwie.

Wywiesiłam na drzwiach tabliczkę z napisem: Urlop. Musiałam ją naprędce wypisać. Nigdy nie zamykałam sklepu z powodu urlopu. Potem nagrałam wiadomość dla narzeczonej od gardenii. Biedna panna młoda!

Zamierzałam powiedzieć Sandy o tym, co się stało, zaraz po powrocie do domu, ale akurat wychodziła z dziećmi do Nory.

- Tata naprawdę dobrze się czuje - poinformowała mnie. - Razem z Lilą lecą jutro rano do domu. Idę się pożegnać. Zabierzesz się z nami? Wiem, że chciałby się z tobą zobaczyć. Pytał o ciebie setki razy.

Następnego dnia była niedziela. Nie musiałam mówić jej o sklepie już teraz.

- Nie wiem, kochanie. Chyba lepiej, jeśli podaruję sobie tę wizytę.

- Zabierz się z nami! - prosiła Sara i uniosła ramionka, żeby ją wziąć na rękę. Sara nie przepada za chodzeniem gdziekolwiek. Podniosłam ją.

- Pożegnajcie go ode mnie, dobrze?

- Poszłabyś, gdyby Lili tam nie było - skomentował Tony.

- Chyba nie. Jestem dziś potwornie zmęczona. - Ucałowałam dzieci i pomogłam im ubrać kurteczki. - Sandy, poproś Norę, żeby zajrzała do mnie jutro po drodze z lotniska. Chciałabym z nią porozmawiać.

- Jeszcze jedna narada rodzinna? - zapytała podejrzliwie.



- Niekoniecznie, po prostu wydaje mi się, że trochę się pogubiłam.  
Powiedz jej, żeby rano do mnie zajrzała.

Kiedy wyszli, zrobiłam sobie w mikrofalówce dużą torebkę popcornu na kolację. Usiadłam na blacie kredensu ze skrzyżowanymi nogami i żułam pojedyncze ziarenka, popijając je białym winem. Gdy wysuszyłam butelkę, położyłam się do łóżka i od razu zasnęłam.

Była dziesiąta, kiedy zadzwonił telefon, na moment zapalając we mnie iskierkę nadziei. Ale to był Mort.

- Jula? Słyszysz mnie?

- Jasne - odparłam. - Dlaczego szepczesz?

- Sandy z dziećmi wyszła przed chwilą i wszyscy kładą się spać. Jestem na dole, w kuchni. Powiedziałem Lili, że mam ochotę na szklanekę mleka.

- Przecież ty nie znosisz mleka.

- Ona o tym nie wie. Posłuchaj, Julio. Przepraszam, że się z tobą nie pożegnałem. Zdaje się, nie najlepiej nam wychodzi kończenie różnych spraw.

- Hm, chciałam ci powiedzieć, że było mi przykro z powodu twojej głowy. Uważam, że w dużej mierze sam jesteś sobie winien, ale gdyby nie ja, nie doszłoby do tego.

- Rzuciłem doniczką w tego faceta.

Ze zdumienia odebrało mi mowę. Jego słowa zabrzmiały nieomal jak przyznanie się, a to nie było w stylu Morta.

- Jesteś tam? - zapytał.

- Jestem.

- Wiesz, miałem sporo czasu na myślenie, nawet przy tym wstrząśniętym mózgu i całej reszcie. Od operacji pęcherzyka żółciowego nie miałem zbyt wiele czasu na refleksje.

- O czym tak myślałeś?

Teraz z kolei Mort zamilkł, ale to ja leżałam w łóżku po ciemku, więc mogłam poczekać.

- Dobrze było znaleźć się tu z powrotem. Spotkać się z dziewczętami, zobaczyć Tony'ego i Sarę. Masz ich ciągle przy sobie, więc pewnie nawet nie dostrzegasz, jacy są cudowni.

- Dostrzegam.

- Myślałem, że gdyby lepiej się między nami układało, byłoby mi zrzęcniej się z nimi widywać. Nie musimy ciągle ze sobą walczyć, prawda?

Zgodziłam się, że nie musimy.

- To świetnie, Jula. Równa z ciebie babka. A jeśli chodzi o Cacciamanich...

- Nawet nie zaczynaj tego tematu.

- Nie, ja to muszę powiedzieć. Uważam, że ten facet to dupek, ale to już twoja sprawa. Każdy ma prawo zmarnować sobie życie, no nie?

Sandy musiała popracować nad nim, kiedy leżał osłabiony. Ta wypowiedź przypominała mi jej sposób rozumowania.

- Nie przejmuj się, Mort. To już skończone. Nikt nie wychodzi cało z takiej bójki.

- Ja wyszedłem - oznajmił.

- No cóż. Widocznie jesteś twardszy niż reszta z nas. Usłyszałam, jak Sandy z dziećmi wchodzi do domu kuchennymi drzwiami.

- Ćśśś, cichutko - uciszała je. - Nie obudźcie babci.

- A co do sklepu - zaczął Mort, a mnie zamarło serce - zdążyłem sporo zrobić, zanim doszło do bójki, jednak musisz skontaktować się z księgowym. Ja pokryję koszty. Wiem, że sobie tego nie życzysz, lecz ten sklep wiele dla mnie znaczy. Nie chcę, żeby przepadł tylko dlatego, że nie wiesz, co robisz.

Oczy napęłniły mi się łzami. Prędzej czy później Mort dowie się prawdy od którejś z dziewcząt. A dzisiaj niech prześpi spokojnie noc, niech nie bierze Romea za ostatniego łajdaka, niech wsiądzie jutro do samolotu do Seattle.

- Dobrze - zgodziłam się.

Zapomniałam opuścić żaluzje i teraz patrzyłam na delikatne, wiosenne listki na drzewach wysrebrzone poświatą księżycą. Były piękne.

- Nie oceniam cię źle, wykonałaś niewątpliwie sporo dobrej roboty.

Utrzymujesz sklep na poziomie. Masz piękne kwiaty. Tylko ta księgowość...

- Rozumiem.

- Muszę wracać - wyznał. - Jeszcze mnie znajdą na dole. Nie spuszczają mnie z oka. Można by pomyśleć, że jestem jakimś zgrzybiałym starcem.

Łzy potoczyły mi się po policzkach.

- Dobranoc, Mort - powiedziałam.

- Dobranoc, Jula.

Kiedy otworzyłam oczy i spojrzałam na zegar, wskazywał dziesiątą trzydzieści, a sypialnia była skąpana w słonecznym świetle. Odkąd skończyłam podstawówkę, nigdy nie spałam do wpół do jedenastej! Wychyliłam się z łóżka i spojrzałam na zegarek na nocnym stoliku, bo wydawało mi się, że zegar ścienny źle chodzi, ale niestety, chodził dokładnie. Wstałam, umyłam zęby i ubrałam się. Była niedziela, więc dzieci oglądały kreskówki na dole.

- Nie nastawiliśmy głośniej, żeby cię nie obudzić - pochwalił się Tony.

Pomachałam im i poszłam do kuchni. Nora siedziała z Sandy przy stole, piły kawę i rozmawiały.

- Boże, ale zasnęłam! - Potarłam twarz dłońmi. - Przepraszam, że kazałam wam na siebie czekać. Trzeba mnie było obudzić.

Nora zaprzeczyła ruchem głowy. Wyglądała na szczęśliwą, jakby przeszłość była czymś, co łatwo się zapomina. A może była zwyczajnie zadowolona, że pozbyła się gości.

- Dopiero co przyjechałam z lotniska, a poza tym należał ci się wypoczynek.

- Żadnych problemów z odlotem? - Nalałam sobie filiżankę kawy i dosiadłam się do nich.

- Najmniejszych. Tata się nawet awanturował, że sam chce nieść swoją walizkę.

- To dobrze - powiedziałam. - Bardzo dobrze.

- Życie wraca do normy - zauważyła Nora i w odruchu zupełnie dla siebie nietypowym wyciągnęła rękę i uścisnęła mnie za nadgarstek.

Patrzyłam na moje obie córki, te mądre, ładne dziewczyny, które kochałam nawet wtedy, gdy doprowadzały mnie do szaleństwa. Chciałam je zapamiętać w tym ostatnim momencie ciszy przed burzą, która za chwilę się rozpęta.

- Nie całkiem - powiedziałam.

Obie, postawione jak na komendę, filiżanki równocześnie zadzwoniły o stół.

- Wiedziałam - odezwała się Sandy.

- Chodzi o kwaciarnię - oznajmiłam powoli, bo nie miałam ochoty powtarzać wszystkiego jeszcze raz. - Krótko mówiąc, mamy poważne problemy.

- Co się dzieje? - zapytała Sandy.

Te trzy słowa zadudniły jak łomot ciężkich kamieni o ścianę budynku.

- Odcięto nas od kwiatów. Obdzwoiłam wszystkich dostawców, jacy mi tylko przyszli na myśl. Nikt nie chce nas zaopatrywać.

- Jak to możliwe? - zdziwiła się Nora.

- Cacciamani - orzekła Sandy. - Zrujnowali nas. Wypchnęli z rynku.

- Tego nie wiem - powiedziałam.

- Ale tak jest, prawda? - Sandy wstała od stołu, podeszła do drzwi i zamknęła je, aby Tony i Sara nie mogli nas słyszeć. - Wiesz, co się stało? Zapewne się domyślasz?

- Domyślam się.

Tego bym się nie spodziewała. Sandy była gotowa cisnąć kuchennym stołem w okno, natomiast Nora siedziała spokojnie ze wzrokiem utkwionym w kawie.

- Poradzimy sobie! - zawołała Sandy. - Nie damy się! Choćbym miała codziennie rano jeździć po kwiaty do New Hampshire. Nie dopuścimy do zamknięcia kwiaciarni!

- Sama nie wiem.

- Ale ja wiem! - odparła Sandy, uderzając pięścią w stół. - Cholera, mamo! Weź się w garść! Musisz podjąć walkę!

- Nie musimy z nimi walczyć - oznajmiła Nora, upijając łyk kawy. - Już wygrałyśmy.

Sandy znieruchomiała i spojrzała na siostrę. Nerwowym gestem założyła włosy za uszy.

- Jak to wygrałyśmy? - spytałam.

Nora nie zachowała się wyniośle. Muszę jej to uczciwie oddać. W tonie jej głosu nie było nutki samozadowolenia. Po prostu wyłożyła suche fakty, jak w przypadku każdej transakcji, jaką zawierała. Moja starsza córka jest profesjonalistką i kobietą interesu. Czasami o tym zapominam.

- Kupiłam budynek Cacciamanich. Przejrzałam księgi hipoteczne. Okazuje się, że oni nigdy nie mieli do niego tytułu własności. Wynajmowali go przez te wszystkie lata. Mieli bardzo korzystną umowę. Klasyczną dla Somerville, gdzie właściciel niejako zapomina o podnajemcach i w ogóle nie podnosi czynszu.

- Kupiłaś budynek? - wyjąkała Sandy, opadając na krzesło.

- Wczoraj wysłałam im zawiadomienie o eksmisji. Dostali dwa tygodnie na wyprowadzkę. Jak podejrzewam, nie zgromadzili żadnych oszczędności. Mają na to za dużo dzieci. Nigdzie nie znajdą drugiego lokalu z tak niskim czynszem. Potkną się, padną i już się nie podniosą.

- Jezu! - jęknęła Sandy. - Mam nadzieję, że nigdy nie nadepnę ci na odcisk.

- To są interesy - oznajmiła Nora.

Słuchałam jej wywodu i, o dziwo, nie czułam do niej gniewu. Jeżeli potrafiłam zrozumieć motywy, jakimi kierował się Joe Cacciamani, próbując doprowadzić mnie do ruiny, musiałam zaakceptować logikę Nory, nakazującą jej zniszczyć Romea. Musiało do tego dojść. Bo właśnie tacy byliśmy.

- Zbierajcie się! - zarządziłam. - Weźcie dzieci i wsiadajcie do samochodu.

- Dokąd jedziemy? - zapytała Sandy.

- Do Cacciamanich.

- Ja nie jadę - oświadczyła spokojnie Nora i objęła obiema dłońmi filiżankę, jakby chciała się do niej przytwierdzić.

- Wszyscy pojedziemy - powiedziałam z naciskiem. - Wszyscy co do jednego. To jest ostatni dyktat, jaki wydaję z pozycji matki. Jedziesz z nami.

Nora siedziała przez chwilę, rozważając w myślach moje polecenie. Sądziłam, że dojdzie między nami do kłótni, ale ona podeszła do zlewu i opłukała filiżankę.

- Niech będzie - powiedziała, wycierając ręce.

- Dlaczego musimy tam jechać?! - zawołał Tony z pokoju.

- Bo nie ma w domu nikogo dorosłego, kto by was przypilnował - wyjaśniła Sandy.

- A kim są ci ludzie?

- Kimś w rodzaju znajomych babci - odparła.

## Rozdział 18

Somerville, podobnie jak Rzym, zbudowano na siedmiu wzgórzach. Mój dom znajduje się na Spring Hill, a Romea na Winter Hill. Byłam u niego tylko raz, wiele lat temu, gdy rozgrywała się ta historia pomiędzy Sandy i Tonym. Doszło wtedy do dwóch spotkań, jedno odbyło się u nas w domu, a drugie u nich. Cacciamani mieszkali na Marshall Street. Dokładnie to zapamiętałam.

- Co zamierzasz im powiedzieć? - zapytała Nora.

Ponieważ zaparkowała na podjeździe za moim samochodem, wzięliśmy jej auto, ona kierowała, a ja siedziałam obok i wskazywałam drogę. Sandy, Tony i Sara jechali na tylnym siedzeniu.

- Chcę im po prostu oznajmić, że to koniec. Dość wojny i podchodów. Rodzina Rosemanów oficjalnie wycofuje się z gry.

- A co z domem? Transakcja została dokonana. Nie mogę tego cofnąć.

- To go im wynajmiesz. Dasz w prezencie. Nie wiem. Sama coś wymyśl. Chcę, aby nasza rodzina zachowała się na poziomie. Jesteśmy porządnymi ludźmi.

Zrobiło mi się lekko na duszy. W Somerville irysy i piwonie kwitły jak oszalałe. Nagle wszystko wydało się takie proste. Może nie spełnią się nasze najskrytsze pragnienia, ale przynajmniej wszyscy zachowamy się przyzwoicie. To jedyne rozwiązanie.

Sandy jechała w milczeniu. Tony odczytywał Sarze wszystkie drogowskazy. Sandy na pewno bywała w tamtym domu. Zapewne wślizgiwała się po ciemku przez drzwi do ogrodu lub otwarte okno.

Na Marshall Street kazałam Norze zwolnić. Przyglądałam się domom.

- To tamten na lewo - odezwała się Sandy. - Ten z balonikami na skrzynce do listów.



- Baloniki! - podchwyciła Sara. Miała bzika na punkcie balonów.

- Może się nas spodziewają - zauważyła Nora.

Najwyraźniej u Cacciamanich odbywało się jakieś przyjęcie. Musieliśmy objechać cały kwartał, żeby znaleźć miejsce do parkowania.

- Nie mogłybyśmy później tego załatwić? - zapytała Nora. - Kiedy nie będą mieli gości? - Wrzuciła wsteczny bieg i usiłowała się wpasować w ciasne miejsce między samochodami.

- Nigdy tu nie wrócimy. Masz rację, chwila jest niezbyt odpowiednia, ale uważam, że albo teraz, albo nigdy.

Nawet jeżeli miałyśmy zakłócić jakąś uroczystość, robiłyśmy to w imię pokoju. Będą szczęśliwi, kiedy się dowiedzą, że nie utracą sklepu. Już sam ten fakt zrekompensuje naszą obecność na ich przyjęciu.

- „Nigdy” nie byłoby najgorszym wyjściem - mruknęła Nora.

- Mamy jakiś prezent? - chciał wiedzieć Tony.

- W pewnym sensie - odparła Nora, otwierając swoje drzwi. - Nazywa się nieruchomości.

Sandy, Nora i ja szłyśmy powoli wzdłuż ulicy, a dzieci podbiegały do przodu i wracały do nas.

- Szybciej! Chodźcie! - wykrzykiwały, zakładając, że tam, gdzie są balony, zazwyczaj jest również ciasto. Sądziłam, że mamy marne szanse, żeby je spróbować.

Dom był dwupoziomowy i składał się z czterech segmentów. Tak go zaplanowano, by mógł pomieścić liczną katolicką rodzinę. Na jednych drzwiach wisiał wieniec upleciony z samych różowych i białych róż. Był bezpretensjonalny, a przy tym przeuroczy. Poznałam rękę Romea. Kiedy podchodziłyśmy do drzwi, serce ze sto razy podskoczyło mi do gardła i opadło z powrotem do żołądka.

- Sama nie wiem - powiedziała cicho Sandy.

- Dzięki ci - odezwała się Nora.

- Wchodzimy czy nie? - niecierpliwił się Tony.

Wybiegł do przodu, trzykrotnie nacisnął dzwonek, po czym wrócił i schował się za nami. Gdyby ktoś zobaczył nas, stojące na chodniku jak wryte, pomyślałby, że Tony wyciągnął zawleczkę z granatu.

- Mamo - odezwała się Nora - jeżeli usiłujesz dać mi lekcję na temat odpowiedzialności za własne uczynki, to już ją pojęłam. A teraz zróbmy w tył zwrot i weźmy nogi za pas.

Już byłam gotowa na to przystać, gdy śniady, młody mężczyzna, którego nie rozpoznałam, z rozmachem otworzył drzwi. Na głowie miał papierową czapkę ze sterzącą na czubku cyfrą: 90. Nosił brodę, ubrany był w szorty i podkoszulek z nadrukiem: Światowa Organizacja Zdrowia, a na nogach miał wysokie sznurowane buty. Wpatrywał się w nas przez chwilę, a potem wydał z siebie dźwięk, który można jednoznacznie określić jako pisk nieopisanego szczęścia. Podbiegł do Sandy i pochwyił ją wpół. Zakręcił z nią pirueta i pocałował w szyję. Jak opętany bez końca powtarzał jej imię.

- Czy my go znamy? - zapytał Tony.

- To dawny znajomy twojej mamy - wyjaśniła Nora. Tony Cacciamani postawił moją córkę na ziemię.

- Mój Boże! - zawołał. - Jakim cudem się dowiedziałaś, że jestem? Przyjechałem zaledwie dwie godziny temu!

- Nie wiedziałam - wyznała Sandy, przyciskając obie ręce do piersi. - Jak się miewasz?

- Nieźle. A w tej chwili bardzo dobrze. Ślicznie wyglądasz!

Wydoroślałaś. - Spojrzał na naszą gromadkę. - Dzień dobry, pani Roth!

Cześć, Nora!

- Witaj, Tony! - odpowiedziałam. Nie miałam pojęcia, że Tony zna Norę. Po raz pierwszy przyszło mi na myśl, że moja starsza córka musiała pomagać siostrze w organizowaniu schadzek.

- A kim wy jesteście? - zwrócił się do Tony'ego i Sary. - Noro, to twoje dzieciaki?

- Moje - odezwała się Sandy

Naturalnie prezentacji latorośli towarzyszyło pewne zakłopotanie.

Kiedy Sandy Anderson dała swemu synkowi na imię Tony, od lat nie widziała się z Tonym Cacciamanim i uważała, że prawdopodobnie już nigdy go nie zobaczy.

- Cześć! - powiedział duży Tony, podając im po kolei rękę.

Jego głos nabrał powagi.

- Sandy od trzech lat jest rozwiedziona - wtrąciła Nora. - Najlepiej od razu jasno postawić sprawę.

Tony natychmiast się rozpromienił i zaczął zapraszać nas do środka.

Choć raz byłam wdzięczna Norze za jej bezpośredniość.

- Przyszliście na urodziny babci? O rany, rzeczywiście wiele się zmieniło, odkąd wyjechałem!

- To urodziny pani Cacciamani? - upewniłam się.

Tony przytakująco potrząsnął różowym kapeluszem i otoczył Sandy ramieniem, jakby od zawsze tam trzymał rękę.

- Kończy dziś pięćdziesiąt lat.

W salonie tłoczno było od Włochów w odświeżonych ubraniach; wszyscy mieli na głowach kapelusiki z dziewięćdziesiątką sterczącą na czubku. Na stołach piętrzyły się tace kanapek i warzyw. Była też waza z ponczem wielkości sporego akwarium. Kwadratowy biało-różowy tort zajmował cały blat stolika do kart. W rogu salonu akordeonista wygrywał rzewne tony „Amore mio”.

Przyjęcie było naprawdę huczne. Gdziekolwiek spojrzałam, widziałam rozbawionych ludzi z kieliszkami w ręku. Chyba nikt nie zauważył naszego wejścia. Przeciskałam się między gośćmi, rozglądając się za Romeem, a

wszyscy biesiadnicy, których mijalam, rozstępowali się z uśmiechem, umożliwiając mi przejście. To byli zwykli, porządni ludzie, tacy sami jak my.

- Widziałeś gdzieś Romea? - zwróciłam się do małego chłopca przy wazie z ponczem.

- Zdaje się, jest w kuchni - odparł. - Tam - wskazał palcem.

Podziękowałam mu i dalej parlałam naprzód. Gdzieś w tłumie zawieruszyła się moja rodzina. Wreszcie dobrnęłam do drzwi kuchni.

Plummy wraz z ojcem zmagala się z torebką poprzymarzanych do siebie kostek lodu. Dziewięćdziesiątki na ich czapeczkach stykały się na pochylonych głowach. Romeo nie wyglądał na zbyt szczęśliwego. Na jego czole i w okolicy wargi, dokładnie tak, jak mi to opisała Plummy, biegły równe kreski szwów. Nadgarstek miał w gipsie.

Tej chwili obawiałam się najbardziej. Bałam się, że nie ucieszy się na mój widok. Czekałam, delectując się możliwością obserwowania go, zanim mnie zauważy. Zastanawiałam się, czy przypadkiem nie widzę go po raz ostatni.

- Romeo! - powiedziałam.

Kiedy uniósł głowę i zobaczył mnie, z jego na wpół otwartych ust wydarł się ni to śmiech, ni to szloch. Potem uśmiechnął się do mnie tak samo jak jego syn do Sandy. Powtarzał moje imię, jakby cieszyło go wsłuchanie się w jego brzmienie. Podeszedł i przytulił mnie do siebie. Pocałował mnie, odsunął na długość ramion, aby mi się przyjrzeć i pocałował jeszcze raz.

- Mój Boże, jesteś tutaj!

- Muszę uporządkować sprawy między nami i między naszymi rodzinami. - Chciałam zachować się z godnością i dzielnie, a jednocześnie pragnęłam na zawsze wtopić się w Romea.

- Zaniosę to do salonu - odezwała się Plummy, na powrót wsypując kostki lodu do torebki. Wychodząc, uśmiechnęła się do mnie.

- Dzień dobry, pani Roseman!

- Uwielbiam tę dziewczynę - wyznałam mu. - Nie miałam okazji wcześniej ci tego powiedzieć.

Pocałował mnie delikatnie ze względu na swą uszkodzoną wargę. Drzwi do kuchni zamknęły się i zaraz otworzyły. Do środka weszło dwóch młodych, nie znanych mi mężczyzn. Mieli taki wyraz twarzy, jakby przyłapali nas na ćwiartowaniu Juniora, psa Cacciamanich.

- Julio - zaczął Romeo z pewnym wahaniem w głosie - to moi synowie, Alan i Nicky. Nicky przyleciał z całą rodziną na przyjęcie aż z Niemiec.

- Julia Roseman? - Nicky i Alan zniknęli za drzwiami.

Pół minuty później zbiegli się wszyscy.

Z salonu doszedł mnie głos Nory górujący nad innymi głosami. Potem znaleźliśmy się w salonie i wszyscy zdawali się mówić jeszcze głośniejszym głosem. Akordeonista urwał melodię w połowie. Ostatnia nuta wybrzmiała w powietrzu i ucichła.

- Rosemanowie! - usłyszałam krzyk starej kobiety. - Rosemanowie w moim domu!

Łatwo nas było wytropić wśród gości. Jako jedyni nie mieliśmy urodzinowych czapeczek.

- O mój Boże! Tak mi przykro! Tak bardzo mi przykro! Posłuchaj mnie. - Odwróciłam się do Romea. - To bardzo ważne. Inaczej nigdy bym tu nie przyszła. Wiem o twoim sklepie, o dzierżawie.

Romeo ściągnął brwi.

- Odlóżmy to na później - poprosił szeptem.

- O co chodzi z tą dzierżawą? - podchwycił Raymond.

Rozglądałam się za Tonym i Sarą. Chciałam się upewnić, że nic im nie grozi. Zobaczyłam, jak w czapeczkach na głowach zdejmują cukrowe róże z boku tortu wraz z trzema innymi dziećmi, do których zapewne zapalają nienawiścią, kiedy dorosną. Nikt nie wiedział, że są Rosemanami. Nikt się nimi nie interesował.

- Nora kupiła twój budynek.

- Twoja Nora go kupiła? - upewnił się Romeo. Słyszając swoje imię, Nora wyprostowała ramiona i przeszła przez pokój.

- Jestem Nora Berstein - oznajmiła. - Kupiłam go.

- To ty przysłałaś nakaz eksmisji? - zapytał Romeo.

- Ona przysłała nakaz eksmisji? - powtórzył ze zdziwieniem Raymond.

- Zamierzałem wam o tym powiedzieć po przyjęciu - Romeo zwrócił się do synów. - Nie wiedziałem, kto go kupił.

- Wyrzućcie ich z mojego domu! - wrzasnęła stara Cacciamani.

Miała na sobie niebieski spodnium, a jej różowa, papierowa czapeczka była większa od czapecek gości. „Mam dziewięćdziesiątkę” - głosił napis na czubku. Nie wierzyłam, że dała ją sobie nałożyć. Nestorka znajdowała się w pewnej odległości ode mnie, co dodawało mi nieco otuchy.

- No dalej! - powiedział Raymond i złapał Norę za ramię.

- Proszę bardzo! - Nora nie spuszczała z niego wzroku, dopóki nie cofnął ręki. - Kupiłam ten budynek - zwróciła się do Romea - chcąc ochronić moją matkę. Odciałeś ją od kwiatów. Przez ciebie jest zrujnowana.

To mijало się z prawdą, jako że Nora kupiła budynek, zanim się dowiedziała o kwiatkach, ale należało pozwolić jej zachować godność.

- Ja odciąłem ją od kwiatów? - zdziwił się Romeo. - O czym ty mówisz?

- Zostawmy to - poprosiłam Norę.

- Nie, nie zostawimy. Sama mówiłaś, że nadeszła godzina szczerości. - Nora odwróciła się do gości i trzykrotnie klasnęła w dłonie. - Posłuchajcie, wszyscy. Zabawimy się w pewną grę. Nazywa się Szczere Wyznania. Kupiłam kwaciarnię Romea i wysłałam mu nakaz eksmisji. On dogadał się ze wszystkimi dostawcami kwiatów w okolicy, aby nie zaopatrywali mojej matki i w ten sposób doprowadzili jej firmę do ruiny.

Po tej informacji rozległo się chóralne westchnienie.

- Zaraz! Jedną chwilę! - odezwał się Romeo. - Nic takiego nie zrobiłem.

Z tłumu wytoczył się Joe. Na jego głowie czapeczka z dziewięćdziesiątką wyglądała jak poskładana chusteczka higieniczna. Zastanawiałam się, czy kiedykolwiek udało mu się dostać koszulę, w której dopinałby się kołnierzyk.

- Ja to zrobiłem - oznajmił. - Dopóki żyję, ona nie dostanie złamanego kwiata.

- Zrujnowałeś ją?! - Romeo postąpił krok w kierunku syna. -

Doprowadziłeś do bojkotu jej firmy?!

- Mamo, miałaś rację - powiedziała Nora. - Tak jest znacznie lepiej.

Wzięłam Romea pod rękę.

- Obie strony zawiniły, i na tym polega problem. Musimy z tym jak najszybciej skończyć.

- Idziemy do kuchni - powiedział do mnie Romeo. A potem podnosząc głos, zawołał w stronę tłumu: - Cacciamani, Rosemanowie, do kuchni! Bez kuzynów i bez dzieci. Mamo, proszę do kuchni!

- Nie wejdę tam z nimi! - postawiła się.

Nora podeszła do niej i powiedziała jej coś na ucho. Starucha obrzuciła ją wściekłym spojrzeniem, ale poszła za nami.

- Co jej powiedziałaś? - szeptem zapytałam Norę.

- Że nie wolno jej wejść do kuchni.

Tony i Sandy znaleźli się tam przed nami. Nie wiem, jak im się to udało. Siedzieli przy stole, trzymając się za ręce. Tamtej nocy, piętnaście lat temu, gdy Tony usiłował wyprowadzić Sandy przez okno w sypialni, przemoknięci i zapłakani siedzieli na kanapie w naszym salonie, tak samo trzymając się za ręce. Wyglądali na zaskoczonych, kiedy nas zobaczyli.

- To ta dziewczucha! To ona! - krzyknęła stara Cacciamani. - Zabierzcie ją od Tony'ego!

- Chwileczkę, mamó! - uciszył ją Romeo, podnosząc rękę gestem nakazującym milczenie. - A więc, Joe, spiskowałeś za moimi plecami, chcąc doprowadzić do ruiny panią Roseman?



- Już jest bankrutką.

- Wyjdź!

- Co?

- Wynoś się z mojego domu! - Romeo stał na szeroko rozstawionych nogach, z rękami splecionymi na piersi. Jego postawa wskazywała, że nie żartuje.

Sęk w tym, iż należało doprowadzić do zawieszenia broni między Cacciamaniami a Rosemanami, a nie skłócić ich rodzinę. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnęłam, było antagonizowanie Romea z gburowatym pierworodnym.

- Nie - wtrąciłam się. - Nie możesz tego zrobić. Musimy dojść do porozumienia.

- Nie przeciwstawiaj się mojemu ojcu - naskoczył na mnie Joe, celując we mnie palcem. Zastanawiałam się, czy przypadkiem nie odziedziczył po babce jej skłonności do szturchańców.

- Chryste! - westchnęła Nora. - To się nigdy nie skończy.

- Musimy temu położyć kres - zwróciłam się do Romea, a mój głos zabrzmiał nieco gorączkowo. - Musimy zawrzeć układ, raz i na zawsze. Jeżeli nie będziemy się mogli więcej widywać, pogodzę się z tym, ale nie chcę, żebyśmy się wszyscy zachowywali jak szaleńcy.

- Nie mamy się widywać? - zdziwił się Romeo.

Z wyrazu jego twarzy odgadłam, że takie rozwiązanie nawet nie przyszło mu do głowy. Myślałam, że się rozpłaczę, tak bardzo go kochałam!

- Przynajmniej jedno jest jasne - stwierdził jeden z synów, kto by tam poznał, który.

Plummy, ubrana w skąpą letnią sukienkę w kolorze lawendy i czarny zapinany sweterek, klasnęła w dłonie. Najwyraźniej była gotowa zaprowadzić porządek w tym chaosie.

- Dobrze - zaczęła - raz na zawsze wytłumaczmy sobie wszystko od początku do końca i wracajmy się bawić. - Spojrzała na swego brata Tony'ego, a on posłał jej promienny uśmiech.

- Plummy, to jest Sandy - powiedział.

- Cześć, Sandy! - odpowiedziała i pochyliła się, by podać jej rękę. - Ktoś z tu obecnych zna całą historię. - Plummy przygryzła wargę i rozglądała się po kuchni, jakby nie była do końca zdecydowana, kogo wywołać do odpowiedzi. Popatrzyła na mnie, powiodła spojrzeniem po moich córkach, po swoim ojcu i braciach. - Babciu! - odezwała się na koniec. - Co to za historia?

- Rosemanowie to świnie! - oznajmiła stara Cacciamani.

- Na początek niech będzie. A teraz powiedz, dlaczego Rosemanowie to świnie?

To było dobre pytanie. Jeżeli sprowadzić wszystko do najprostszego wspólnego mianownika, dlaczego Rosemanowie byli świniami? Czemu Cacciamani byli oślizłymi rybami? Zakładałam, że moi rodzice znali odpowiedź na te pytania, ale oboje nie żyli. Ani Mort, ani ja jej nie znałam.

- No, babciu? - ponagliła ją Plummy.

- To są moje urodziny - powiedziała stara kobieta i dotknęła czapeczki, jakby chciała poprzeć swe słowa dowodem, na wypadek gdyby ktoś o tym zapomniał. W przeciwieństwie do większości miała dość rozumu, żeby założyć gumkę czapeczki z tyłu głowy, a nie pod brodą.

- Wszystkiego najlepszego! - zareplikowała Plummy. - Wszyscy chcemy jeść tort i patrzeć, jak otwierasz prezenty, ale nic z tego nie będzie, dopóki nam wszystkiego nie powiesz.

- Chcę stąd wyjść! - Cacciamani usiłowała odegrać słabą staruszkę, lecz Plummy to nie wzruszyło.

- Bardzo mi przykro - powiedziała, a w jej głosie rzeczywiście zabrzmiało szczere współczucie. - Jednak nie wyjdiesz stąd, zanim nam nie powiesz, co się wydarzyło. Wszyscy dostatecznie długo na to czekaliśmy.

Bez wątpienia to Plummy Cacciamani rządziła w tym domu. Była uprzejmym i dyskretnym dyktatorem, ale jednak dyktatorem.

- Nic nie wiem! Nie wiercie tym kłamcom Rosemanom!

- Nic nie wiesz? - podchwyciła Plummy.

Stara kobieta odwróciła wzrok.

- Nic na ich temat. Kto by się tam interesował Rosemanami!

Dzień nie należał do szczególnie ciepłych, ale temperatura w kuchni podnosiła się z każdą chwilą. Cacciamani za wszelką cenę starali się nie otrzeć o Rosemanów, z wyjątkiem Tony'ego i Sandy, którzy co rusz dosuwali swe krzesła. Stałam przyciśnięta do staromodnej kuchenki gazowej, żywiąc cichą nadzieję, że nikomu nie przyjdzie do głowy jej włączyć.

- A listy? - nie dawała za wygraną Plummy.

- Jakie listy?

Plummy wyglądała jak uosobienie niewinności. Uniosła rękę do ucha i bawiła się jednym ze złotych kólek.

- Te pod twoim materacem. Zawinięte w różową jedwabną chusteczkę. Te, co zaczynają się od słów: „Moje kochanie”.

Nestorka rodu Cacciamanich obróciła się z płonącymi oczyma. Wyciągnęła palec, żeby dźgnąć nim Plummy, ale ta łagodnie go odsunęła. Wszyscy zaczęli się przemieszczać, żeby niczego nie uronić z rozgrywającej się sceny.

- Dlaczego czytasz moje listy?!

- Sprzątam twój pokój, babciu. Raz w miesiącu przekładam materac na drugą stronę. Nigdy nie sądziłam, że mają jakieś znaczenie, ale teraz zmieniłam zdanie.

Byłam pod wrażeniem, Plummy co miesiąc przewraca materac! Mnie zdarzało się to zapewne nie częściej niż raz do roku. Kto teraz chowa rzeczy pod materacem? Kto wie, czy starsza pani nie trzyma wszystkich swych pieniędzy w skarpecie?

- To nie twój interes! - Babcia Cacciamani dostała lekkiej zadyszki. Omiotła wzrokiem kuchenne blaty, a ja się zastanawiałam, czy przypadkiem nie szuka tych maleńkich tabletek nitrogliceryny.

- Wiem - przytaknęła ze spokojem Plummy - i dlatego wcześniej o nich nie wspominałam. Teraz wynikł problem.

Stara kobieta zaczerpnęła głęboki oddech i zastanawiała się przez chwilę. Stała oparta o lodówkę obwieszoną dziecinnymi rysunkami. Wyglądała na złapaną w pułapkę.

- Później ci powiem.

Plummy podeszła do babki i objęła ją ramieniem. Pocałowała ją w policzek.

- Powiesz mi później, a ja będę musiała ponownie wszystkich ściągnąć, żeby im powtórzyć, co mi powiedziałaś. Powiedz teraz - szepnęła łagodnie.

Czekaliśmy wszyscy: pięciu synów, ich trzy żony, moje dwie córki, Plummy, ja i Romeo. Materac? Listy? Przechyleni do przodu, wpatrywaliśmy się w starszą panią jak zahipnotyzowani. Nikt nie odzywał się ani słowem. Teraz tylko dwie osoby miały prawo mówić: najstarsza i najmłodsza z Cacciamanich. Najstarsza się nie kwapiła, a Plummy czekała, dając babce czas się pozbierać. Jeżeli był to test siły woli, nie potrafiłam przewidzieć, kto pierwszy się złamie.

- Chodź na werandę - powiedziała stara kobieta słabym głosem.

Plummy pokiwała głową i pogładziła ją po ręce jak śledczy, który wie, że za chwilę podejrzany podpisze zeznanie. Przeprowadziła babkę przed nami i wyszła z nią na werandę. W salonie akordeonista znów zaczął grać. A my czekaliśmy.

- Jak twoja głowa? - spytałam Romea.

- Głupio - odpowiedział. - Mam w niej zupełny zamęt.

- Nie boli cię już?

- Nie, żebra dokuczają mi trochę przy oddychaniu. A jak Mort?

Powiedziałam mu, że Mort już doszedł do siebie i razem z Lilą odleciał do Seattle.

- Facet ma niesamowity rzut - uśmiechnął się Romeo.

Czekaliśmy bez końca. W salonie na nowo rozległy się śmiechy. Goście o nas zapomnieli. Zapomnieli też, że są na urodzinach. Przyszli się zabawić, nieważne, czyje to było przyjęcie.

Wreszcie Raymond nie wytrzymał i podszedł do okna.

- Widzisz coś? - zapytał Romeo.

- Babcia siedzi na krześle, a Plummy się nad nią nachyla. Rozmowa wygląda na dość gwałtowną. Nie słyszę, co mówią.

- Nie wiem, czy potrzebny był jej taki wstrząs w dniu urodzin - zauważył Alan, a stojąca przy nim włoska żona pokiwała głową.

- Przecież nie wrócimy tu w przyszłym tygodniu, aby jeszcze raz to powtórzyć - zachnęła się Nora. - To wcale nie jest przyjemne.

Przyszło mi na myśl, że jeśli stara kobieta nie zdradzi swego sekretu, w następnej kolejności Plummy dobierze się do Nory. A wtedy przeżyjemy wstrząs zupełnie innego rodzaju.

- Jakie listy? - zapytał Tony.

- Czekać! - Raymond oderwał się od okna. - Idzie tu!

Wydało mi się, że teraz mniej więcej potrafię sobie wyobrazić, co czuje oskarżony, kiedy ławnicy wracają do sali sądowej ze złożoną kartką papieru. Plummy przyszła sama. Odgarnęła włosy do tyłu i zakreśliła je w koczek, który jakimś cudownym sposobem trzymał się bez pomocy spinek.

- Gdzie babcia? - zapytał Raymond.

- Została na dworze. Chce przez chwilę zaczerpnąć świeżego powietrza.

- A więc co to za historia? - dopytywała się Nora. Jej najbardziej z nas wszystkich zależało, żeby stąd jak najprędzej wyjść.

- A taka - Plummy oparła się o blat kredensu na szeroko rozsuniętych ramionach - że moja babka i twój dziadek mieli romans - powiedziała, zwracając się bezpośrednio do Nory.

- Mój dziadek? - Nora dotknęła palcem do piersi.

- Akurat! - mruknął Joe.

Plummy uniosła dłoń, ale nie spojrzała w jego stronę.

- Proszę cię! - powiedziała. - To było bardzo dawno temu. Rosemanowie mieli sklep w Somerville, a babcia z dziadkiem prowadzili kwiaciarnię w North End. Babcia poznała pana Rosemana przy okazji kupowania wazonów i zakochali się w sobie. Zdaje się, to była wielka namiętność. Babcia namówiła dziadka, żeby przeniósł sklep do Somerville. Przekonała go, że to bardziej odpowiednie miejsce na wychowywanie dzieci. Tatuś miał wtedy trzy lata i nazwali nowy sklep „U Romea”. Z tego, co zrozumiałam, przez dłuższy czas pan Roseman obiecywał babci, że z nią ucieknie, a kiedy ona była gotowa, wynajdował jakieś pokrętne wymówki i nigdy do tego nie doszło. Po jakimś czasie babcia się rozgniewała na pana Rosemana i chyba wtedy zaczęła mu robić na złość. Powiedziała, że z początku to były niewielkie sprawy - oczerniała go przed klientami, a raz nawet wrzuciła mu kamień przez okno. Potem podłożyła mu zdechłą rybę, flądre, na zaplecze. Pan Roseman wściekł się na nią i zapłacił jakiemuś chłopakowi, żeby podrzucił pudełko z pchłami do jej sklepu. I tak to poszło wet za wet. Babcia wmówiła dziadkowi, że Rosemanowie chcą ich doprowadzić do ruiny, żeby pozbyć się ich sąsiedztwa i przejąć klientelę, i że muszą odpowiadać ciosem na cios. Kto wie, co pan Roseman naopowiadał swojej żonie? W każdym razie aż do teraz nikt nie splajtował. Babcia wspomniała o jeszcze paru sprawach, ale z grubsza tak wygląda cała historia.

- A oni to kupili? - zdziwiła się Nora. - Moja babka i starszy pan Cacciamani? Dali się wciągnąć w spór, nie dociekając jego przyczyn?

- No cóż, wszyscy zachowywaliśmy się podobnie. Następne pokolenia nienawidziły się wzajemnie, chociaż nawet nie mieliśmy pretekstu w postaci pcheł.

- I ja mam w to uwierzyć? - odezwał się Raymond.

- Idź, zapytaj babcię. Skoro już to wszystko opowiedziała, może to zrobić jeszcze raz. Albo poczytaj sobie listy ukryte pod materacem. Są bardzo namiętne.

- Ale przecież ona nienawidziła pana Rosemana - wtrącił Nicky. - Nienawidziła go najbardziej z nas wszystkich.

- Czasami tak bywa, że wielka miłość przeradza się w wielką nienawiść - zauważyła filozoficznie Plummy.

- Nadal go nienawidzę! - oświadczyła stara Cacciamani. Stała w otwartych drzwiach, wyglądając tak, jakby w jednej chwili przybyło jej lat. Niebieski garnitur był pognieciony, a urodzinowa czapeczka przekrzywiła się na bok. „Mam dziewięćdziesiątkę!” - przypominały nam sterczące na jej czubku cyfry. - Będę ich nienawidzić co do jednego aż do śmierci!

Mój ojciec?! - myślałam. Mój ojciec i ta Baba Jaga? Kobieta, którą nienawidził ponad wszystko inne na świecie? Jego głos nadal dźwięczał mi w uszach. Słyszałam wszystkie paskudne wyzwiska, jakimi ją obrzucał. Muszę przyznać, że ze wszystkich możliwych motywów ten wydał mi się najtrudniejszy do uwierzenia.

- Mamo, jesteś tego pewna? - zapytał Romeo.

- Oczywiście, że tak. Co ty sobie wyobrażasz? Myślisz, że nie wiem, kogo kochałam?!

Ze zdumiewającą energią jak na zakochaną kobietę trzepnęła drzwiami i wróciła na przyjęcie. Drzwi kilkakrotnie uchyliły się i zamknęły.

Staliśmy wszyscy, słuchając gry akordeonisty dochodzącej zza ściany.

- No to podsumujmy! - odezwała się Nora, wypijając łyk czerwonego ponczu ze szklanki, którą wzięła z blatu kredensu. - Wychodzi na to, że



szanowna jubilatka kochała mojego dziadka, moja mama kocha waszego ojca, a moja siostra tego oto Tony'ego.

Sandy miała minę męczennicy.

- Na to wygląda - powiedziała Plummy.

- Więc - ciągnęła dalej Nora - powodem tej uciążliwej, nie kończącej się wojny jest miłość, łącząca trzy kolejne pokolenia Cacciamanich i Rosemanów.

Przetrawienie tej informacji zajęło nam wszystkim nieco czasu. Nagle Nora wybuchnęła śmiechem i po chwili dołączyła do niej Sandy. Plummy też się roześmiała. Śmiała się, zakrywając usta dłonią. Reszta z nas na razie nie widziała w tym nic zabawnego.

- Panie Cacciamani - Nora zwróciła się do Romea - niech pan zatrzyma sklep. Proszę myśleć o mnie jako o wspaniałomyślnej właścicielce posesji. A ty - dodała, wskazując Joe - jutro odkręć sprawę bojkotu dostaw dla mojej matki. A teraz bardzo chciałabym już stąd wyjść. Zabieram samochód. - Spojrzała na mnie i na Sandy. - Coś mi mówi, że żadna z was nie będzie miała problemu z dojazdem do domu.

## *Epilog*

Każda baśń kończy się weselem, prawda? Po prostu tak musi być.

Ślub odbył się pierwszego lipca. Niektórzy ludzie wyrażali pogląd, że to zbyt szybko, ale po zapoznaniu się z całą historią zgadzali się, że państwo młodzi odczekali już swoje. Była pełnia lata i piwonie zdążyły przekwitnąć, ale za to róże były cudowne. Mam na myśli róże ogrodowe, nie te, które kupuje się w sklepie. Dekoracja wyglądała tak, jakbyśmy pozrywali wszystkie róże w całym Massachusetts. Zrobiliśmy ją sami z Romeem. Właśnie przy tej okazji wpadliśmy na pomysł, żeby połączyć nasze firmy. Pracowało nam się razem wspaniale. Ja zrobiłam bukiet dla panny młodej. Dawno już zrezygnowałam z poglądu, że ślubna wiązanka musi być biała. Wplotłam w nią wszystkie możliwe kolory. Była ładniejsza nawet od tamtego bukietu, który zrobiłam, wychodząc za Morta.

Uroczystość odbyła się w naszym przydomowym ogródku. Aby nie nadebrać na odcisk jakimś bardziej ortodoksyjnym wiernym, ślubu udzielił sędzia pokoju, ale widziałam, jak obecny na ceremonii ojciec Al porusza ustami. Nora została mianowana honorową druhną. Nalegała aby przyznać jej ten tytuł. Powiedziała, że nie zniosłaby, gdyby miała zostać czyjąś honorową matroną. Joe był świadkiem pana młodego. Tony i Sara upletli wianuszki i zrobili ozdoby z kwiatów. Wesele było niewielkie, jeśli można tak określić jakiegokolwiek wesele u Cacciamanich, biorąc pod uwagę liczebność rodziny.

Na miesiąc miodowy Tony i Sandy pojechali na Cape Cod. Co prawda, to nie to samo co Jamajka, ale oszczędzali pieniądze na dom. Na razie mieszkają ze mną. Bo u mnie jest więcej miejsca.

Na weselu wszyscy dopytywali się, kiedy się pobierzemy z Romeem. Gloria wręcz domagała się deklaracji, ale nam nie zależy na ślubie. I tak nie

zamieszkalibyśmy w jednym domu razem z jego i z moją rodziną. Jednak, uwierzcie mi na słowo, jesteśmy razem. Reszta jakoś się z czasem ułoży. Wynajmujemy małe mieszkanie, o czym nie wie żadne z naszych dzieci. To kawalerka na trzecim piętrze w domu bez windy. Całość niewiele większa od łóżka, które tam wtargaliśmy. Nasze gospodarstwo to dwie filiżanki, korkociąg, kilka ręczników i dwa stare szale, w które się owijamy, kiedy robi się naprawdę zimno. Niewiele nam potrzeba, żeby poczuć się w tym miejscu jak w domu. Każdemu, kto twierdzi, że miłość i namiętność jest przywilejem młodych, odpowiadam: Przemyślcie to jeszcze raz. Mówię to z własnego doświadczenia.

Jak powiada Romeo, razem jesteśmy w pracy. Większość par pracuje osobno, a za to mieszka pod jednym dachem. U nas jest odwrotnie. W interesach panuje duży ruch, bo otworzyliśmy firmę organizującą wesela i przyjęcia. Okazuje się, że naprawdę przyda się nam pomoc wszystkich krewnych, figurujących na naszej liście płacy. My z Romeem zawsze jesteśmy razem w sklepie, jeden dzień u niego, a jeden u mnie. Wiemy, że teraz oba należą do nas. Jedna firma „U Romea i Julii” i dwie kwaciarnie, aby sprawniej was obsłużyć.

